A Dygasiński

Cudowne Bajki

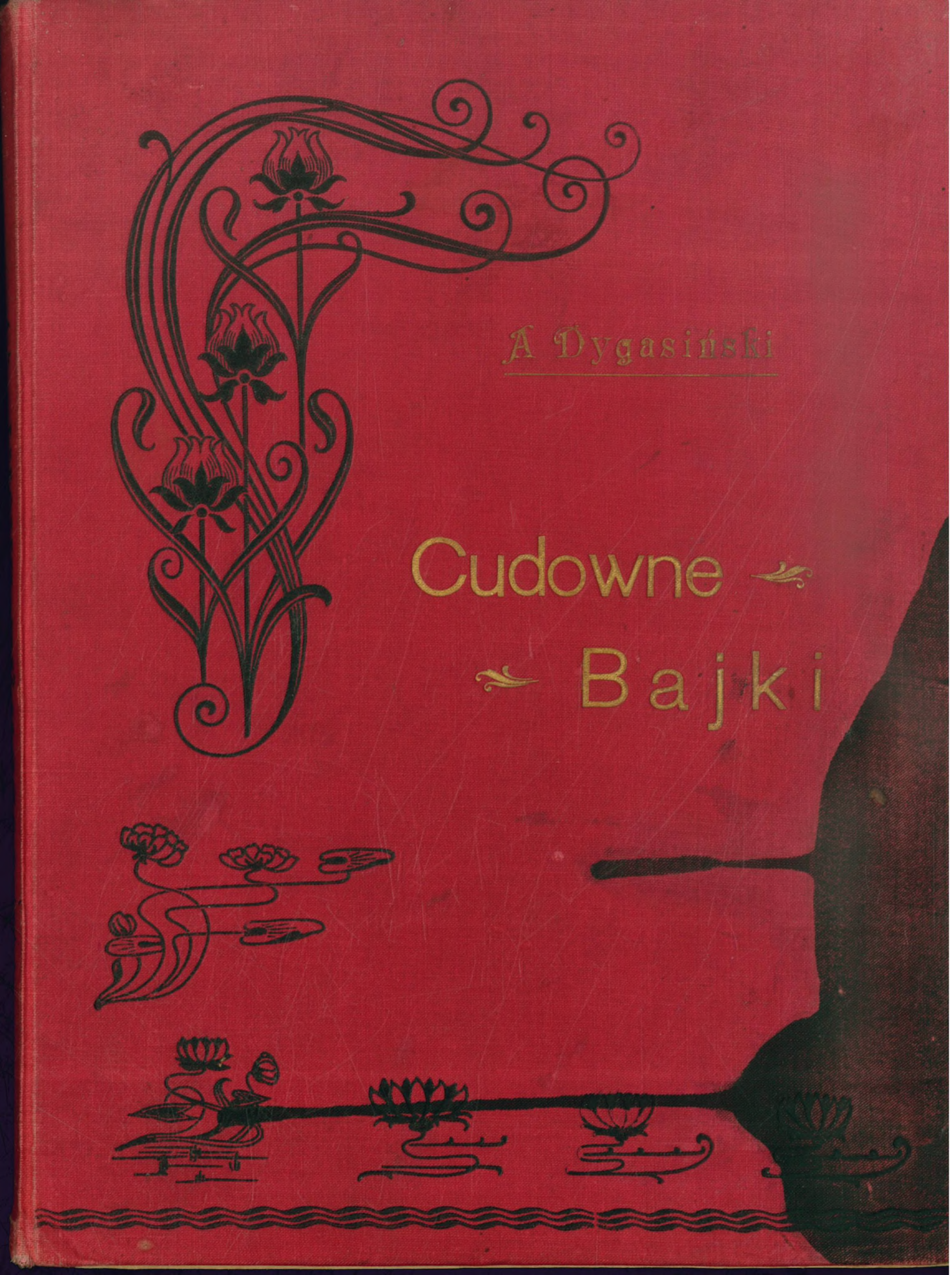

CUDOWNE BAJKI.

Adolf Dygasiński.

Cudowne Bajki.

Z 21 illustracyami J. Pankiewicza.

WARSZAWA.
NAKŁADEM KSIĘGARNI
Teodora Paprockiego i S-ki.
41. Nowy Świat 41.
1896.

101271

Дозволено Цензурою.

Варшава. 20 Февраля 1895 года.

Warszawa. Druk Emila Skiwskiego.

...bór okrutny szumi...

KRÓL HUK-PUK.

Będzie temu już przeszło parę tysięcy lat, kiedy na świecie żył jeden król, nazwiskiem Huk-puk.

Przychodzi raz do niego jakiś staruszek z długą, siwiuteńką brodą i powiada mu:

— Zwyciężysz, królu, takiego mocarza, co ludzi, psów, koni i żelaza nigdy nie widział.

Ogromnie się dziwił Huk-puk tej przepowiedni i chciał, żeby mu ów wróż powiedział, co za jeden jest mocarz, który nie widział nigdy ludzi, psów, koni i żelaza. Ale starzec zniknął, nie rzekłszy ani słówka więcej; szukali go po całem królestwie i nie znaleźli.

Huk-puk był zuch ogromny, przed niczem się nigdy nie uląkł, a jego wszyscy się bali. Bogactw miał bardzo dużo, przyjaciół dokoła siebie jeszcze więcej. Przez całe lata wysiadywali u niego goście, wielcy panowie, rycerze; bo jak się tylko dowiedział, że jest gdzie na świecie siłacz, zaraz go do siebie sprowadzał i już nie puszczał z domu. Z takim nikt wojny nie chciał prowadzić, wolał się od razu poddać, jako pardonu nie było tam żadnego.

A no, ucztował Huk-puk z przyjaciółmi wesoło; skoro im się zaś uczty naprzykrzyły, wsiadali wszyscy na konie, brali z sobą psy i dopiero polowali w borach. Było co widzieć, kiedy trzystu albo i więcej takich wielkoludów rwało na koniach, ogromnych ogierach, które kwiczały, wspinały się do góry, jakby chciały po powietrzu latać.

Chłopi stawali na pagórkach i z daleka się przyglądali temu widowisku. Ci zaś wpadali w bór, jak wichura, i szła po lasach muzyka trąb, rogów, a psy znowu goniły za zwierzyną i grały, niczem dzwony. Wybili, wypłoszyli wszystko, gdzie tylko jakie zwierzę było.

Jednego razu powiada król do swoich:

— Tu w całej okolicy niema już dla nas roboty; musimy się puścić daleko, poszukać sobie porządnej puszczy i tam zapolować.

Dobrze. Wsiadają na koń, jazda! Jadą dzień, drugi, trzeci, mijają różne bory, gdzieby też mogli byli polować, ale Huk-puk ciągle powiada:

— Jeszcze nie tu! Mnie się chce takiego polowania, co go nie było, jak świat światem.

Przyjechali nareszcie do jakiejś obcej ziemi: bór okrutny szumi, ani znaku ludzkiej stopy, tylko ścieżynki, które pewnie zwierzęta wydeptały. Dzicz straszna, puszcza nieprzebyta, starodrzew taki, żeby temu siekiera w żaden sposób rady nie dała: dęby, buki, sosny, jodły, świerki i inne drzewa rosły tam pewnie od stworzenia świata, kiedy te na początku jeszcze sam Pan Bóg posiał.

Skoro wjechali w bór taki, to niejednego strach zdejmował; coś tam takiego było, że człowiek od razu tracił śmiałość—niby jedyna na świecie puszcza bez ludzkiego śladu. Orły i przeróżne ptaki, które się gdzieindziej rzadko widzi, siedziały na drzewach spokojnie, a na ludzi spoglądały bez najmniejszego lęku, jeno się ogromnie widać dziwiły, co to za jedni. Na każdym kroku pełno tam było osobliwego śpiewu, świegotu, gwizdania, kukania, krakania, pisku: gwar taki, że uszy zatykaj. Małe ptaki, z czubkami i bez czubków, mieniły się na różne kolory, fruwały sobie spokojnie, a niektóre siadały koniom na łbach i tym rycerzom na ramionach.

— Tu będziemy używali na polowaniu!—powiada Huk-puk.

Zsiedli z koni, nałamali gałęzi, porobili sobie szałasy, pożywili się tam, napoili konie, wypoczęli.

— Dalejże, zakładać ogary!—zawołał król.

Byli tacy ludzie od tego, więc zaraz wzięli coś pięćdziesiąt ogarów i zapuścili toto w knieję. Zaczęło się polowanie, ogary od razu zagrały: «tia-fu, tia-fu, tia-fu», trafiły widać na jakąś porządną zwierzynę, bo od gonitwy aż się las zatrząsł.

W samej rzeczy, psy pognały za jeleniem, ogromnym rogaczem, który sadził przed nimi w susach i poszedł. Ogary precz idą za nim, jak woda, dalej i dalej; zaciekły się i poszły do samego środka puszczy.

Teraz już były niesłychane rzeczy. Psy napotkały gromadę takich wilków, które dopiero pierwszy raz w życiu zobaczyły psy. Skoro w tej puszczy noga ludzka nie postała od stworzenia świata, to tam i pies nie bywał nigdy. Ogary się przelękły, w tej chwili zapomniały głosu, od razu wzięły ogony pod siebie, chcą wracać, skąd przyszły, jako ćma wilków była niepoliczona. Ale czemprędzej wysunął się na przód jeden wilk, ogromna bestya, zaszedł psom drogę i powiada w zwierzęcej mowie:

— Ani mi się ważcie wracać, skoroście przyszły do królestwa zwierzęcego, osobliwie, że takich zwierząt, jak wy, jeszcze też tu nikt nie widział!

Ogary były teraz w większym strachu, bo je zaraz potem wilki wkoło otoczyły i wołają:

— Marsz z nami! Pójdziecie do króla puszczy, to się tam wytłumaczycie, coście wy za jedne stworzenia.

Idą, idą sporym krokiem, psy w środku, wilki naokoło; spotykają się po drodze z rozmaitemi zwierzętami, które spoglądały z wielkim podziwem, jako i one pierwszy raz w życiu oglądały takie dziwne zwierzęta.

Przybyli nareszcie do jednego miejsca, gdzie się wilki zatrzymały; ogary patrzą—naokoło warty ze zwierząt: tu niedźwiedzie, tam jelenie z ogromnymi rogami, koty dzikie czyli żbiki, dziki ze strasznymi kłami, a pomiędzy tem wszystkiem uwijały się lisy, borsuki, kuny, jeże, zające. Co które zwierzę podejdzie, zaraz zapytuje wilków:

— Kież licho wy znowu prowadzicie?

— Sami nie wiemy, co to takiego! — mówią wilki! — Odmieńce jakieś, pół wilka, pół lisa, jedne czarne, drugie białe, żółte, bure, srokate; pewnie czarnoksiężnik który pozaklinał oto zwierzęta i tak je poodmieniał. Pojmaliśmy toto w niewolę na granicy i wiedziemy przed króla, bo jużci zwierzętami one być muszą.

Postąpili dalej, do takiego miejsca, gdzie się zrosło z sobą siedem dębów w taki sposób, że utworzyły jedno drzewo ogromnej grubości, niczem setny dom. Dopiero w tym siedmiodębie były drzwi, a przed drzwiami straszny niedźwiedź kudłaty stał na warcie. Wilki mu powiadają o co chodzi; on zaś spojrzał ze złością na te ogary, poszedł do drzwi i zapukał. Po niejakim czasie drzwi się na oścież otwarły i dopiero wyszedł z siedmiodębu pan okazały: cały był złoty, a oczy miał dyamentowe. Na jego ramionach siedziały dwa sokoły, z tyłu szły za nim cztery duże małpy, przed nim sześć pawi z rozpiętymi

ogonami, a z każdego boku miał przy sobie lisa: widać służba taka. Zaraz się odezwał jakimś osobliwym głosem, tak, że i ogary wszystko a wszystko rozumiały.

— Moi kochani wojacy, — mówi on do wilków — widzę, żeście zwyciężyli jakiegoś dziwnego nieprzyjaciela. Bardzo dobrze!

Potem się odwrócił do ogarów i pyta:

— Coście wy za zwierzęta, jak się nazywacie?

— Jesteśmy ogary z psiarni naszego króla!

— Któryż tu między wami jest oficer?

— Zagraj nam zawsze przoduje, kiedy na polowaniu czy na obławie gonimy zwierzynę.

— Co, zwierzynę? To wy, szelmy, bez mojego pozwolenia zwierzęta płoszycie? Ho, ho, czekajcieno, rabusie, my was tu nauczymy rozumu!

I zaczął się ten król puszczy strasznie gniewać, rzucać.

Tak ogary widzą, że źle i wypychają na przód Zagraja, żeby co przemówił. Wystąpił Zagraj i powiada:

— U naszego króla polowanie rzecz zwyczajna, a psy na to on trzyma i karmi, żeby mu zwierzynę napędzały: dlatego kowal ma kleszcze, żeby sam palcami nie wyciągał z ognia żelaza. My, ogary, niceśmy temu przecie niewinny, że swoje robimy.

Z tego powiedzenia zaraz było widać, że ten Zagraj ma dobrze w głowie. Król puszczy pomyślał trochę, a potem zapytuje swoich zwierząt:

— Kogóż tu zaś te łajdaki ścigały?

Wystąpił teraz ogromny jeleń, już dobrze podsiwiały ze starości, skłonił się wielkimi rogami do samej ziemi i powiada:

— Mój królu, te dziwne bestye, które się tu ogarami mianują, właśnie mnie napadły w lesie i, chociażem się tęgo zwijał, byłbym niezawodnie zginął; ale na szczęście uciekłem za pas graniczny, obstawiony wilkami, i to mię uratowało... Oho, założyłbym się, że te ptaszki są wielkimi rozbójnikami!

— Kto z was, moje zwierzęta, chce ich zguby? — zapytuje król puszczy.

Wtenczas wyrwał się zając, a oddawszy królowi pokłon, tak mówił:

— Nas, biednych zajęców, zjadają wilki, lisy, orły, jastrzębie; no ale to już z prawa opłacamy ten podatek, niechże aby nowy nie spada

na nas! My, królu, boimy się takich ogarów i prosimy cię pokornie: odbierz im życie!

Potem jeden stary wilk odezwał się w te słowa:

— Trzeba tym niewolnikom zajrzeć naprzód w usta, zobaczyć ich zęby i przekonać się, czem one żyć mogą; bo jeżeli jadają trawę, to z nich będziemy mieli pożytek; rozmnożą się i będzie mięso. Ale jeżeli mięso jadają, niech zginą!

Zajrzeli ogarom w zęby i na wszystkie strony wołają:

— O, takie zębce nie będą przecie żuły trawy!... Zęby od mięsa!

Psy się składają, że one mięsa nigdy nie jadły, co najwyżej—kości; ale im tam nikt nie uwierzył. No i jedne zwierzęta były za zgubą ogarów, a drugie mówiły, że im wszystko jedno. Wreszcie król puszczy znowu się odzywa:

— Hej, wy psy, czy jak wam tam, powiedzcież mi, co wy też za cnoty macie? Czy was pan wasz dlatego trzymał i żywił, że umiecie nosem tropić moją zwierzynę?

— Nie, królu!—zawołał Zagraj.—Główna nasza cnota jest wierność i posłuszeństwo! My tak wiernie służymy swojemu panu, że gdyby on umarł, to niejeden z jego psów także umrzeć gotów. Czasem się zdarzy, że pan w gniewie wybije psa albo mu jeść nie da, ale pies i tak go nigdy nie opuści, liże jego ręce i stopy.

Kiedy to lis usłyszał, odwrócił się na bok, parsknął śmiechem i rzekł:

— A to dopiero głupie zwierzęta!

Zastanowiło króla puszczy to, co psy powiedziały, i tak przemówił:

— Słuchajcie, moi poddani, ja zatrzymam tych psów, żeby się przekonać, jaka też to jest ich wierność! Bo prawdę mówiąc, nie mam tu ani jednego zwierzęcia, któregobym był zupełnie pewny. Słuchają mię, bo muszą. Ale, jak przyjdzie co zrobić, niedźwiedź zawsze mruczy; lis mię na każdym kroku oszukuje; wilk głównie dba o to, aby się nażreć; zając jest tchórzem podszyty; dzika świnia nie ma najmniejszego punktu honoru; kot zaś jest to skończony obłudnik.

Takim sposobem ogary uszły śmierci.

Król Huk-puk, widząc tymczasem, że psy nie powracają, odzywa się do przyjaciół:

— Szkoda mi ogarów, nigdy nie pozwolę na to, aby miały marnie zginąć! Co będzie to będzie, a poszukać ich koniecznie trzeba!

Powiedział tak, a wszyscy, jak siedzieli na koniach, tak się hurmem puścili w puszczę. Zabrnęli w straszne wertepy, co tam ledwie zwierz dziki przejść mógł, nie człowiek na koniu. Jadą, a tu słychać, jak tysiące wilków naokoło wyją. Ten i ów nie był rad tej wyprawie i wyrzekał:

— Po co my tutaj brniemy? Licho psów wzięło, to i nas weźmie.

Ale Huk-puk ani myślał bez psów powracać.

— Musimy przetrząsnąć te ostępy,—powiada—dostać się do samego jądra puszczy!

Wjechali w straszne gąszcze, jary, o mało karków nie poskręcali. Później wpadli na moczary i niewiele brakowało, żeby potonęli. Konie im się rwały w prawo, w lewo, chrapały, czuły widać coś niedobrego, bo nie chciały iść na przód. Dostały ostrogami i poszły.

Naraz spojrzą ci myśliwcy, a tu przed nimi ogromna moc wilków; jak okiem sięgnąć, wilki i tylko wilki. Jedne poprzysiadały na ogonach i z podziwem patrzyły na tych konnych; drugie przywarowały, jak psy; inne wyszczerzyły zęby, a sierść im się strasznie zjeżyła na karkach, grzbietach i ślepie okropnie błyszczały.

— Moi panowie, — powiada Huk-puk — tu się niema co namyślać, jeno trzeba żwawo zacząć robotę! Te bestye pożarły moje psy niezawodnie.

Z temi słowy dobył szabli, spiął konia i wpadł na wilki z wielkim impetem, a za nim wszyscy inni. Niech Bóg broni, co tam wyrabiały konie, kiedy wpadły w tę wilczą gromadę! Wierzgały, tratowały, a niektóre zębami porywały wilki za grzbiety i dopiero z całej siły waliły o ziemię, aż wnętrzności z nich powyłaziły. Ludzie znowu naokoło siekli szablami, przebijali dzidami, inni cięte strzały puszczali z łuków. Dosyć powiedzieć, bitwa była taka sroga, jaką nawet między samymi ludźmi rzadko kiedy widzieć można. Narobili z wilków mięsa i krwi im puścili tyle, że krwawe kałuże stały na każdym kroku. Ale wilki też nie próżnowały; niektóre dobrały się koniom do gardła i taki zduszony koń padał na ziemię z jeźdźcem. Jęku, stęku, krzyku było pełno; ale nareszcie ludzie wzięli górę i wilki zmykały z placu bitwy, jak zające. Dopiero Huk-puk schował do pochwy zakrwawioną szablę, a wyjął z za pasa róg i zatrąbił na zwycięstwo. Las się przed nimi zupełnie z wilków oczyścił, a na placu zostały te tylko, co już nie żyły albo które konały.

Po tej wygranej pojechali dalej, ale też, tak samo jak przedtem, nie mieli równej drogi, jeno się musieli przedzierać przez gąszcze,

...i dopiero wyszedł z siedmio-dębu pan okazały...

przejeżdżać przez jary, bagna. Nareszcie przybyli do siedmiodębu, gdzie była stolica puszczy. Jak tylko ich tam spostrzegł ten niedźwiedź, co stał na warcie przed królewskim domem, zaraz zaczął na gwałt okropnie ryczeć i obiema łapami we drzwi domu walił. Zrobił się popłoch straszny, różne zwierzęta uciekały na wszystkie strony, a kruki zakrakały w górze. Na ten hałas wypadł z siedmiodębu złoty król puszczy, zajaśniał w słońcu, zobaczył, co się dzieje i wyjął z zanadrza trąbkę, zagrzmiał na cztery strony świata, a głos echem leciał przez puszczę.

Teraz zaczęły się zbiegać przerozmaite leśne zwierzęta, pędziły z szumem, jakby wicher, a górą znowu nadciągały orły, jastrzębie, sokoły, kruki, wrony, sroki i inne ptastwo. Wszystko to biło skrzydłami, trzepotało, robiło wrzask straszliwy.

Dopiero ów król puszczy wydał komendę i zaraz w pierwszym szeregu stanęły niedźwiedzie; wspięły się w górę na tylnych łapach i tak szły do tych jezdnych z okropnym rykiem. Huk-puk i inni rycerze tego jednego bardzo się bali, żeby im konie dopisały i dostały na miejscu, a sami nastawili dzidy i czekali, żeby dobrze przyjąć niedźwiedzie. Zaczęła się bitwa; rycerze szablami rąbali łby niedźwiedzi na trzaski, a dzidami przebijali je na wylot. Od tych srogich ran niedźwiedzie ryczały jeszcze straszniej, niektóre zaś broniły się z wściekłą zajadłością. Krew teraz już tak się lała, że i rycerze i ich konie byli zupełnie czerwoni. Odmęt, zamieszanie ogromne. Tu straszny niedźwiedź we krwi broczył i krew buchała z niego, a tam inny przytłoczył sobą rycerza i konia, dopiero z nich pazurami darł skórę i mięso w pasy. Cały bór trząsł się od tej wrzawy, a co które zwierzę mniej w sobie miało odwagi, to zmykało w jaki najdalszy kąt puszczy. Huk-puk miał bardzo ciężką przeprawę, bo się na niego rzucił największy niedźwiedź, dowódzca niedźwiedzi; król go dwa razy pchnął dzidą, ale za trzecim razem dzida się złamała na dwoje, a niedźwiedź był strasznie mocny, powstał z ziemi i z rykiem pędził na króla. Huk-puk nie wiedział już co robić, przypadkiem wydobył swój róg myśliwski, zatrąbił. Na ten głos wypadły ogary, które tam właśnie były w niewoli, i od razu się rzuciły do tego niedźwiedzia: jedne go zębami chwyciły z tyłu, drugie mu się uwiesiły u gardła, u uszu, a szarpały go na wszystkie strony, wyrywały z niego mięso kawałkami. Król puszczy przekonał się teraz, że psy były swojemu panu wierne, ale pewnie żałował, że ich nie kazał powiesić albo inaczej stracić.

Koniec końców Huk-puk zwyciężył i niedźwiedzie.

Widzi król puszczy, że już stracił co najlepsze wojsko: ćmę wilków i ogromną moc niedźwiedzi, tak nie chciał już wystawiać do bitwy ani dzików, ani jeleni, osobliwie, że i one lęk miały wielki. A no, załamał ręce, spogląda po tych trupach i żałosnym głosem zawołał:

— Nad kimże teraz będę panował? Przepadło raz na zawsze całe moje królestwo!

Dopiero wywiesił białą szmatę, że niby prosi o pokój.

— Ja też niczego więcej nie potrzebuję, — pomyślał sobie Huk-puk—zmachaliśmy się porządnie i czas, żeby wypocząć.

Więc zaraz podjechał do tego złotego króla puszczy, podał mu rękę i rzekł:

— U nas jest taki zwyczaj, że jak się zawrze pokój, a jeden drugiemu poda rękę, to kiep, kto zdradzi.

Wtenczas król puszczy zapytuje znowu:

— Ktoście wy tacy, ogromnie bitni i mocni?... Ani wam niedźwiedzie ani wilki rady dać nie mogą.

Roześmiał się Huk-puk i rzekł w te słowa:

— Cóż znowu, tego nie wiesz, żeśmy ludzie? Sam przecie odrobinę podobnyś jest do człowieka, nie do zwierzęcia.

Kiedy to posłyszał król puszczy, zaraz oczy zakrył rękoma i gorzko zapłakał:

— Więc to ludzie, ludzie!—powiada.—Nic dziwnego, że mię ze szczętem pobili!... Ale ja zawsze myślałem, że ludzie powinni mieć głowę, dwie ręce, dwie nogi, a ci oto mają po dwie głowy, po cztery nogi, a do rąk sobie przyprawiają długie ostre tyki...

— Ba, przecież my siedzimy na koniach!—zawołał Huk-puk.— Jedna głowa jest zwierzęcia, druga ludzka, nogi końskie, a ręce człowieka...

Powiedział to i skoczył z konia.

— Przypatrz mi się teraz samemu! — mówi. — Widzisz, ludzie tak oto wyglądają, tylko bez konia, na piechotę nigdyby się tu człowiek do ciebie nie dostał.

Król puszczy oglądał teraz ludzi od stóp do głowy, dotykał dzidy, szabli, pancerza, obejrzał je na wszystkie strony i nie chciał wierzyć, żeby to ludzie sami zrobili.

— To być nie może, — powiada — wyście się z tem musieli już urodzić, tak samo jak się wilk rodzi z zębami, jeleń z rogami, a jeż z kolcami!

Potem się go znowu Huk-puk zapytał:

— A cóżeś ty za jeden, że cię zwierzęta dzikie tak słuchają i szanują, jak ojca?

— Widzisz, jestem tu w tej puszczy od stworzenia świata! — odrzekł ze smutkiem król puszczy.—Byłbym zaś do końca świata królem, opiekunem i ojcem królestwa zwierząt, gdyby nie było przepowiedni, że ludzie całe to królestwo zniszczą, skoro się tylko raz do mnie dostaną.

Teraz dopiero Huk-puk przypomniał sobie, jako mu ów staruszek z siwiuteńką brodą przepowiedział, że zwycięży takiego króla, który nigdy nie widział ludzi, psów, koni i żelaza.

Król puszczy tak dalej mówił:

— Pójdź, człowieku, przeczytaj, co jest napisane na moim siedmiodębie od samego początku świata!

Huk-puk zbliżył się do siedmiodębu ze swoimi rycerzami i wyczytał:

«Dopóty będzie stała ta stolica zwierząt, póki do niej na koniach, z psami, z żelazem nie przybędą ludzie i krwi nie rozleją!»

— Któż zaś mógł napisać taką przepowiednię? — zapytuje Huk-puk.

— Nikt nie napisał, jeno zaraz na początku świata to drzewo wyrosło z ziemi i już od razu miało na sobie taki napis, a im dłużej rosło, tem napis był wyraźniejszy.

Oni patrzą, a tu siedmiodąb zaczyna się chwiać i nareszcie upadł na ziemię, gruchnął z ogromnym łomotem.

W tej chwili zrobił się tam na puszczy zamęt straszny; co gdzie jakie zwierzę było, uciekało z całych sił. Ptaki, które siedziały na drzewach, porwały się nagle, zatrzepotały skrzydłami, wzniosły się w górę, aż słońce zaćmiły, i co tchu poleciały gdzieś na dalekie bory.

— Patrz, człowieku,—mówi król puszczy — wszystko się ciebie boi, stroni, ucieka przed tobą i będzie już tak uciekało do końca świata!

— Zbierz się, pójdź z nami, będzie ci u mnie między ludźmi dobrze!—powiada Huk-puk.

— O, nie, za żadne skarby świata do ludzi nie pójdę!

— A cóż teraz będziesz robił, kiedy już nie masz żadnego królestwa?

— Będę ludziom dokuczał do końca świata, będę ich topił po wodach, wodził po lasach, żeby błądzili, będę im sprowadzał

nieszczęścia: głód, chorobę, wojny; będę ich nawiedzał wszelakimi strachami i frasunkiem.

Potem się puścił i biegł, jak wiatr. Oni za nim, a ten wpadł w ogromne bagno, w moczary takie, co ani myśleć, żeby tam człowiek przeszedł, choćby najlżejszy. Ciągnęło się owo bagno pewnie na jakie dziesięć mil wzdłuż i wszerz, a słychać tam było gwar straszny, wrzaski. Odzywały się chórem dzikie kaczory, gąsiory, bąki, żórawie, czaple, czajki, nury, łabędzie. Kiedy te przestały na chwilę wrzeszczeć, zaraz zaczynały rechtać miliony żab i gwizdać krocie żółwi.

— My i to z czasem zdobędziemy! — rzekł Huk-puk.—Potrzeba tylko przybyć tutaj z łodziami, a jeszcze lepiej spuścić wodę i bagno osuszyć.

Od tamtego czasu ludzie już wszędzie a wszędzie polują, zwierzęta zaś nigdzie nie mają kawałka ziemi na swoje królestwo, tylko w rozproszeniu tułają się po lasach, polach i ciągle przed ludźmi uciekają.

Huk-puk to wszystko zrobił; ale zrobił nie sam, jeno przy pomocy psów, koni i żelaza.

Byś i Dyś.

Potem się puścił i biegł, jak wiatr.

Jedni młynarze mieli raz parę bliźniaków, chłopców, którzy już w pierwszych latach zadziwiali wszystkich swoją mądrością. Posyłali ich rodzice do szkoły, jeno co tylko który z chłopaków przeczytał na książce, zaraz mówił do drugiego:

— A przecież ja to już wiem, po co oni mię uczą?

Drugi zaś dziwił się, że w książkach nie drukują nic nowego, jeno rzeczy znane. Chłopaki te często gęsto, zamiast iść do szkoły, zaleźli gdzie w las, w pola czy łąki i tam przesiadywali. Ludzie ich czasem zapytywali:

— Dlaczego wy się tak włóczycie? Nie lepiej to poduczyć się w szkole?

— My się też uczymy w lesie, w polu czy na łące — odpowiadali ci bliźniacy.

Prawdziwie, ogromny rozum mieli w głowie. Niejeden pogadał z nimi trochę i potem mówił:

— Ogromne objęcie mają te młynarzątka!

A tacy byli do siebie podobni, że nawet sami rodzice nie wiedzieli, który z nich Stach, a który Franek. Obaj się jąkali dobrze i w tem się tylko odrobinę różnili jeden od drugiego. Kiedy się Stach zaciął w mowie, to zmrużał oczy i, nim powiedział, co chciał, zawsze wymawiał przedtem: «bbbyś». Franek tak samo słowo w słowo

mrużył oczyma, wykrzywiał gębę, tylko, zanim powiedział to, co chciał, zawsze przedtem wymawiał: «dddyś». Tak dopiero ojciec wziął i czerwoną farbką napisał raz Stachowi na prawem uchu «Byś», a Frankowi na lewem «Dyś». Już się to znamię nigdy potem nie starło. Stach na całe życie został Bysiem, Franek—Dysiem. Kiedy ci bliźniacy skończyli po czternaście lat życia, tak idą raz obaj do rodziców i powiadają:

— My tu już nie mamy co robić w tym młynie.

— Czegóż wam się znowu zachciewa?—pyta ojciec.

— Bbbyś... większego rozumu!—rzecze Stach.

— Dddyś... większego szczęścia!—mówi Franek.

— Ha no, to idźcie w świat; ale jabym się założył, że po jakimś czasie znowu wrócicie do młyna.

Opatrzył ich ojciec, jak należy, dał każdemu spory worek pieniędzy, a matka uściskała każdego, przeżegnała znakiem Krzyża świętego. Poszli.

Idą przez pola, a tu brózdą dwa zające skik, skik, kicają jeden za drugim; wypadły na drogę i poszły za bliźniakami, nie przymierzając—psy jakie.

— Widzisz ty, te zajączki wyraźnie chcą z nami iść w drogę — powiada Byś.

— Niech idą! Jeden będzie twój, drugi mój—odrzekł Dyś.

Zające precz szły za nimi.

Weszli w ogromne jakieś parowy, jary takie z wysokiemi ścianami, że tylko niebo widać w górze, a krza, zarośli wszędzie pełno. Spojrzą w bok, a tu z jamy wylazły dwa lisy i, jakby psy jakie, biegną za nimi drogą, kitami jeno pomerdują to na prawo, to na lewo.

— Patrzno, lisy oczywiście chcą też iść z nami w drogę — rzeknie Byś.

— Niech sobie idą! Mnie one przecież nie wadzą, ile że zwierzę takie ma swój rozum i może się człowiekowi nieraz przydać.

Znowu się podzielili tymi lisami i każdy z nich miał już po lisie i po zającu.

Doszli szczęśliwie do boru. Przedzierają się ścieżkami przez gąszcze, wtem wychodzą do nich dwa wilki, zwierzęta takie ogromne, że obu bliźniaków zrazu strach ogarnął: byliby uciekali, ale na cóżby się to zdało? Tymczasem wilki one podbiegły, łaszą się do Bysia i do Dysia; zupełnie psy jakie. Także poszły za nimi w drogę.

— Skoro się tak nadarzyło, weźmy sobie te wilki: jeden twój, drugi mój.

— A weźmy! Wilczyska, co prawda, ogromne, jeno im z oczu coś dobrze patrzy.

Musieli potem przechodzić przez wielką puszczę, gdzie chyba noga ludzka jeszcze nie postała: starodrzew wszystko, siwiuteńkim mchem od starości obrosły.

Naraz słyszą, w blizkości rozlegają się ryki straszne.

— Cóż to takiego?—zapytuje Dyś.

— Skoro ty nie wiesz, skądżebym ja wiedział? — odpowiada Byś.

Ledwie to powiedział, kiedy nagle spostrzegli, że z kniei idą ku nim dwa potężne niedźwiedzie; kręciły one łbami, a na bliźniaków spozierały ciekawie.

— Serce mi okrutnie bije ze strachu—powiedział Dyś.

— Lepiej oto cicho bądź, bo takie zwierzęta mogą nie lubieć ludzkiego głosu—szepnął Byś.

A niedźwiedzie nic nie pytają, tylko walą za nimi drogą.

Kiedy bracia spostrzegli, że te niedźwiedzie ciągle za nimi idą, tak się między sobą podzielili znowu: każdy z nich wziął sobie jedną sztukę.

Jeszcze potem nadbiegły dwa dziki, odyńce ogromne takie, że każdy chyba z jakie dziesięć centnarów ważył, a kły bieluteńkie sterczały im u ryjów i świeciły się, że aż okropność.

— To ci dopiero mamy przyjaciół!—rzecze Byś.—Nie potrzeba się teraz bać zbója ani rabusia.

— Juści prawda, że pod taką opieką spokojnie się można wyspać.

Uszli już setny kęs drogi, a wszystkie te zwierzęta ciągle przy nich były. Wtem w jednem miejscu zobaczyli rozstajne drogi, tak Byś staje i mówi:

— Mój bracie, tu nam się trzeba pożegnać! Idźże ty sobie na lewo, a ja pójdę na prawo! Kiedyś tam to się tu możemy zejść znowu.

— Ha no, zróbmy tu znak jaki na wszelki wypadek! — powiada Dyś.

Wtenczas Byś wyciągnął z za pasa długi nóż, Dyś także; poszli tam pod jeden krzak i wbili one noże w ziemię, a na trzonkach wyznaczyli, jako jeden nóż jest Bysia, drugi Dysia. Umówili się zaś w taki

sposób: kto pierwszy powróci i zobaczy, że nóż brata rdza stoczyła, będzie to znakiem, jako ów brat już nie żyje.

Dobrze. Zrobili tak i potem się zaczęli serdecznie ściskać, całować na pożegnanie.

Byś ze swojemi zwierzęty poszedł na prawo, Dyś ze swojemi na lewo.

Trzeciego dnia po tem rozstaniu Byś spotkał na drodze prześliczną karetę, a przy karecie na tęgich koniach jechali dwaj wojacy. W takiej okrutnej puszczy dziwno jest, kiedy się spotka człowieka; tak oni chcieli pogwarzyć z nim, a on z nimi. Ale ci rycerze bardzo się bali zwierząt; dopiero ich uspokoił temi słowy:

— Te moje zwierzęta są bardzo dobre, wszystko toto łaskawsze, niż drugi pies przy domu. Bezpiecznie możecie pogłaskać po kudłach niedźwiedzia czy wilka.

— Mocny Boże, — odzywają się oni — żeby to taki łaskawy był ten zwierz, do którego teraz jedziemy!

— Dokądże wy zaś jedziecie?—pyta Byś.

— Niedaleczko stąd, za wysoką górą, jest ogromna jama, a w tej jamie mieszka okropny smok, co już pożarł połowę wszystkich ludzi w naszym kraju.

— Bójcież się Boga, i do tego smoka jedziecie?

— A do smoka, bo przyrzekł, że, jak mu przywieziemy księżniczkę, cud piękności, to się od nas odwróci i pójdzie sobie na inne kraje.

— Gdzież znowu jest ta księżniczka?

— Siedzi zamknięta w karecie i lamentuje nieboga, jako ją niezawodna zguba czeka.

— Pokażcieno mi ją; możebym ja się tu na co przydał!

Ci otworzyli drzwiczki karety, Byś patrzy i aż osłupiał, jako od tej pani biło tak jak od słońca: nie można było patrzeć.

— Eee,—powiada Byś—to być nie może, żeby smok miał pożreć takie śliczności!

— Radź, człeku,—mówią rycerze—to ci się opłaci, bo księżniczka stanie do ślubu z tym, kto ją uratuje.

— Czy wy aby rzetelną prawdę mówicie?

— Spytaj się jej sam, a usłyszysz.

Byś zaraz podszedł do karety i pyta, ona mu zaś na to:

— Młodziak taki jesteś i do tego jąkała, gdziebyś znowu dał radę smokowi!

— Bbbyś... A jak dam, to co będzie?

— Ja przecie słowa nie cofnę, masz na to moją rękę.

Cóż tu robić? Byś odszedł na bok, pomyślał chwilkę, potem pyta rycerzy:

— Jest tu gdzie miasto albo wieś taka, żebym tam znalazł jakiego zręcznego kowala?

Oni mu odpowiadają, że za dzień i za noc dobrym kłusem można dojechać do takiego miejsca, gdzie jest doskonały kowal.

— To ja pojadę galopem i jutro wrócę, a wy tu mnie czekajcie!

Zgoda. Byś wsiadł zaraz na niedźwiedzia, mówi mu do ucha:

— Mój Misiu, kochaneczku, zbierajno dobrze łapy, pędź co tchu, prędzej niż jaskółeczka lata, bo mi chodzi o bardzo wielkie rzeczy!

Niedźwiedź pędzi człap, człap; ale coś w trzy godziny już się zziajał strasznie, zmęczył. Tak Byś, niewiele myśląc, chlust z niedźwiedzia na dzika, a niedźwiedziowi kazał odpoczywać i czekać, żeby go miał na rozstawne, jak będzie wracał od kowala. Potem i dzikowi kazał też odpoczywać, a przesiadł się znowu na wilka i na nim już dojechał do kowala. Oj, była też to jazda!

Byś, jak tylko wszedł do kuźni, zaraz przemawia:

— Kowalu, duszo moja, pośpiesz się, zrób mi prędziutko cztery ostre noże na krzyż! Za każdy nóż zapłacę ci trzy dukaty w złocie, ale nóż musi ciąć lepiej, niż najostrzejsza brzytwa.

Zdziwił się kowal, jako nie wiedział, na co zaś komu może się przydać taki krzyżak z noży, ale nic; zrobił swoje na obstalunek, a takie ostre było to ostrze, że łatwo mogło człowieka wpół przeciąć.

Dopiero Byś czemprędzej wrócił do tamtych rycerzy i powiada im:

— Prowadźcież mię teraz do smoczej jamy, niech ja tego szelmę smoka oduczę pożerać śliczne księżniczki!

Oni go podwieźli na swoich koniach, jeno sami z daleka z za pagórka wyglądali, jako lęk mieli straszny, żeby nie paść ofiarą.

A ten poszedł prosto do jamy ze swemi zwierzęty. Patrzy, loch, ciemności ogromne; ani podobieństwo, żeby tam człowiek wchodził, tak rzeknie do lisa:

— Lisku, tyś majster do jam takich, idźno tam, przepatrz, a smoka mi tu wygoń na otwarte pole!

Ledwie lis wszedł, już w jamie słychać było gwałt okropny: hałas taki, jakby ze sto psów ujadało. A no, potem wypadł naprzód lis, za nim zaś straszna poczwara o siedmiu łbach, z ogonem zakręconym w węża.

Jak tylko smok zobaczył człowieka, zaraz się żachnął, skoczył z wściekłością, podniósł jeden łeb w górę i Bysia wciągnął w siebie bez mała do pasa. Ale że ten bliźniak miał w ręku cztery noże na krzyż, tak chlasnął jeno po gardzieli i wyciął smokowi jęzór przy samym korzeniu.

Buchnęła z gęby posoka czarna jak smoła, a smok dopiero wypluł Bysia razem ze swoim językiem.

Zwierzęta też podczas tego nie próżnowały. Zając co raz to wpadał smokowi pod nogi i ten się ciągle potykał: musiał dobrze baczyć, żeby nie upaść na ziemię jak długi. Lis znowu dopadał z tyłu i gryzł smoka w ogon, co był u niego podobno najczulszy na ból w całem ciele. Dzik, co przyskoczył, to zaorał po brzuchu kłami, precz wypruwał ze smoka flaki: aż obrzydliwość tak się wlokły za nim kiszki, wnętrzności różne. Wilk, jako dusikobyłka i nauczny dusić barany, zakradał się ciągle, przegryzał po kolei wszystkie siedm gardzieli. Niedźwiedź dowodził zwierzętami, ryczał, a ile razy pogłaskał smoka łapą, to za każdym razem zdarł z niego porządny pas skóry i mięsa aż do kości.

Przecie smok nie mógł tego wszystkiego wytrzymać i nareszcie się przewrócił, żeby zdychać. Wtenczas go już zwierzęta dobiły do reszty.

Teraz Byś swoimi nożami wyciął mu jeszcze sześć języków i wszystkie siedm zapakował w tobołku, a potem razem ze zwierzęty wrócił do onych rycerzy, co nań czekali za pagórkiem. Księżniczkę zostawili byli w karecie dalej na drodze.

— Zrobiłem swoje, com obiecał! — powiada Byś — alem się ogromnie spracował i najpierwsza rzecz spocząć odrobinę, przespać się z dobrą godzinkę, a potem pójdę do księżniczki.

I zaraz padł na ziemię, jak kamień, położył się w jednym takim dołku, zasnął bardzo twardo. Zwierzęta takoż umierały ze zmęczenia, więc legły wkoło niego i precz pozasypiały.

Widzą to owi wojacy i zaraz jeden mówi do drugiego:

— Szczęśliwy człowiek, dostanie taką cudną i bogatą księżniczkę!

— Zabijmy go!—odrzekł drugi.—A księżniczka potem wybierze sobie jednego z nas za męża; powiemy jej, żeśmy to zabili smoka.

Ułożyli sobie, jak co mają robić, potem się cichutko podkradli do ówtego dołka i ucięli Bysiowi głowę. Idą oni do jamy, przed którą już nieżywy smok leżał, poodcinali co żywo wszystkie siedm głów, zabrali je i czemprędzej wrócili do księżniczki. Otwierają

drzwiczki karety, pokazują łby smocze, łżą przed nią, że tak a tak. Uwierzyła im i wrócili z nią do domu.

Dopiero książę, ojciec księżniczki, ogromnie się ucieszył, że go nareszcie smok nie będzie już trapił, i w te słowa przemawia do rycerzy:

— Jeden z was dostanie za żonę moją córkę i będzie księciem takim, jak ja jestem, a drugiego obsypię majątkiem, skarbami.

Kiedy przyszło do wyboru, księżniczka wybrała sobie na męża młodszego, jako sama była młodziutka. Ten drugi, starszy rycerz, został wielkim bogaczem: coś ze sto wsi w okolicy dostał na własność i ogromną moc pieniędzy.

A no, Byś leżał tak w dołku z odciętą głową, wtem pierwszy zając się przebudził i zobaczył swego pana bez głowy. Zaraz zaskrzeczał, wrzasnął przeraźliwie, beknął jak dziecko, co dopiero na świat przyszło. Na krzyk ten obudziły się i inne zwierzęta. Lament srogi, płaczą rzewnemi łzami; potem zaczęły radzić, co tu robić. Pokazało się, że lis więcej sposobny do rady, niż do płaczu.

— Tu w boru — powiada on — tylko jedne kruki wiedzą, jak wskrzesić umarłego, tylko niełatwo wydobyć od nich sekret.

— Cóż zrobić? — pyta niedźwiedź, któremu łzy siurczkiem lały się z oczu.

— Należy tu kruki koniecznie ściągnąć, — radzi lis — niczem zaś innem ich nie zwabi, jeno padliną.

Wyprawiły zwierzęta wilka, żeby gdzie jaką szkapę udusił i zrobił z niej padlinę. Wilkowi nie mówić tego dwa razy: poszedł, w jakiś czas wraca, przywlókł uduszoną kobyłę.

— Musisz ją wypaproszyć,—powiada lis—żeby wewnątrz było dla mnie miejsce.

Wilk się zabrał, wypaproszył kobyłę do czysta, a lis w nią wlazł, siedzi tam cichutko. Inne zwierzęta poodchodziły stamtąd i tylko z daleka patrzyły, co będzie.

Po niejakim czasie leciały górą kruki, spostrzegły padlinę, zakrakały, zaczęły dziobami szarpać kobyłę. Lis coraz to sobie którego kruka upatrzył i za nogi go wciągnął w brzuch szkapy: wybierał on tak same młode kruczki. Jak już wyłowił między nimi młódź wszystką i zostawił tylko rodziców, tak dopiero się odzywa:

— Poduszę wam bez pardonu dzieci, jeśli nie wydacie sekretu, jakim sposobem można wskrzesić umarłego człowieka.

Stare kruki zażerały się tą padliną i ani spostrzegły, że im poginęły dzieci. Widzą one teraz dopiero, co się święci, więc w prośby do lisa:

— Wypuść nam dzieci!... Nieżywego człowieka wskrzesić może tylko woda ożywiająca i gojąca.

— Skoro wiecie, gdzie jest taka woda, to mi jej tu przynieście; wtenczas wam dopiero dzieci wypuszczę.

Juści chyba zarówno te kruki, jak i one zwierzęta nie były prawdziwe, jeno takie zaklęte, jako w dawnych czasach wszystko szło przez czarnoksięstwo.

Kruki poleciały i pod samą noc wróciły z wodą ożywiającą i gojącą, a lis im pooddawał dzieci. Zwierzęta zaraz się zabrały do wskrzeszania Bysia: skropiły go tą wodą, przykładają głowę do kadłuba, podlewają wody i on ożył, a nawet nie wiedział, że już był na tamtym świecie.

— Dobrze cię wykierowali ci rycerze—powiada lis.

— Nie puszczę ja im tego płazem!—odrzekł Byś.

Zabrał z sobą zwierzęta i poszedł szukać księżniczki, cudo piękności, którą wybawił od smoka.

Przyszli raz na południe do jednego miasta i wstąpili do gospody, żeby tam zjeść obiad. Byś każe nakrywać do stołu na sześcioro i dać sześć butelek wina.

Zasiedli, jedzą, piją, a bliźniak podczas tego wdał się w rozmowę z gospodynią i ona mu powiedziała, że to miasto należy do takiego księcia, co córkę jego, cudo piękności, już miał pożreć smok straszny, jeno ją ocalili dwaj rycerze.

— Doskonale im się za to odwdzięczył książę, — mówiła gospodyni — bo jednemu oddaje córkę i księstwo, a drugiego obsypał skarbami. Właśnie w tych dniach odbędzie się wesele naszej księżniczki i na zamku robią ogromne przygotowania: będzie co widzieć.

— Chwała Bogu, znalazłem to, czegom szukał! — pomyślał sobie Byś.

A był zaś tak uradowany z tej wiadomości, że pięć garści złota rozdał dzieciom gospodyni. Potem poprosił, żeby mu dali papieru, atramentu i pióro.

Napisał do księżniczki list i w tym liście doniósł jej, że on, prawdziwy jej wybawiciel, znajduje się właśnie w mieście, niedaleko od zamku.

Jak tylko ów list skończył i zapieczętował, czego zwyczaj, odzywa się do swoich zwierząt:

— No, moi przyjaciele, któryś z was musi mi ten list zanieść na zamek do księżniczki, cud piękności!

Żadne ze zwierząt nie miało teraz osobliwej chęci być takim posłańcem, bo przecie przy zamku pełno żołnierzy, myśliwych, i każdy rad rzucić się na zwierzę, żeby je zabić. Ha no, zając najmniej pozorny, tak na niego obces nastają:

— Tyś jeden iść powinien, — mówią — jako na zająca nikt nawet uwagi nie zwróci!

On się ze wszystkich bał najbardziej, ale musiał iść nieborak. Byś mu obwiązał szyję chusteczką, w chusteczkę list włożył i puścił do księżniczki.

Bieży zając—kic, kic, co chwila przystaje słupka, nadstawia uważnie słuchy, a potem rusza dalej. Przeszedł szczęśliwie przez jedną wartę, a druga i trzecia także go nie spostrzegły. Jakoś w zamku psy także węch widać straciły; dosyć, że zając wpadł do pałacu, wsunął się w jeden kącik, miarkuje, jak co gdzie jest i potem pomknął prościutko do pokojów księżniczki. Widzi ona u siebie zająca, tak go zaraz pojmała, włożyła sobie w fartuszek, głaska ręką, a ogromnie rada, że zajączek taki obłaskawiony. Naraz spojrzy, a tu zając ma jakąś chusteczkę na szyi. Odwiązała toto i znalazła list od Bysia. Przeczytała, później zaś siadła i odpisała Bysiowi.

Zanim wysłała z zamku zająca, wydała przedtem rozkaz, żeby wszystkie psy tak w zamku, jak i w mieście wzięto na łańcuchy. Potem wzięła zajączka i wyniosła go za ostatnią wartę i dopiero puściła z listem.

Ale nim wróciła do domu, zapowiedziała wszystkim wartom:

— Jak tu przyjdzie jeden człowiek, co będzie miał przy sobie pięcioro zwierząt, to go bez straty czasu przyprowadźcie do moich pokojów!

Byś nie dał długo na siebie czekać. Skoro się tylko pokazał na górze zamkowej, zaraz go pierwsza warta odprowadziła do pokojów księżniczki. Ona tam prosi grzecznie siedzieć zaraz jego, jak i zwierzęta, a potem poszła rozmowa o tem wszystkiem co się stało. Księżniczka słuchała z ogromną uwagą i ciekawością, jako nie wiedziała do tego czasu prawdy o swojem ocaleniu. Bliźniak skończył i dopiero jej przypomniał, jak mu to, w karecie siedząc, podała na drodze rękę na znak, że jego żoną będzie, jeżeli on ją od smoka ocali.

— O mało żeś się nie spóźnił — rzecze księżniczka, cudo piękności. — Właśnie dziś ma być moje wesele i już tam w sali na mnie czekają. Ale skoro tak, to ja ci słowa dotrzymam.

Tymczasem książę czekał na córkę w ogromnej sali, gdzie się też zebrała wielka moc weselników. Widząc, że księżniczka tak długo nie przychodzi, ojciec zaczął się gniewać:

— Cóż ona sobie myśli? — powiada. — Na jedną kobietę czeka ze dwustu znakomitych, a ta się guzdrze.

Poszedł sam do niej, chciał jej za tę zwłokę dobrze nakłaść w uszy. Uchylił drzwi od pokoju, zagląda, a tam się dzikie zwierzęta porozsiadały na krzesłach i jakoś mu dziwnie w oczy spojrzały, gdy głowę wsunął. Zląkł się i chciał już do sali bez córki wracać, ale księżniczka tak przemówiła:

— Wejdźże, mój ojcze, dowiesz się szczerej prawdy, a złego cię tu nic a nic nie spotka!

Książę wszedł teraz i wysłuchał całego opowiadania Bysia o ocaleniu swej córki od strasznego smoka.

Złość go okrutna zdjęła, porwał się z krzesła jak szalony i pobiegł na salę między gości. Ci patrzą, co się stało, że księciu aż iskry z oczu pryskają, a on stanął przy stole i grzmotnął pięścią na znak, że ma coś ważnego powiedzieć. Stół aż podskoczył, a wśród gości, jakby makiem zasiał—cichutko. Był tam zaś także przyszły zięć księcia i ów ten drugi rycerz, który już dostał ogromne majątki.

— Powiedzcie mi, czy może być zwierzę bez języka? — zapytał książę, a był taki czerwony z gniewu, jakby go ogniem posypał.

— Nie! Nie! Nie!—wołali weselnicy na wszystkie strony.

— A jak myślicie, co za kara powinna być na takich, którzy zabili niewinnego człowieka dlatego, żeby zagarnąć to, co się jemu z prawa należało?...

Teraz już nie było zgody, jako jedni z weselników mówili, że takiego niegodziwca należy na pal wbić, inni chcieli, żeby mu kołem kości łamać, albo go ostremi bronami rozszarpać, w żelaznym piecu żywcem spalić.

Książę kazał podać odcięte smocze łby, ażeby wszyscy widzieli, że przy każdym łbie brakuje języka. Ci dwaj rycerze, co się podali za oswobodzicieli księżniczki, nadrabiali jeszcze miną, bo myśleli, że Byś nie żyje. Osłupieli dopiero całkiem, kiedy Bysia i jego zwierzęta książę kazał wprowadzić na salę. Bliźniak czemprędzej wydobył z tobołka smocze języki i znowu opowiedział wszystkim, jak on to zgładził ze świata smoka.

Zaraz się potem weselnicy dopominali, żeby co rychlej stracić tych dwóch rycerzy, którzy nie żadnego smoka zabili, jeno niewinnego

...za nim zaś straszna poczwara o siedmiu łbach...

Bysia, a oszukali w podły sposób księżniczkę i księcia. Książę już nie zwlekał z wyrokiem śmierci—zaraz kazał przyzwać do siebie kata i dał mu rozkaz, żeby się z tymi panami rycerzami załatwił.

Rzecz prosta, bliźniak nasz pojął za żonę księżniczkę, cudo piękności, i oboje żyli z sobą bardzo szczęśliwi. On się nazywał księciem Bysiem, ona—księżną Bysiową.

Opowiadała raz księżna mężowi, że coś o sto mil od tamtego ich zamku jest bardzo osobliwa pustynia, gdzie wszystko dobre rośnie: migdały, kawa, wino, cytryny, figi, pomarańcze i inne rzeczy. Tylko na tej pustyni jest też wielka góra, a w górze przebywa bardzo zła czarownica, co okrutnie szkodzi każdemu, kto się do niej zbliży.

— Cóż to! smoka strasznego zmogłem, a babie nie dałbym rady!—zawołał Byś.

On lubiał różne takie awantury, co to kark łatwo można skręcić, tak się jednego dnia wybrał ze swemi zwierzęty w podróż do onej pustyni. Po niejakim czasie zaszli tam i stanęli pod górą. Obchodzą wkoło, szukają jakiego śladu i naraz Byś spostrzegł drzwi mocne, dobrze zaparte. Zapukał raz, drugi—nikt nie otwiera; zaczął się dobijać mocniej, jeno to też nic nie pomogło. Pokręcił głową, potem się zwrócił do swych zwierząt i tak mówi:

— Moi przyjaciele, kto z was umie się dobrze podkopywać, niech kopie! Kto z was ma dużo siły, niech się pod te drzwi podsadzi, żeby je wywalić!

A no, kopią, szturmują, aż drzwi padły—i zobaczyli przed sobą wielką pieczarę. Weszli tam i spostrzegli czarownicę, siedzącą na ławie: mrugała oczyma, klapała zębami i siedziała ciągle.

— Ruszże się, poczwaro, zejdź z ławy!—krzyknął Byś.

Drgnęła na to wołanie, ale z ławy nie zeszła, tylko odpowiedziała:

— Jeżeli chcesz, żebym się ruszyła, rzuć ciernie na największe ze swych zwierząt!

On rzucił ciernie na niedźwiedzia, a wtem wszystkie jego zwierzęta skamieniały i on także. Jak tam weszli i stanęli, tak na swoich miejscach pozostali: figury takie z litego kamienia.

Gdy się to wszystko działo, drugi bliźniak, Dyś, odbywał po świecie wędrówkę. Nachodził się on niemało ze swemi zwierzętami i nareszcie postanowił wrócić do domu, do ojcowskiego młyna. Przychodzi on na rozstajne drogi, gdzie się był przed laty pożegnał

z bratem, i zaraz szuka pod krzakiem nożów, wetkniętych w ziemię. Wyciągnął nóż Bysia, patrzy—rdza go ogromnie stoczyła.

— Trudno—mówi do zwierząt,—muszę się przecie dowiedzieć, co się też stało z moim braciszkiem, Bysiem.

A no, zboczył teraz na prawo i poszedł szukać brata po szerokim świecie.

Idzie, przepatruje, a pyta na wszystkie strony, aby tylko zachwycić języka i módz się potem miarkować.

Dobrze się był natułał, naponiewierał, zanim przyszedł do jednego miasta i wstąpił tam akurat do tej samej gospody, gdzie to raz brat jego jadł obiad ze swemi zwierzęty. Gospodyni, która dobrze znała Bysia, zięcia książęcego, myślała, że to ten sam, jako podobieństwo było zupełne; tak zaraz poczęła ogromnie nadskakiwać Dysiowi i pochlebiać.

— Słyszałam — mówi ona,—że wasza książęca mość odbył wyprawę na pustynię; w całym kraju ludzie o tem tylko mówią. Dopiero się na zamku ucieszy księżna pani, skoro zobaczy, że godny małżonek cało powrócił!

On tylko słuchał, co ta kobieta mówi, a w duszy sobie pomyślał:

— Bardzo dobrze! Dowiedziałem się, że mój braciszek ożenił się, został księciem i przepadł na wyprawie do jakiejś pustyni. Już ja tu wszystko wyśledzę.

Kazał nakryć do obiadu na sześcioro i podać sześć butelek wina.

Przecieby i to także każdego stropiło, że, nie mówiąc już o zupełnem podobieństwie do Bysia, Dyś miał te same zwierzęta, co i brat jego.

Siadł w onej gospodzie do stołu, je, pije; zwierzęta także. Po obiedzie obdarzył szczodrze dzieci gospodyni, dał im po garści złota: i naturę mieli taką podobną obaj ci bracia—co jeden z nich zrobił, drugi robił to samo.

Zabrał się potem Dyś, poszedł na zamek. Ledwie tu przybył, warty mu zaraz robią wszystkie honory, bo widzą, że z wyprawy do pustyni wrócił zięć książęcy.

Wszedł do pałacu, jak do własnego domu. Księżna myślała, że mąż, więc mu się rzuca na szyję, a stary książę ściska go znowu serdecznie, jako zięcia: podobieństwo było takie ogromne. On się tam nie wzbraniał, bo chciał usłyszeć jak najwięcej o Bysiu, żeby potem wiedział, co ma robić. Oprócz tego, jeszcze jedno miał w głowie:

— Gdybym się teraz przyznał, kim jestem, zasmuciłbym tylko księżnę i starego księcia: myśleliby, że Byś na zawsze już przepadł.— Tak sobie myślał w duszy.

Zasiedli do wieczerzy, rozmowę żywą prowadzą. Księżna i jej ojciec wypytują Dysia, jak tam jest na tej pustyni, co robi zła czarownica. On zaś precz im opowiada swoje własne przygody, jako sam różności przecie doświadczył na swej tułaczce po świecie. Czy on to jedną pustynię widział? Czy z jedną czarownicą miał do czynienia? Ubawili się ogromnie.

Ale po wieczerzy on już nie miał ochoty stroić z nimi takiej komedyi: coś go w sobie korciło, że ich niby obełgiwa. Tak powiada, że musi sobie sam na sam wypocząć, jako jest podróżą i wszystkiem okrutnie zmęczony. No, z rozmów takich dowiedział się wszystkiego o bracie, więc teraz po kryjomu opuścił zamek.

Skoro tylko wszedł w las, powiada do swoich zwierząt:

— Moi przyjaciele, niema innej rady, jeno kto z was mocniejszy, niech mię niesie! Chodzi o pośpiech, bo tam na pustyni z bratem moim coś niedobrego stać się musiało.

Kolejno dosiadał niedźwiedzia, dzika, wilka—i pędzili tak porządnie, aż ziemia w lesie dudniła i drzewa się trzęsły. Oj, byłaż to jazda!

W jakiś czas przybył Dyś na pustynię, stanął pod górą, w której czarownica mieszkała. Obchodzi oną górę wkoło, szuka tam jakiegobądź śladu, patrzy—drzwi. Zaczął pukać—na nic, dobijał się—nikt mu nie otwarł. Tak kazał jednym zwierzętom drzwi podkopywać, a drugie się znowu pod te drzwi podsadzały. Potem było zupełnie to samo, co się przytrafiło Bysiowi: drzwi z trzaskiem padły, a oni weszli do ogromnej pieczary. Siedziała tam na ławie stara czarownica, mrugała oczyma, kłapała zębami, a przed nią stał skamieniały Byś i skamieniałe jego zwierzęta.

Dyś spojrzał tylko i już wiedział, co ma robić.

— Zejdź-no zaraz z tej ławy, pójdź tu do mnie na sprawę! — krzyknął na babę tak silnie, że się aż echo w pieczarze odbiło.

Ona mu każe rzucać ciernie na największe z jego zwierząt.

— Cóż sobie ty, czarownico, myślisz, że ja cię będę słuchał? — zawołał. — Chcesz mię, szelmo jedna, zgubić tak, jak mojego brata? Niedoczekanie twoje!

I zaraz skoczył do baby, chwycił ją za włosy, ściągnął z ławy, a potem zaczął kijem walić z całej siły, aż kości w niej trzeszczały. Dużo zniosła, nareszcie prosi:

— Przestań, to zdejmę zaklęcie z twego brata!

— Zdejmij czemprędzej! a nie, to cię na miejscu uśmiercę!

Czarownica pomruknęła coś, zrobiła jakiś znak ręką i od razu Byś jako też jego zwierzęta ożyli z martwych kamieni. Ogromnie serdecznie witali się bracia bliźniacy po długiem niewidzeniu.

Teraz zwierzęta, co ich tam było dziesięcioro, nie chciały w żaden sposób przebaczyć onej czarownicy. Niedźwiedzie w oka mgnieniu wywlokły ją z pieczary; potem się toto wszystko rzuciło na babę, no i poszarpało ją w drobne strzępki.

Kiedy tam przybyli, to ich ani książę ani księżna Bysiowa nie mogli rozróżnić: łatwo było wziąć jednego za drugiego. Dopiero Dyś im pokazuje, że ma znak na lewem uchu, a drugi bliźniak na prawem, i już ich po uszach poznawali.

Zabawy i uciechy dużo było na zamku: wszyscy balowali przez jakie dziesięć dni z radości, że wszystko tak dobrze się skończyło.

Nareszcie jednego dnia po obiedzie Dyś ociera usta i powiada:

— Moi kochani państwo, ja was pożegnam, bo mi czas w drogę.

— A dokądże ty zaś iść zamyślasz?—pytają.—Cóż ci z nami złego?

— Wracam tam, skąd wyszedłem: do młyna. Bywałem ja w zamkach, w pałacach różnych, widziałem ogromne bogactwa, skarby, a zawdy mi było tęskno do młyna i przez to losu nie zrobiłem na świecie.

Skoro tak chciał, więc go odwieźli do młyna z wielką paradą.

Zdziwił się młynarz, kiedy ujrzał, że do niego zjeżdża takie państwo wielkie; bo stary książę także pojechał tam z córką. Ale jeszcze bardziej się zdziwił , kiedy poznał swoich synów bliźniaków.

Wtenczas Byś opowiedział ojcu i matce, jakie go szczęście spotkało na świecie

Potem Dyś mówił, że mu ciągle było tęskno do młyna i przez to szczęśliwego losu nie zrobił.

— Ha, no — powiada im ojciec, — jeden z was poszedł szukać w świecie większego rozumu i znalazł szczęście; drugi szukał szczęścia i znalazł rozum.

SYN BOGINKI.

Zasiedli, jedzą, piją...

Było raz małżeństwo, mąż i żona, zwali się Kręciszowie, bogaci ludzie na roli, jeno bezdzietni. Jako już mieli wiek stateczny, to się frasowali, że pomrą, a majątku nikt bliższy po nich nie odziedziczy. Próżno się martwili, bo im Pan Bóg dał nareszcie chłopaka, którego na chrzcie świętym ochrzcili imieniem Wojtek: sam sobie takie imię przyniósł.

Cieszyli się ogromnie, ale nie długo.

Na trzeci dzień po chrzcinach musiała Kręciszowa wyjść z chałupy po ogień do sąsiady; poszła z garnkiem, prosi:

— Sąsiado, użyczcie mi ognia, jeno prędko, bom dziecko samo jedno zostawiła w chałupie!

Ale ta sąsiada nie miała ognia — wygasł jej przez noc, i Kręciszowa musiała z garnkiem biegać do innej chałupy.

Wraca ona do domu z ogniem, zadyszana, spogląda na dziecko i wszystko jej się zdaje, że to nie ten sam jej Wojtek, tylko jakieś inne dziecko. Nic nie mówi—czeka, aż mąż nadejdzie. Kręcisz niedługo potem przyszedł i baba do niego rzecze:

— Spojrzyj-no bacznie na to dziecko!

Spojrzał.

— Cóż takiego?—pyta.

— Nie uważasz ty, że to tak, jakby nie nasz Wojtek?

— Prawda święta, tamten miał jakąś mniejszą głowę!

— A no, to, jak raz, nie nasz; bo ten i oczy ma takie bez koloru!

Co rychło przyzwali kumę, kumotra, mówią im:

— Moiściewy, obejrzyjcie-no swego chrzestnika! Ten on, czy inny?

Ci go oglądają z każdziutkiej strony, pytają Kręciszów:

— O cóż wam zaś chodzi?

— Jakże wy myślicie? Wojtek to będzie, czy nie Wojtek?

— Wojtek był chyba jakiś inny, nie miał chyba tylaśnej głowy.

— O rety, toć rychtyk!—powiada Kręciszowa.—Jak temu dziecku z wiekiem ciągle będzie rosła głowa, to pewnikiem urośnie z tyla co ćwierć!

— Juści urośnie, co nie ma urosnąć!—powiadają.

— Moja kumo, rzeknijcie swoje zdanie: Co się stało?

— Nic innego, tylko wam Boginka musiała dziecko odmienić: tamto zabrała, a swoje podrzuciła. Pewnieście kolebki nie obłożyli zielem, dzwonkami tymi...

— W samej rzeczy—odzywa się kumoter,—będzie temu z godzina, albo i więcej, na własne oczy widziałem jakąś babę; na wyścig rwała z dzieckiem do lasu.

— A no, to Boginka, jak amen w pacierzu!... To dziecko może być niechrzczone.

— Jak jest Boginki, nie może być chrzczone!

Dopiero w chałupie zmartwienie, bo trza odchować nie tylko nie swoje, ale nawet nie ludzkie dziecko, strasznie odmienne.

Schodzili się tam różni ze wsi—radzą, co począć. Jedna stara kobieta raiła, że takie dziecko, podrzucone przez Boginkę, trzeba porządnie zbić, żeby na cały głos wrzeszczało. Kiej Boginka posłyszy, że się jej rodzonemu krzywda dzieje, przybieży z lasu i odda prawdziwe dziecko, a zabierze swoje.

Bić, to bić. Kręciszowa wzięła i wyplaskała tego małego uczciwie raz, drugi, trzeci, na gółkę. Darł się chłopak w niebogłosy, aż cały zsiniał; ale Boginka nie przyszła: może ta nie usłyszała i nie odniosła tamtego prawdziwego Wojtka. Potem przywykli jakoś rodzice i do tego, a stary Kręcisz nieraz mawiał:

— Na dwoje babka wróży: nieprawdziwy, albo li też prawdziwy!

Odchowali go zupełnie jak swego własnego. Tylko serca nikt osobliwie nie miał do tego chłopaka, niby kóli onej niepewności. A głowisko mu urosło setne, nikiej wiadro.

Do żadnej roboty nie był zdatny—okrutny niemrawiec, dziamdzia taki. Ale się go też nie trzymały i figle żadne, jak innych chłopaków. Próżniaczysko ogromne, jacy z kąta w kąt łaził, a poziewał.

— O, jak mi się też przykrzy!—mówi.

— Musi ci się przykrzyć, skoro masz lenia w sobie—rzecze Kręciszowa.

Do jednej rzeczy miał sposobność: obżartuch był ogromny. Żeby nie wiem jaką miskę postawili przed nim, to ją uprzątnął czyściutko i jeszcze palce oblizał. Jak zaś przyszło cobądź robić, zawdy zasnął.

Wiedzieli ludzie ze wsi, że to niekoniecznie ludzkie dziecko, jeno pewnie dyablicy z lasu, więc go nikt nie uważał: za nic go mieli.

Było mu już pewnie ze szesnaście lat, kiedy raz ojciec tak mu zapowiedział:

— Ruszaj mi, wałkoniu jeden, do stodoły, narznij sieczki dla koni! Niech choć aby tyle wyręki mam z ciebie w domu!

A no, poszedł do stodoły niby też to rznąć sieczkę, a wlazł w zapole i mówi sobie:

— Co ja mam po próżnicy targać swoją siłę!

Dopiero się zagrzebał w słomie i spał jak kamień.

Wchodzi do stodoły ojciec, a tu ani Wojtka, ani sieczki. Zeszedł go tam w zapolu na spaniu; jak też odpasał pas, jak zacznie bić: skatował strasznie chłopaka.

Wojtek ani mruknął; wytrzymał bicie; ale się potem zabrał i poszedł precz z chałupy; powiedział matce, że idzie do służby, a jego już tak ciągnęła zła natura.

Akurat było jakoś po strasznej nawałnicy, co tam spadła z gradem, z piorunami: chmura się pono oberwała i narobiła ludziom szkody. Chłopak wyszedł za wieś; idzie groblą i spotyka jakichś dwóch czarnych ludzi, a każdy z nich trzymał pęki sznurów. On myślał, że to są kominiarze z Działoszyc, co wsi obchodzą i, gdzie wypadnie, wycierają sadze w kominach. A to byli płanetnicy, którzy spadli na ziemię, jak się tam chmura oberwała. Tak ci się zaraz na Wojtku poznali i wzięli go ze sobą.

— Pójdź do nas — powiadają; — będzie ci dobrze: jedwabne życie!

— A jakąż wy mi zaś robotę dacie?

— Co ci teraz mamy gadać. Pójdź z nami... a jak ci się nie spodoba, to odejdziesz! U nas niema żadnej niewoli.

Uszli kęs drogi—wstępują do jednej chałupy... proszą baby, żeby im dała mleka od czarnej krowy; sami się napili i Wojtkowi też dali. Poszli.

Przychodzą potem nad jakiś wielki staw—a tu się czarna chmura opuszcza z nieba, aż do samego dołu. Wtenczas ci dwaj mówią do Wojtka:

— Siadaj na tę chmurę, usadów się z wygodą, bo pojedziemy!

Przez chwilkę się wagował, ale wsiadł—i oni takoż wsiedli, wołają:

— Wio, bure, na górę!

Niby chmurom tak przykazywali.

Zrobił się zaraz szum, war jakiś—kipiało tam, a tak dudniło, jakby kto tysiące koni pędził. Zajechali pod niebo. Wojtek spogląda, a tu naokoło niego same płanetniki, jeno ci dwaj, co z nim przyjechali, byli starsi, majstrowie sami, a reszta—czeladnicy. Jedni na komendę brali chmury na powrozy i ciągnęli, kaj im przykazano; drudzy znowu dmuchali tam w chmurach na deszczówkę i lód z niej robili, a inni ten lód siekali na kawałki, żeby mieć grad; przesypywali toto z miejsca na miejsce i dopiero rzechotało, nikiej orzechy. Spodobało się Wojtkowi takie rzemiosło: precz robił grad; oddawał go pod miarą na ćwierci; albo przeciągał i przesuwał chmury nad różnemi wsiami; puszczał miejscami grad, miejscami dżdże. Po jakimś czasie przychodzi do niego jeden z tych majstrów i powiada:

— Dosyć już masz wyćwiki w tej robocie; pójdziesz teraz robić śnieg, bo go mało co mamy na zimę.

Musiał teraz Wojtek heblować takie cieniusieńkie wióry z lodu, że toto było lżejsze od pierza. Ale nie umiał dobrze lodu zasłaniać od słońca i szkody im tam narobił.

Z dobre pół roku czasu zbarłożył u tych płanetników, aż raz słyszy komendę:

— Ustawić chmurę prosto nad Kręciszową chałupą!

Poszedł tam na tę chmurę, wywiercił sobie dziurkę i patrzy: akuratnie ta chałupa, gdzie się odchował, a dalej struga, błonie, gdzie pasał bydło, gęsi. Tak mu się cno zrobiło do ludzi, ile że spostrzegł matusię na podwórku, jak przed deszczem zbierała z płotu szmaty. Wziął i skoczył, spadł rychtyk na strzechę Kręciszowej chałupy.

Spostrzegła go tam matka i pyta:

— Wojtek, czyś to ty?

— Toć ja, ja sam, matusiu!

— Oj, zbytniku jakiś! mało ci miejsca na ziemi, żeś aż na kalenicę wylazł? Schodźże prędzej, bo deszcz zaraz lunie z tej czarnej chmury!

— Mnie ta deszcz i chmury nie żadna dziwota!

Tak sobie matka nie mogła nijak zmiarkować, dlaczego on tak mówi.

Przyszedł potem do izby—przeciąga się, ziewa i rzecze:

— Spracowałem się ogromnie, moi rodzice, i przyszedłem się tu do was wyspać!

Oboje Kręciszowie spoglądają nań, a on—kocmołuch taki czarny, że aż niemiło patrzeć.

— Kajżeś ty znowu bywał, coś tak poczerniał?—pyta ojciec.

— Żałujecie mi kawałka chleba, tom musiał chodzić po zarobkach, jako darmo nigdzie jeść nie dają.

— A umyjże się, ladaco, bo patrzeć na ciebie przykro!—rzeknie matka.

— Moja czarność od wody nie puści. Dajcie mi się czem posilić, potem pójdę do stodoły na spanie!

— Oj, ty paliwodo, płanetniku jakiś!—zawołała matka.

A on się spojrzał i powiada:

— Skądże wy znowu wiecie, żem ja płanetnik?...

Zaraz zastanowiło rodziców to jego pytanie: bo jakby był synem Boginki, to mógł być i naprawdę płanetnikiem.

Wyjadł wszystko, co tylko było w warmiczkach, i pyta:

— Nie macie, matusiu, już nic do jedzenia?

Dodała mu jeszcze Kręciszowa pajdę chleba z masłem, a później poszedł spać do stodoły. Przesiadywał już przy tych rzekomo swoich rodzicach; ale się nie brał do żadnej zwyczajnej roboty, a czasem się odzywał:

— Ja to tylko umiem robić, czemu nikt nie poradzi.

Widzi on raz, że na polu jest taki kręciel, wiatr, co go też dyabelskim tańcem zowią; na drodze to porywa kłąb kurzu i młynkiem w górę niesie, a tam w polu porywał garści zboża, mierzwił i roznosił: nikt tego potem w porządny snopek nie mógł związać. Tak Wojtek popatrzał tylko i pyta chłopów, którzy tam byli przy robocie:

— Nie ma też tu kto z was porządnego noża przy sobie?

Jeden chłop miał i podał mu taki długi nóż, wyostrzony. On wziął, chuchnął na ostrze, pociągnął po cholewie i czekał chwilę, aż się taki kręciel zerwie, zacznie mierzwić garści zboża. A no, zaczęło się—powstał młynek i wichrzył ze zbożem pożętem. Wojtek podchodzi, przymrużył jedno oko, a drugiem celuje i dopiero naraz skoczył, sygnął tym nożem. W ten moment wszystko ustało, precz sobie gdzieś poszło.

— Cóżeś ty zaś takiego zrobił?—pytają chłopi.

— Nie widzieliśta? Przebiłem go ówtym nożem.

Już się nawet nie pytali, kogo on przebił, ani tego noża nikt nie chciał poszukać i podnieść, jako wiadome było, że Wojtek w złego utrafił.

— Oj, nie jest on prosty Wojtek Kręcisz, skoro kręcielowi poradzić może!—tak mówili chłopi.

Szło precz na okolicę, że ten chłopak z ogromną głową lepiej różności zna, niż druga baba, co uroki odczynia, albo wróż jaki. Przychodził do niego ten i ów po kryjomu, jak trzeba było zaradzić jakiej nieczystej sile.

Zjawia się raz jeden chłop i powiada w te słowa:

— Wojtek, możebyś mi ty co naraił, bo prawie co noc dusi mię zmora. Jużem się zamykał na kłódkę, kładł pod poduszkę siekierę, nóż... na nic.

— Jakże ona was dusi?

— No, czuję w sobie okropną duszność i strach, a nijak się obudzić nie mogę i, choć chcę krzyknąć, to się jeno spocę, zmorduję, ale pary ze siebie nie puszczę. Schudłem nikiej słomka, opadłem z ciała.

— Rada na to będzie, jeno ja sam muszę iść do was i nocować w waszej chałupie przez tyle dni, ile wypadnie. Ale pamiętajcie, żeby w całej wsi nikt a nikt nie wiedział, że ja u was jestem! Ogromny sekret!

I poszedł z onym chłopem do jego wsi. Dali mu tam dobrą wieczerzę; podjadł sobie doskonale, potem kazał, żeby mu zrobili posłanie ze świeżego siana pod nalepą i drzwi od izby zostawili na noc otworem—choć taka zmora może się też przecisnąć przez najmniejszą szparkę.

Tej nocy pierwszej zmora wcale nie przyszła i chłop się wyspał, aż mu rano oczy zbielały na zdrowie.

— Żebym ja się to co noc tak wyspał—powiada,—przyszedłbym wnetki do siebie, bo uważam, że mi sen potrzebniejszy niż jadło.

— Moja w tem rzecz! — odrzeknie Wojtek. — Jak wam z piersi nie będzie krwi ssało, to przyjdzie i sen i zdrowie.

— Bóg ci zapłać za obietnicę!

Nazajutrz ogromnie go przez cały dzień podejmowali—dawali mu jeść, co zechciał: jajecznicę, kluski z mlekiem, ser, chleb z masłem, baba usmażyła mu nawet gołąbka, i wódki się też napił, a później wyspał się popołudniu w stodole.

A no, nadeszła noc—znowu tam drzwi od izby nie zaparli, a jemu posłali przy nalepie. Kiedy już wszyscy twardo spali, on sam jeden czuwał, jako za dnia należycie swoje odespał. Naraz—tup, tup, tup!—coś do izby wpadło. Rozgląda on się—kociur ogromny, ślepie mu się w ciemności świecą, jak światła na roratach; chwileczkę posiedział sobie na izbie, potem idzie i chyc prosto na łóżko, gdzie się chłop położył. Jak się już ten kot odrobinę zasiedział, wtenczas dopiero Wojtek cichuteńko na bałyku do łóżka podszedł, kota za kark capnął i zaczął tłuc, walić o ziemię, ciągle zaś dziesiętował:

— A nie chodź po nocy, psia duszo zatracona!

Pobudzili się wszyscy w izbie na ten hałas; ale nikt nie śmiał słóweczka pisnąć ze strachu:—niech się tam Wojtek upora ze zmorą! On zaś tego kota stłukł na kwaśne jabłko, później go wyniósł za drzwi, wyrzucił na podwórko i teraz dopiero drzwi do izby mocno zaparł. To wyraźnie przez jakiś czas słychać było za oknem stękanie ludzkie: juści zmora była.

Na drugi dzień powiada Wojtek do tamtego chłopa:

— Powiedzcież, nie przeszkadzało wam co w nocy?

— Obudziłem się po północku, kiedyście tę zmorę mordowali, i już potem do świtania nie spałem: lęk miałem okropny. Alem teraz strasznie kontent, żeście jej, Wojciechu, dali taką odprawę.

— Co noc teraz będziecie rzetelnie sypiali, bo się zmora już przyjść do was nie waży. Uważajcie sobie tylko, która też baba we wsi będzie kulała przez jedenaście niedziel, to ona była zmorą, co was dusiła, jeno jej już od was na zawsze wara! No, każcie swojej kobiecie uwarzyć żuru na szperce i do tego kartofli ze skwarkami; pośniadam i pójdę... Jakby jeszcze upitrasiła tej paradnej jajecznicy, com ją tu jadł wczoraj, toby nie było nic nadto.

Wojtek pośniadał sobie uczciwie i poszedł.

Niejednego on od zmory zwolnił—równo w swojej wsi, jak i we wsiach innych.

Ale znowu coś o milę, za lasem, przy bocznej drożynce, było takie bajorko, które daleko w łąki zachodziło, a jednym brzeżkiem dochodziło do drogi i ludzie tamtędy musieli przejeżdżać. Złe tam psociło, taplało ludzi i konie. Postawili figurę, świątka takiego—nie pomogło. Jaki taki wolał nieraz milę nadłożyć i innej drogi poszukać, niż się przez ten moczar puszczać, osobliwie w nocy.

Wszyscy mówili, że pod tą wodą mieszka Topielec i on tak psoci.

Zgadało się raz o tem, bo prawie każdy człowiek tamtejszy miał jakiś przypadek na onej wodzie: jednemu konie przepadły z wozem, a sam ledwie z życiem uszedł; innego znowu wodziło z babą, wozem i końmi do samego świtu po łąkach, że aż okropność. Był tam zaś we wsi gospodarz, co pojechał do miasta krew puszczać; chciał do domu wracać krótszą drogą i na własne oczy widział przy tym bajorze Topielca. Tak się odzywa do Wojtka:

— Skoroś taki zuch, zgnęb tamtego Topielca! Zasługę będziesz miał przed Bogiem za to, że ludzi zbawisz od licha.

— Zgnębić mogę, tylko za darmo nie będę robił; mnie ojciec żywić nie chce, nieraz dobrze głodu przymrę, a pędzą mię do takiej ciężkiej pracy, co dla mnie jest całkiem opaczna.

Naradzili się chłopi między sobą, zrobili składkę: jedni dali zboża, kartofli, drudzy pieniędzy.

— Idź—powiadają,—raz zrób koniec z Topielcem!

Dopiero Wojtek wszystko, co od chłopów zebrał, oddaje matce i mówi:

— Macie tu prowiant, a nie wymawiajcie mi, że darmo chleb wasz zjadam, jako sobie zarobić umiem!

Potem się zabrał i nocą, po miesiączku, poszedł nad owo jezioro. Siadł w sitowiu, ledwie głowę coniebądź wyścibił, czeka. Nie upłynęło może siedmiu pacierzy—jest, Topielec wyszedł z wody: jeno laseczkę miał w ręce, a z lewego troka sukmany sączyła mu się woda. Popatrzył on naokoło siebie i rzecze:

— Źle! Ludzie już tędy jakoś nie jeżdżą, nie mam żadnej roboty, ani zabawy! Trzeba choć siano zgnoić chłopom na łąkach!

Dopiero się puścił w pląsach po łące, a z tego lewego troka sukmany woda się siurczkiem lała na pokosy. Biegał tak, jak ze sikawką, zmoczył wszystko do cna; wskakiwał na kopki siana i także je zamoczył. To z tego aż się opary ogromne porobiły i wisiały ponad łąkami, nikiej płachty.

Korciły Wojtka te psoty; ale cierpliwie czekał końca.

Nareszcie wyhulał się Topielec i idzie z powrotem do jeziora, a laseczką się podpiera. Dopiero teraz Wojtek nagle wyskoczył mu przed samym nosem, łap go za łeb i z całej siły ręb o ziemię, aż jękło i ten zły się odbił!

— A cóżeś ty, psia duszo, za jeden, mocny taki?—wystękał Topielec.—Pókim żyw, jeszczem takiego hamana nie widział, choć przecie taplałem ogiery i byki...

— Widzisz, trafiłeś na swego! ani drgniesz, póki cię w garści trzymam! Albo mi teraz powiedz, gdzie jest twoja moc, albo ci sprawię takie basy, że się już nigdy, przenigdy nie wyliżesz!

— Kiej ja ci nie mogę zdradzić mocy swojej; bo cóż będę na świecie znaczył, jak ją utracę?

— Musisz, sobako! — krzyknął Wojtek i zaraz go oburącz chwycił za bary, a potem grzmotnął o ziemię jeszcze mocniej niż przedtem.

— Dam ci tyle skarbów, ile tylko zechcesz, a puść, nie bij!... boś już wątrobę we mnie odbił, bebechów w sobie nie czuję!

Wtenczas Wojtek kolanami klęknął mu na piersiach, popluł w obie garści i jak też zacznie macać go po żebrach, a ciągle dogaduje:

— Ja skarbów twoich nie żądny! Gadaj zaraz, bo inaczej flaki z ciebie wytrzącham! Gdzie moc twoja?...

Topielec jeszcze się przez chwilę wagował; ale kiedy mu Wojtek znowu pięścią dojechał, tak już zaczął prosić pardonu:

— Gwałtu! Puśćże mię! Cóżem ja ci przeskrobał?...

— Nie puszczę, tyla cię wezmę na barana, zaniosę do wsi, oddam chłopom, coś ich nieraz porządnie manił i taplał!

Tak Topielec, ledwie żyw, podaje mu teraz swoją laseczkę i mówi, że w niej jest cała jego moc.

Wojtek zaraz wziął laseczkę i Topielca już z rąk popuścił, dał mu pokój, tylko go pyta:

— Cóż ty z tą laseczką robisz?

— Wodę nią otwieram i zamykam, kiedy mi się podoba. Trzeba tylko tą laseczką dotknąć morza, rzeki, czy jeziora, a wody się w oka mgnieniu rozstąpią.

— No, to mię teraz prowadź do swojego domu!

Srodze skatowany Topielec ledwie nogi powłóczył za sobą. Dopiero Wojtek trącił laseczką po wodzie i zaraz się zrobiła czyściutka ulica, jako woda ustąpiła na prawo i na lewo.

— Idź ty naprzód, a ja za tobą!—rzekł Wojtek.

Po niejakim czasie przyszli do ślicznej kamienicy, tam pod ziemią, pod jeziorem, gdzie były największe otchłanie. Topielec zapukał— otworzyła mu jego żona; weszli. Stancye—wszystko paradne, ogromny porządek na każdem miejscu i bogactwo. Rozsiadł się Wojtek na kanapie, kazał sobie dać wieczerzę; sama Topielcowa usługiwała mu do stołu i dwie jej córki, cudo piękności.

Nad ranem, kiedy już dobrze podjadł różnych potraw, zabiera się do powrotu i rzecze:

— Dobrze żyjecie, podoba mi się! Jeszcze tu do was kiedybądź przyjdę, bo ryby smaczne.

Już mu z tą laseczką łatwo było trafić do domu.

Zapytują chłopi na wszystkie strony:

— Cóż, cóż? Jakże ci też tam poszło?

A on im na to:

— Możecie teraz na moje słowo śmiało przez bajorko przejeżdżać i w dzień i w nocy, konie tam pławić, bydło poić: nic nie dokuczy.

Jeno wszystkiego, jak się z Topielcem rozprawiał, nie chciał zeznać; powiedział chłopom, że się o takich rzeczach publicznie nie mówi: «ci, co słuchają, mogliby poumierać.» Więc go już nie napastowali.

Niezadługo potem przyszedł do niego po radę chłop jeden, mizerak straszny taki, że w całem obleczeniu były tylko łaty, a w łatach dziury; człowiek ogromnie zbiedzony, aż żółtość na niego padła.

— Słyszałem, mój Wojciechu — powiada, — że różne kawałki i sztuki znacie; możebyście i mnie pomogli.

— Skoro się dowiem, w czem rzecz, to może wam pomogę.

— Jakiegoś osobliwego stracha mamy w chałupie: nocami łazi, tłucze się po izbie, po komorze. No, a jak tylko zmierzch, to ustawicznie słychać pisk jakiś w nalepie, czy pod nalepą; bo trudno pomiarkować gdzie.

— A widzieliście kiedy, jak toto wygląda?

— Ja nie widziałem, jeno kobieta moja nieraz widziała cień taki biały i powiada, że chyba musi dusza jaka u nas pokutować.

— Idźcie do domu i powiedzcie swojej kobiecie, żeby dziś dla mnie była wieczerza jak się patrzy; przyjdę tam wieczorkiem.

Chłop nic nie odrzekł, poszedł do domu.

Na wieczór przychodzi Wojtek do tej chałupy, gdzie straszyło, pyta:

— Jest wieczerza?

Podchodzi do niego na to gospodyni i z płaczem rzecze:

— Moiściewy, toć ja wam nie mam co dać na wieczerzę, jako wszystkiego u nas brakuje; te dzieci swoje oto karmię płonkami, głogiem, tarkami.

— Jakto! i krowy nie macie?

— Krowina jest, jeno jej wymiona tak przyschły, że kropli mleka nie puszczają, żeby nie wiem jak doić.

— Nawet i chleba w chałupie nie macie?

...i patrzy: akuratnie ta chałupa, gdzie się chował...

— Ani okruszyny niema. Żeby chleb był... mój Boże, czegóż więcej trzeba!

— Rozpalcież choć ogień na nalepie! W ciemności trudno wysiedzieć.

— Z czegóż ja, nieszczęśliwa kobieta, rozpalę? Chybabym tę starą ławinę porąbała; ale nie mam ani siekiery, ani nawet kozika w domu.

— No, to mi pościelcie koło nalepy!

— Czemże zaś pościelę, kiej ździebełka barłogu nie mamy?

— Dobrzem wyszedł!—powiada Wojtek.

I markotny usiadł na ławie, podparł rękami głowę; ale ława była zepsuta i wnet się pod nim zawaliła; musiał sobie usiąść na ziemi.

Wtem słyszy—coś pod nalepą zapiszczało:

— Pi, pi, pi, piii! Pi, pi, pi, piii!

Zupełnie tak, jak gąsiątko, które dopiero co z jaja wylazło.

On posłuchał i odzywa się:

— Aha, teraz rozumiem! To tu u was jest piszcząca Bieda... Ooo! to gorsze i od Zmory i od Topielca!

Pod nalepą znowu zapiszczało.

Wojtek wstał i, nic nie mówiąc, poszedł do domu. Myśleli, że się zgniewał i już do nich nie wróci. Ale on wrócił, tylko przyniósł ze sobą plasterek miodu, dratwę szewcką i młot.

Tamci ludzie pokładli się spać z dziećmi po kątach, na gołej ziemi; zasnęli.

Wojtek po omacku zdjął buty, w jeden włożył rękę i wysmarował podeszwę miodem na wewnątrz; potem się nakrył kapotą i leży. Nie spał wcale, jeno nasłuchiwał tego piszczenia pod nalepą.

Na jeden raz z pod nalepy wychodzi coś bielusieńkie, cienkie a długie. Zaczęło toto łazić po izbie, zaglądać w każdy kąt: gdzie tylko był jaki okruch czego, zaraz schrupało, a jak co było całe, to ono psuło, wygryzało dziury i ciągle piszczało, labiedziło. Przychodzi ono do Wojtka, bierze ten but wysmarowany miodem, zagląda w niego; potem się skurczyło i w but wlazło. Wyraźnie było słychać, jak tam w bucie mlaskało, wylizywało podeszwę.

Dopiero się Wojtek zerwał nagle, mocno ścisnął cholewę u góry i zawiązał ją dratwą. Teraz wyniósł się z butem przed chałupę, usiadł na przyźbie i przy świetle miesiączka czekał, co dalej. Słyszy on, że w bucie zaczyna coś chrupać—zupełnie tak, jak kiedy mysz

gryzie. To ta Bieda chciała się z buta wygryźć i już zębami dziurkę napoczęła. Ale on chwycił młot i zaczyna walić z całej siły.

— Człowieku, zlituj się, nie bij!

Ten nic, tylko raz za razem wali.

— A pókiż mię też będziesz mordował?—pyta Bieda.

— Póki ci wszystkich zębów nie powybijam, sobacze nasienie! Żebyś już gryźć nie mogła.

Walił tak Biedę, aż jej nareszcie zęby powybijał. Wtenczas dopiero przestał bić, kiedy te wybite zęby zachrzęściły tak w bucie, jak kamyki w grzechotce.

Bierze on teraz but z Biedą i poszedł prosto do onego bajorka, gdzie to był zgnębił Topielca.

Otworzył wody laseczką, przeszedł między niemi suchą nogą, zapukał do domu Topielcowego.

Zaraz do niego wyszła żona Topielca i w te słowa mówi:

— Coście wy też najlepszego zrobili, mój Wojciechu! Pozbawiliście oto mojego męża wszelakiej roboty i teraz tak mi w domu dokucza, że wytrzymać z nim trudno!

Juści ten Topielec stracił moc swoją i nie mógł już dokuczać ludziom, tak strasznie psocił w domu, niemiłosiernie trapił żonę, dzieci, jako z dawien dawna przywykł do dokuczania.

— Przyniosłem ja mu tu zabawkę!—rzecze Wojtek.—Będzie teraz miał komu dokuczać; niech używa.

Z temi słowy odwiązał dratwę i zaraz z cholewy wyleciała Bieda. Poczęła piszczeć, szukała sobie jakiego kącika, żeby tam osiąść na komornem.

On zaś wysypał z buta zęby, przerachował je i zobaczył, że brakowało jednego. Tak woła na tę piszczącą Biedę:

— Słuchaj-no ty, psia wełno, nicpotem! tobie jeszcze w gębie jeden kieł został i możesz nim szkodzić! Ja ci go koniecznie muszę wybić!

Bieda w tej chwili rozdziawiła gębę—pokazuje, że już nie ma ani jednego zęba.

— Ten ząb—powiada,—co ci go do rachunku brakuje, gryzł dawniej najlepiej; alem go sobie do krzty wyszczerbiła na chłopskiej pracy, która jest twardsza od najtwardszych kamieni. Szlacheckie złoto, srebro, dyamenty gryzłam łatwiej, aniżeli ty chleb z masłem; nawet bez zębów dałabym temu radę. Ale kiedy przyszła kolej na chłopską pracę, od razu sobie wyłamałam ten ząb najlepszy.

— Ha, no, choć ta bez zębów, może się i tak wypasiesz u tych Topielców—powiada Wojtek przez kpiny.

Kazał sobie tam podać jeść, posiedział chwilkę, potem zostawił Biedę pod wodą i odszedł.

W kilka dni przybiega do niego ten sam chłop; ale się już bardzo zmienił: na twarzy nabrał ciała, wesoło patrzył i obleczenie miał o wiele lepsze.

— Mój dobrodzieju!—woła—toć teraz u nas w domu wszystko inaczej! Czemże ja wam też wynagrodzę taką przysługę?

— Wyprawicie mi oto którego dnia porządny bankiet, jakom godzien. Nie tylko, żem tej waszej piszczącej Biedzie powybijał wszystkie zęby, alem ją jeszcze w dodatku zatopił.

Jednego dnia zbliża się do Wojtka sam Kręcisz i powiada:

— Wojtek, wiesz ty o tem, że koszula jest najbliższa ciała?

— To ma znaczyć pono, że o krewnych lepiej pamiętać trzeba, niż o obcych.

— No, a ty obcym się wysługujesz, o domu zaś ani zbylisz.

— Bo mię, tatusiu, pędzacie do takiej roboty, co dla mnie nic a nic nie kwadruje.

— A byłżeś ty kiedy w nocy na tem naszem pólku koło łąki?

— Nie byłem! Po cóżbym tam w nocy chodził?

— Widzisz, a tam jakieś licho lata z latarką... i skoro się tylko człowiek pokaże, to ono tak goni, że niech ręka Boska broni!

— Tegom nie wiedział; ale skoro teraz wiem, może co na to poradzę.

Zaraz wieczorem poszedł na ojcowe pole. Po drodze ukopał sobie rzepy, potem wlazł w kartofle, położył się w bróździe, leżał i rzepę zagryzał.

No, dobrze. Około północka, ni stąd, ni zowąd, pokazał się tam na polu jakiś człowiek w szlacheckim surducie, w kaszkiecie, z latarką w ręku. Przebiegł po uwrociu, a potem w poprzek przeskakiwał zagony i tak mamrotał pod nosem:

— To jest Kręciszów zysk, a Boroniowa strata! To jest Kręciszów zysk, a Boroniowa strata!

I tak w kółko: co skoczył, powtórzył to samo.

Wojtek nagle wypadł z kartofli, a ten surdutowy obces się rwie do niego, jak szalony. Przywykł do tego, że chłopi zawdy przed nim uciekali, więc się i teraz widać spodziewał tego samego; ale Wojtek stał jak mur, ani drgnął.

— Bliżej pójdź!—mówi—bliżej!... ja przed tobą nie mam żadnego boja!

Dopiero tamten zawrócił i sam w nogi.

Jak się też Wojtek za nim puści, to tylko po naci kartoflanej furczało, a ziemia dudniła. Ten na przodzie zmykał jak zając, jeno się światełko migało, ale go Wojtek nareszcie dognał i już miał za kark chwytnąć, kiedy mu się nogi w badyle zaplątały i w tym rozmachu gruchnął, aż nosem ziemię zarył w bróździe.

Tamto tymczasem umknęło.

Powrócił do domu—markotny był, że mu tak źle poszło, a Kręcisz z pod oka nań spojrzał i powiada:

— Różności ci się już pono udawały z takimi złymi, ale to licho na naszem polu musi być sztuczka!... Nie darmo on ze światłem chodzi.

Wojtek nic ojcu nie odrzekł, jeno się w duchu zawziął, żeby postawić na swojem.

Na drugą noc już się w poręczniejszem miejscu zasadził, żeby bliżej być tego stracha. Tak ledwie co się pokazało ówto licho, a on mu już zastąpił drogę i chciał je przycapić. Ale co ręką chwyci, nic w garści nie czuje: rozstępowało się to tak, jak powietrze. Biegli tak obok siebie i Wojtek wyraźnie czuł, że tamten jest jak wiatr. Podziw go zdjął ogromny, więc pyta:

— Cóżeś za jedno, że cię widzę na oczy, a tykać nijak nie mogę?

— Mnie nie chwycisz, bom jest dusza!

— A czegóż się ty tu po naszem pólku wałęsasz?

— Odpokutować muszę za grzechy swego życia.

— Nie można ci pomódz pacierzami, albo czem innem?

— Tenby mi tylko pomógł, ktoby te oto kliny na polu Kręcisza oddał na własność dzieciom po Boroniu.

— Przez cóżby zaś grzesznej duszy miała pomódz taka darowizna?

— Oj, nie darowizna to, nie! Z mojej przyczyny Boroniowi krzywda się stała i ja teraz za to pokutuję.

— Kimżeś ty był za życia?

— Miernikiem, mój człowieku, miernikiem! Ja rozmierzyłem to pole niesprawiedliwie... Widzisz, przy świetle muszę co noc dziewięćdziesiąt dziewięć razy obejść i obejrzeć krzywdę ludzką; nie spodziewam się zaś, żeby prędko te Kręciszowe kliny przeszły na dzieci Boronia... Człowieku, jeśli mi nie możesz pomódz, to w pokucie nie przeszkadzaj!

Zafrasował się Wojtek, jako co innego zamyślał, a co innego się stało: on myślał, że to było złe, co ludziom szkodzi, i chciał je zgnębić, a to nieszczęśliwa dusza, pokutująca na miejscu, gdzie zgrzeszyła.

Tak poszedł do Kręcisza i zapytuje:

— Powiedzcie mi też, tatusiu, jakeście wy nabyli te kliny nad łąką, co teraz są na nich kartofle?

— Ho, ho! kiedy to tam było! Z okładem dwadzieścia pięć lat temu, jakem do spółki z nieboszczykiem Boroniem kupił był duży szmat roli. Omętra potem rozdzielił to pole na dwie równe połowy i każdy z nas wziął swoje.

— Tylko wy, tatusiu, wzięliście więcej, jako te kliny akurat powinien był dostać Boroń!

— Rychtyk! Ciewy! skądże on wie? A toć ja omętrze dałem pięćdziesiąt rubli gotowego grosza za to, żeby sprawę dobrze pokierował na moją stronę. Oo! te kliniki to w całej naszej wsi najlepszy kawałek ziemi!

— Należałoby je zwrócić dzieciom po Boroniu, bo juści krzywdę mają.

— Czyś ty oszalał? Sobie radź, nie mnie staremu! — tak fuknął Kręcisz i już nie chciał dalej rozmawiać.

Ale Wojtek myślał nad tem, jakby pomódz duszy owego miernika; nałamał sobie dosyć głowy, nareszcie wpadł na myśl, że gdyby się ożenił z Kaśką Boroniówną, toby w taki sposób był koniec z tymi klinami, boby właśnie przeszły na dziecko po Boroniu.

— Przecieby mi ojciec choć te kliny musiał dać na wiano—myślał sobie.—A jakby nie dał, tobym je odkupił.

Nie traci czasu, zaraz nazajutrz idzie do tej Boroniówny i tak zapytuje:

— Kaśka, chciałabyś mię ty za męża? Powiadam ci szczerze, żebyś bardzo a bardzo dobrze zrobiła.

A dziewucha na to w śmiech:

— Oj, za takiegobym też iść chciała! Pośmiewisko ludzkie, z głową taką jak wiadro! Człowieku, toć ciebie ludzie obgadują na wszystkie strony: powiadają, że dla ciebie żur baba będzie musiała warzyć w jednym saganie, a kartofle w drugim! Przecie ty pono dzień przesypiasz, a po nocach się tułasz, jak co niedobre! Gdzieby zaś kobieta jak należy poszła przed ołtarz do sakramentu z takim obżartuchem i próżniakiem!... No, a jeszcze przecie mówią, żeś ty nie żaden syn Kręciszów, jeno syn Boginki!

Wyśmiała go, wydrwiła tak, że mu się aż na płacz zbierało. Najbardziej go zaś to ubodło, że ludzie we wsi o nim mówią: «podrzutek, syn Boginki.»

Jeszcze się nigdy Wojtek tak nie zgryzł, nie zmartwił, jak teraz.

— Pójdę — powiada — w bory, lasy, muszę znaleźć tę Boginkę; niech powie rzetelnie, czym ja syn jej, podrzucony Kręciszom! Jeżeli prawda, to ja już do wsi nigdy nie wrócę!

Rozżalił się okrutnie i poszedł.

Jak sobie wtenczas poszedł, tak lata przechodziły rok po roku, a on nie wracał.

Z początku go we wsi wspominali, potem całkiem zapomnieli.

Topielec już ludzi nie taplał, Zmora nikogo nie dusiła, Bieda pod nalepą nigdzie nie piszczała, Strzyga w kościele świec nie gryzła i nie łamała—bo on i Strzygę zmógł także, nim odszedł.—Płanetnicy już nie spadali, jako wiedzieli, że w tamtej wsi na miejscu jest płanetnik. Tylna Kręciszowem polu ciągle jeszcze po nocach łaził miernik z latarką; ile razy go zaś stary Kręcisz z daleka zobaczył, czuł w sobie wyrzut sumienia i syna sobie przypominał:

— Gdzie się ten Wojtek zawieruszył? Postarzałem się ja i kobieta. Komu tu majątek zostawić?... Możeby te kliny Boroniom zwrócić?... Ee, trza poczekać!...

Już przeszło coś lat siedm, a o Wojtku ani słychu, ani dychu.

Kręciszowa codziennie wyglądała z podwórka na drogę, upatrywała, czy Wojtek skąd nie idzie, zawsze zaś, chcąc nie chcąc, spojrzała na strzechę: dobrze pamiętała, że on tam raz siedział, jak do domu wrócił.

Aż tu jednego dnia ludzie patrzą—lezie przez wieś jakiś człowiek, wysoki, chudy, dobrze zbiedzony. No, nieznajomy... któż może wiedzieć, co za jeden? Psy z całej wsi za nim pędzą, ujadają—zwyczajnie jak na obcego.

Zatrzymał się przed chałupą Kręciszów, wszedł, zastał ich w domu.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki!—mówią oboje.—Z daleka idziecie?

— Ooo, z daleka!

Rozgadali się od słowa do słowa. On im różności opowiada—zaraz znać było, że dużo widział.

Kręciszowa też, jak to kobieta, mówi swoje, że mieli syna: niestatek był, co prawda, trzymały się go zawdy jakieś fanaberye dziwne,

ale i tak go szkoda. Pewnikiem byłby się zlepszył, zmądrzał, a tak przepadł, jak kamień w wodzie.

Ten nieznajomy zjadł tam u nich wieczerzę, dopiero wstaje z ławy i powiada:

— Widzicie, to ja jestem Wojtek, jeno ten pierwszy, co wam go Boginka porwała, a tamten drugi przy matce został w boru!

Ogromna radość! Nie mogli się go naściskać, nacałować, a fetowali za dziesięciu—wszystkiem, co mieli najlepsze.

Zaraz drugiego dnia rozniosło się po wsi, że do Kręciszów przyszedł prawdziwy Wojtek, te sam, co go Boginka porwała z kolebki na trzeci dzień po chrzcinach. Schodzili się ludzie, żeby człowieka oglądać: juści niemałe było dziwo.

Coś w trzy tygodnie potem idzie ten Wojtek na zaloty do Kaśki Boroniówny i tak do niej mówi:

— Kaśka, możebyś ty za mnie poszła?

— Za ciebie to pójdę, boś ty jest prawdziwy Wojtek Kręcisz!

Dali na zapowiedzi i ślub był przed adwentem, a Kręciszowie wyprawili ogromne wesele, na którem grało aż pięciu muzykantów. Cały zaś majątek oddali starzy tym młodym.

Wtenczas dopiero Wojtek zebrał wkoło siebie dużo ludzi i tak się odezwał:

— Moi kochani, jeden tylko Wojtek Kręcisz był od urodzenia na świecie: to ja! Ani mię Boginka nie kradła, ani nie oddawała.

— Święta prawda! — zawołali. — Ludzie oto bajali i bajali... tak sobie; ktoby ta wierzył?...

Topielec wyszedł z wody...

ŁABĘDZIE.

Niedaleko od Ostrołęki leży wieś Szczawin, a do Szczawina należą lasy nad Narwią. Do dnia dzisiejszego można w tych lasach widzieć wielkie bagno, które się nazywa Łabędzicha. Przed dawnemi laty ta Łabędzicha była dużem jeziorem, co daleko, szeroko zachodziło w ogromne bory. Łabędzichą przezwano jezioro, gdyż wszyscy wiedzieli, że tam na wyspie w sitowiu gnieździły się łabędzie, które ten i ów czasem z daleka widywał.

Dzisiaj niema jeziora z wyspą, niema łabędzi, jest tylko nazwisko—Łabędzicha.

Wkrótce zapewne to bagno wyschnie, las na niem porośnie. Potem, potem ludzie las wytną, zaorzą ziemię, obsieją, zbudują chaty i wtedy może zapomną także o starodawnem nazwisku.

Zanim się to wszystko stanie, opowiem tu starą historyę o łabędziach i o jednym chłopcu Stachu, synu borowego.

Ten Stach był jedynak, miał lat siedmnaście, hoży, smukły jak choica. Przez jakiś czas uczył się w szkole, umiał i czytać i pisać, bo ojciec sobie ułożył, żeby z niego zrobić człowieka jak należy. Ale nauka jakoś nie dawała chłopcu szczęścia: zagrzebał się w książkach, był smutny, małomowny, a kiedy ze szkoły do rodziców wrócił, to całymi dniami błądził w boru, przesiadywał po dzikich ustroniach, lub nad brzegami Łabędzichy, gdzie go wyraźnie coś ciągnęło.

Nieraz tak przez pół dnia wpatrywał się w wodę czyściutką, gładką i modrą jak niebo w pogodę.

Czasem z głębin, od dna samego, wypłynęła ogromna ryba i pochwyciła coś na wierzchu wody: to się w tem miejscu robiła obrączka i coraz większe pierścienie widniały na jeziorze. Stach się przyglądał ciekawie. O, tam, tam—na największych głębiach, plusnęło jakieś ogromne cielsko, jakby nie ryba, a potem—cicho, spokojnie... Z wnętrza szuwarów i sitów wyrwał się oto z wrzaskiem dziki kaczór, wyleciał wysoko w górę i poszedł ponad borami. Ostrożnie wypłynęła z dziećmi dzika kaczka: małe nurkują, trzepocą się—wielka dla nich uciecha na słoneczku,—nareszcie wracają w gąszcze trzcin na wyspę. Niebieskie i zielone łątki przelatywały nad jeziorem, lada wietrzyk rzucał je w wodę—i płynęły, trzepocąc skrzydełkami, a za każdą taką tonącą goniła gromada większych i mniejszych rybek. A jakie też to dziwne głosy wychodziły nieraz z pod wód jeziora, czy z kęp trzciny na wyspie! To jakiś huk, niby podziemne dudnienie, to pisk, to znowu listki trzcin zatrzęsły się niespokojnie, zaszumiały i czasem jakby wołanie, czasem płacz dawał się słyszeć.

Mówili różni ludzie, że nawet w dzień nie jest dobrze chodzić ponad tem jeziorem, broń Boże zaś w nocy. Opowiadali, jako tam człowieka wyraźnie coś ciągnie do wody i skusić może. Byli i tacy, którzy na jeziorze widzieli jakieś licho wśród topieli, albo na wyspie zasłyszeli śpiewy, co urok rzucały na człeka i wabiły,—więc nikt się nie zbliżał do Łabędzichy, każdy omijał zaklęte jezioro; tylko Stach jeden ważył się tam przesiadywać, patrzeć i słuchać. Razu jednego siedział on tak nad brzegiem, a wtem z pomiędzy trzcin wyspy wypływa gromada łabędzi jak śnieg białych. Trzy z nich zaraz się oddzieliły od innych i płyną prosto do brzegu, gdzie siedział zapatrzony chłopiec. Śliczności rzadkiej były te łabędzie z długiemi, wygiętemi szyjami, ze skrzydłami lekko w górę podniesionemi z tyłu. Choć były bardzo duże, zdawało się, że nie mają najmniejszej wagi na wodzie, że je tylko sam wietrzyk popycha, a woda łatwo unosi: piórko nie płynęłoby tak lekko. Dzikie przecież były, a, jakby oswojone ptaki, zbliżyły się prawie do samych rąk Stacha. Chłopiec wyciągnął rękę, chciał któregoś z nich dotknąć, ale łabędź w tej chwili lekkuchno, zwinnie odpływał. Stach jedną ręką chwycił się nadbrzeżnego krzaczka, drugą wyciągnął ponad wodą i wychylił się, jak mógł najdalej, na jezioro; tak wisiał przez czas jakiś nad modrą tonią, a łabędzie coraz to podpływały

i znów się oddalały o tyle, aby ich ręką nie dosięgnął: kusiły go jak najwyraźniej.

— Ach, gdybym miał na czem popłynąć, złowiłbym z pewnością chociaż jednego z tych przecudnych ptaków!—pomyślał sobie chłopiec.

Nie było łódki; ale Stachowi przyszła myśl do głowy. Zerwał się, żwawo pobiegł do domu, pochwycił topór i wrócił nad jezioro. Teraz ściął sporą choicę, okrzesał nieco z gałęzi i spuścił ją na wodę. Trzy łabędzie już były odpłynęły ku wyspie; ale skoro chłopca ujrzały na brzegu, znowu do niego powróciły. On im rzucał na wodę okruchy chleba, wabił je do siebie, a one jego wabiły. Koniecznie żądał i żądał, ażeby posiąść któregoś z łabędzi, żądał tak bardzo, że już nie miał siły, aby się oprzeć tej chęci ogromnej. Więc nareszcie bez namysłu wsiadł na kłodę drzewa, za wiosło wziął w rękę jedną gałąź i wypłynął na jezioro. Łabędzie spokojnie sunęły tuż-tuż obok niego i nieraz tak się przybliżały, że dosyć było wyciągnąć rękę, aby któregoś dosięgnąć. Cóż z tego, kiedy, ile razy chłopiec rękę wyciągnął, łabędź się usuwał! I tak wypłynął Stach na środek jeziora, gdzie były tonie ogromne, głębie niezgruntowane. Przed oczyma miał zieloną wyspę, dokoła siebie—wodę gładziuchną, czystą, a pod ręką — trzy prześliczne łabędzie. Wszystkie inne łabędzie, które pływały około wyspy, schroniły się zaraz w trzciny, gdy go ujrzały na wodzie: tylko te trzy zostały.

Teraz już koniecznie chciał pojmać którego ptaka—przechylił się, wyciągnął daleko rękę, ale nagle stracił oparcie, wpadł w wodę i na dno poszedł.

Zniknęły na jeziorze łabędzie, zniknął Stach, a kłoda drzewa i ta gałąź, co dla niego była wiosłem, spokojnie powracały do brzegu.

— Skusiło go, pociągnęło i pewnie przepadł w wodzie! Po co on chodził na Łabędzichę?—mówili potem różni ludzie.

Próżno go biedna matka przez kilka dni szukała po boru i nawoływała z lamentem:

— Stachu! Stachu! Kajżeś mi się podział, Stachu?

Nikt jej nie odpowiadał, tylko się echo rozbijało po lesie.

I ojciec bór przetrząsał, szukał syna; ale go nie znalazł.

A Stach tymczasem, skoro się ocknął, nie mógł wyjść z podziwu. Bo oto przebywał on w jakimś prześlicznym pałacu, a obok siebie miał trzy panny tak przedziwnej urody, że jeszcze nigdy w życiu nic podobnego nie widział. One go zaraz poczęły wypytywać:

— Powiedz nam, chłopcze—mówią,—jakim to sposobem do nas się tu dostałeś?

— Ja nie wiem—odrzekł,—co się takiego ze mną stało. To jedno pamiętam, że się na jezioro puściłem za trzema łabędziami i chciałem chociaż jednego złowić, potem wpadłem w wodę i już nic a nic więcej nie pamiętam.

— O, mój chłopcze, my tu jesteśmy bardzo rade, żeś do nas przybył—powiada jedna.—Jeżeli chcesz, możesz między nami pozostać, a nigdy ci na niczem nie będzie zbywało.

— Tylko pamiętaj—odzywa się inna,—że gdybyś chciał wrócić do swoich, musisz to zrobić zaraz, w tej chwili! Potem będzie już za późno. Taki, co u nas parę dni zabawi, już się na ziemi nie utrzyma i śmierć go nie minie.

— Więc jedno z dwojga postanów sobie: albo natychmiast do domu wracaj, albo na zawsze z nami pozostań!—rzekła trzecia.

Stach patrzy—tam tak cudownie pięknie, te panny takie śliczne, że się podobne nawet przyśnić nie mogą. A jakie one były dobre, ile przyjaźni miały dla niego! Prawie się wcale nie namyślał i zawołał:

— Ja chcę pozostać już tutaj z wami!

One go zaraz wzięły między siebie i po pałacu swym oprowadzają, pokazują mu wszędzie przepych niesłychany. Jedne ściany były ze zwierciadeł, na innych pełno pięknych malowideł. Wszystko się lśniło od złota, mieniło kolorami tęczy. Wszędzie jedwabie, aksamit—tak miękko, pięknie, że się nogą stąpać nie śmie. Od każdej rzeczy dziwna jasność biła, jak od słońca, a zapachy najpiękniejszych kwiatów świata odurzały tutaj.

Stach, syn biednych rodziców, nie mógł oczu oderwać od tych bogactw, zbytków, które opisać trudno. Ogląda jedno, a tu inna rzecz ciągnie—bo jeszcze cudniejsza, ciekawsza. Kiedy go dopiero stamtąd zawiodły do ogrodu, to aż oniemiał z podziwu. Czyż on mógł pomyśleć nawet, że coś podobnego jest na świecie?

Roje mniejszych i większych ptaków fruwały z drzewa na drzewo, z krzewiny na krzewinę, a wszystkie śliczne jak malowanie, wszystkie śpiewały przecudnie. Najrozmaitsze kwiaty rosły tam wszędzie, a tak pachniały, że Stach aż zawrotu głowy dostał od tego i był jak człowiek pijany. Szedł odurzony, olśniony i słówka jednego nie mógł wymówić. Z marmurów biły tam w górę grubymi strumieniami wody, które tryskały w miliony kropel, błyszczały w słońcu jak dyamenty i miły chłód roznosiły wszędy. Ścieżki, drożyny,

ulice—powysadzane osobliwemi drzewami, a w niektórych miejscach stały, jakby żywi ludzie, piękne figury, wykute z marmuru. Altany, klomby, gaje widać było wszędzie, a w nich, kto chciał, mógł odpocząć, popatrzeć. Był tam i sad taki wspaniały, że równego mu nie znajdzie, jak świat jest długi i szeroki. Rosły w nim owoce przepyszne, których Stach nigdy w życiu nie widział, a drzewa tak niemi obrodziły, że dosyć było sięgnąć ręką, ażeby zerwać co się podobało.

Kiedy chłopiec obchodził i oglądał to wszystko, naraz wykrzyknął w ogromnym zachwycie:

— Ach! ja się z pewnością dostałem do raju!

Już mu tam czas prędko przechodził, tak, że nawet nie wiedział, kiedy się jeden tydzień kończy, a drugi zaczyna—bo przecie zawsze coś nowego było do widzenia, zawsze mógł używać na dobrych rzeczach. Jeżeli mu się sprzykrzyło w owym prześlicznym pałacu, to szedł do ogrodu, gdzie rok czasu nie wystarczał, ażeby wszystko należycie obejrzeć, gdzie co miesiąc nowe owoce dojrzewały, zakwitały nowe kwiaty i coraz to inne ptaki śpiewały. Ale i cała okolica była też tam dziwnie piękna. Jak okiem sięgnąć, widniały łąki, pełne kwiatów, poprzerzynane strumieniami, nad brzegami których przechadzały się bociany, czaple, a w górze bujały różne ptaki wodne i już zapadały na wodę, już wzlatywały w powietrze. Niwy szumiały zbożem ogromnem, a wśród zboża pokrzykiwały przepiórki, derkacze, w górze zaś wyśpiewywały skowronki. Wszystko to było jakieś inne, nie takie, jak na ziemi: lepsze, piękniejsze, daleko bardziej się podobało.

W lasach znowu, choć także rosły dęby, buki, wiązy, brzozy, sosny, jodły, ale były one jakieś daleko okazalsze. A co tam gwaru ptaków, ile zwierząt dzikich! Słowiki dniem i nocą nie przestawały śpiewać, a jelenie, sarny, zające śmiało podchodziły do ręki Stacha, wcale się go nie bały.

Komuby jeszcze i tego było mało, mógł iść dalej, dostać się pomiędzy skały, które wyglądały jak przecudne miasto z samych zamków i kościołów. Tam to dopiero huczały wodospady, orły bujały w górze, dzikie kozy wyprawiały gonitwy, skacząc nad przepaściami ze skały na skałę!

Z pewnością cały rok przeszedł tak Stachowi, a on ani się nawet zmiarkował, że czas płynie, i nigdy, nigdy w tym raju nie wspomniał sobie domu, nie pomyślał o swoich; zupełnie zapomniał o wszystkiem, co dawniej było. Potem mu się przypominało to i owo: jakby we śnie, spostrzegał matkę, ojca, ubogą chatę rodzinną,

stary bór nad Narwią, jezioro Łabędzichę. Widzenia owe powtarzały się coraz częściej i nareszcie Stach zaczął tęsknić.

Chodził teraz po pałacu, po ogrodzie, po łąkach, lasach, błąkał się między skałami,—ale choć spostrzegł co nowego, nic go to jakoś nie zajmowało. Dnie przemijały, a on z każdym dniem uczuwał w sobie większą tęsknotę i coraz bardziej pragnął wracać do swoich. Trapił się niezmiernie, smucił, a tym ślicznym pannom nie śmiał jakoś tego wyznać. One codziennie troszczyły się, aby chłopcu na niczem nie zbywało, codziennie więcej przyjaźni mu świadczyły, były coraz lepsze.

— Byłbym wielkim niewdzięcznikiem — myślał Stach,—gdybym im powiedział, że mi tu jest źle z niemi, że tęsknię do dawnego życia.

Przyszło do tego, że nieraz gorzko zapłakał nad swą dolą; ale czemprędzej łzy ocierał, ażeby owe panny tego nie dostrzegły, i dalej żył w takim smutku.

Już mu się teraz czas ogromnie dłużył: każda godzina zdawała się być wiekiem—pobladł, wychudł, łzy ciągle miał w oczach.

— Tyś jakiś nieswój—mówiły śliczne panny;—powiedz, czego ci brakuje.

Wtedy on uśmiechał się przez przymus i zawsze im odpowiadał:

— Jest mi tu z wami bardzo dobrze, bardzo dobrze!—a w duszy miał zupełnie co innego.

Raz przed zachodem słońca poszedł do lasu, ażeby sam na sam z sobą będąc, mógł tam przynajmniej rozmyślać o swem dawniejszem, nieodżałowanem życiu. Siadł w cieniu drzew, twarz sobie zakrył rękami i w myśli wszystko mu żywo stanęło: widział chatę ze słomianą strzechą, pod którą jaskółka miała gniazdo, a na wierzchu tej strzechy biały kot drzemał; na progu znowu chaty leżał czarny pies, Kruczek; po podwórku chodziło kilka kur z kogutem. W domu po izbie uwijała się matka i robiła porządki, zakasawszy rękawy koszuli; ojciec właśnie wziął strzelbę na ramię i, wychodząc, na progu krzyżem świętym się przeżegnał.

W tem widzeniu rozżalony chłopiec zawołał jakby przez sen:

— Oddałbym całe swoje życie za to, żeby choć przez godzinkę być tam z nimi!

Ledwie to wyrzekł, posłyszał za sobą jakiś szelest. Obejrzał się i spostrzegł starą babę, prawdziwą czarownicę, tak obrzydliwą, że się aż wzdrygnął. Miała ona na sobie brudne szmaty i takie podarte, że przez dziury widać było żółtą, pomarszczoną skórę na ciele;

Śliczności rzadkiej były te łabędzie...

w czarnej, wychudzonej ręce trzymała kij gruby, którym się podpierała—bo nogi pod nią drżały. Z pod brudnego czepca wyglądały kosmyki włosów siwych i rozczochranych; nie miała zębów, nos prawie się stykał z końcem brody; cała twarz, sczerniała, była w zmarszczkach i fałdach, a maleńkie oczka świeciły się—złość i chytrość z nich wyglądała.

Stach co żywo zasłonił oczy, żeby nie patrzeć na tę obrzydę. Ale baba nic na to nie zważała i rzekła grubym głosem, który wychodził jakby z rozbitego garnka:

— Jeżeli chcesz wrócić do swoich, wstań i pójdź ze mną; ja cię stąd wyprowadzę, tylko ja jedna! Innego sposobu niema.

Chłopiec otrząsł się tylko i zawołał:

— Idź precz, poczwaro! Wolałbym umrzeć, aniżeli tobie dać się prowadzić, choćby nawet do największego szczęścia!

Wtedy baba roześmiała się prawdziwie dyabelskim chichotem i znowu przemówiła:

— Pomyśl dobrze... ja ci szczerze radzę; korzystaj z mojej usługi; a jeżeli nie chcesz uciekać stąd po kryjomu, to zginiesz marnie; zabiją cię: żal, smutek, tęsknota.

— Nie chcę!—wykrzyknął Stach.—Za nic w świecie nie chcę uciekać stąd po kryjomu, bez wiedzy tych ślicznych panien, które dla mnie są takie dobre, przychylne! Idź stąd, poczwaro, idź na złamanie karku, nie kuś mię, przepadnij!

Baba jeszcze się raz roześmiała straszliwym chichotem, jeszcze raz kusiła chłopca, a on i teraz dał jej tę samą odpowiedź, co przedtem.

Już nic nie odrzekła; a kiedy Stach odjął ręce od oczu—bo się zasłonił, żeby nie widzieć tego straszydła,—gdy przerażony spojrzał wkoło siebie, spostrzegł, że to okropne widziadło znika przed nim i w mgle się rozpływa. Jeszcze się był niezupełnie otrząsnął z przestrachu i obrzydzenia, kiedy oto nadeszły trzy śliczne panny, a były tak cudownie piękne teraz, miały tak miły uśmiech, tyle dobroci w oczach, w całej twarzy, że chłopiec zerwał się na równe nogi, wyciągnął do nich ręce—chciał im pokazać, jako jest ich wielkim przyjacielem.

Wtedy jedna z nich wzięła go za rękę i przemówiła głosem, co brzmiał jak śpiew najpiękniejszy:

— Mój chłopcze, ty masz takie dobre serce, że to każdego wzruszy. Wiemy, że życzysz sobie wrócić do domu; więc się spełni to, czego chcesz, i wnet będziesz pomiędzy swoimi.

Stach się rozrzewnił; sam nie wiedział, jak ma dziękować tym przecudnym pannom, że odgadły jego myśli, życzenia; zapłakał tylko i nic nie odpowiedział.

Nadeszła noc, a on w niepokoju z boku na bok się przewracał— nie mógł zasnąć w żaden sposób: myślał o tem, co to za szczęście będzie, kiedy się spełni jego jedyne życzenie.

Wreszcie, znużony długiem czuwaniem, już późno w nocy usnął.

Jakież było zdziwienie Stacha, skoro się nazajutrz rano ocknął! Oto leżał nad brzegiem jeziora Łabędzichy, a gdy okiem po wodzie spojrzał, widział w oddaleniu płynące te same trzy łabędzie, co je to pragnął złowić: właśnie dopłynęły do wyspy i już się kryły w gąszczu szuwarów. A naokoło niego szumiał stary bór tak samo, jak dawniej.

Powstał i poszedł do domu. Wielki Boże, cóż to za radość była! Zaraz na progu powitał go Kruczek radosnem szczekaniem, a matka nie mogła się nacieszyć z powrotu jedynaka. Wnet po jego przybyciu wrócił i ojciec do chaty, poschodzili się różni znajomi, a Stach dopiero opowiadał wszystkie te dziwa, które oglądał na własne oczy. Co prawda, ludzie słuchali go z ciekawością, ale wstrząsali głowami i nikt nie wierzył, żeby w samej rzeczy tak było, jak chłopiec mówił.

— Skoro mu tak dobrze było, to po cóż na biedę do domu wracał?—odzywał się jeden, drugi.

Kiedy się już chłopiec w domu nacieszył, kiedy obejrzał wszystko i widział, że prawie żadnej zmiany niema, znowu w jakiś czas zaczął tęsknić do owego raju, gdzie mu przy tych ślicznych pannach tak dobrze było.

— Jak ja teraz żyję! — myślał. — Przecie tu a tam niema żadnego podobieństwa...

I zrobił się smutny, uciekał z domu, chodził nad brzeg Łabędzichy, przesiadywał tam, czekał, czy z sitów i trzcin wyspy nie wypłyną znowu trzy białe łabędzie. Czas mijał, a on na próżno czekał. Łabędzie już mu się nigdy nie pokazały.

W ciężkiej tęsknocie przechodziło jego życie, pobladł, wychudł bardzo, i matka ciągle się go dopytywała:

— Stachu, powiedz mi, czego ci brakuje?

On był dobry, nie chciał mówić, że mu źle przy matce—więc się uśmiechał przez przymus i odpowiadał:

— Nic mi nie brakuje, mnie tu z wami bardzo dobrze!

A w duszy myślał o prześlicznych trzech pannach, o ich pałacu, ogrodzie.

Kiedy nieraz wychodził z domu, matka mu zapowiadała:

— Mój Stachu, a nie chodź też aby nad Łabędzichę!

Ale cóż to pomogło! On tam iść musiał, bo go coś ciągnęło. Chodził ciągle i siadał nad brzegiem jeziora.

Jednego dnia usiadł tak, długo się wpatrywał w czyste, gładkie wody, długo słuchał rozmaitych głosów, które do uszu jego dochodziły z głębi jeziora, z trzcin i sitowia; nareszcie zasnął.

Widzi matka, że Stach do chaty coś nie wraca, więc go szuka wszędzie, przyzywa—na próżno!

— Może on jest nad Łabędzichą?—powiada ojciec.

I oboje rodzice poszli nad jezioro. Księżyc właśnie wszedł, światłem swojem oblał wodę i oświecił bladą twarz chłopca. Spostrzegli go rodzice—przychodzą, budzą:

— Wstań, synu, wstań!—mówią.—Czas do domu!...

Ale on już nigdy nie wstał—bo zasnął na wieki.

Dzieci, Zuchelek i Wilczysko.

Niedaleko Serocka, nad Bugiem, w jednym starym boru, co tam rosły tylko sosny, jodły, świerki—mieszkał przed laty leśnik, nazwiskiem Oglon. Żonę jego nazywali ludzie Oglonicha, syna, który miał lat ośm—Oglonek, a sześcioletnią córeczkę zwali Oglonka. Miała tam zaś ta rodzina przy chacie pieska małego i kudłatego, Zuchelka. Bardzo mądre, dobre stworzenie był ów piesek. Nieraz Oglon położył palec nosie i powiada:

— Zuchelek, leżeć!

To psina natychmiast położył głowę na przednich łapach, przywarował i tak już leżał dopóty, dopóki mu pan wstać nie pozwolił. Pyszczek miał mały i tak kudłami obrosły, że nawet uszu nie było widać, tylko się para małych oczek żywo świeciła na głowie pieska. Siwe, jakieś żółtawe miał na sobie te kudły.

Zuchelek ogromnie kochał Oglonka i Oglonkę, a dzieci go też bardzo kochały, pieściły i zawsze się z nim bawiły.

Nieraz wieczorem piesek strasznie żałośnie wył przed chatą, przysiadał na tyle, podnosił głowę w górę i wył, wył, aż się echem w boru rozlegało.

— Matulu—zapytywały dzieci,—dlaczego Zuchelek tak wyje, że aż ciarki przechodzą człowieka?

— Któż może wiedzieć, dlaczego pies wyje? Zdjęła go w boru taka tęsknota chyba, albo też i wilka gdzie niedaleczko poczuł...

Nadchodzi Oglon i woła:

— Cicho, Zuchelek!

A pies merda swoim kosmatym ogonkiem, zaraz się łasi do pana, przestaje wyć natychmiast. Czasem znowu Zuchelka jakaś złość porywała i wtedy przed chatą drapał pazurami pod sobą ziemię, podnosił do góry ogon, szczekał, warczał czegoś.

Bywało, podczas nocy piesek nagle zawył strasznym głosem, aż się dzieci ocknęły ze snu i wielki strach poczuły w sobie; ale żadne z nich słówka nie pisnęło, żeby rodziców nie obudzić, dopiero rano precz była mowa o tem, że Zuchelek straszliwie wył w nocy.

Na zimę Oglon grubo ogacał wkoło całą chałupę mchem i gałęziami, aby wiatr nie przewiewał przez ściany i żeby było ciepło. Ta chata zupełnie tak wyglądała wtedy, jak wielka kupa mchu, szyszek, igieł sosnowych. W owem ogaceniu urobił sobie Zuchelek jakby gniazdo, zagrzebywał się tam i sypiał.

Ale po boru włóczyły się wilki, a Oglon nieraz rano ze śladów na śniegu wyraźnie widział, że te bestye przychodziły pod chałupę.

— Co to znaczy—mówił do siebie leśnik,—że wilki Zuchelka nie pożarły?

Jak się począł dobrze wszystkiemu przyglądać, tak spostrzegł ze znaków na śniegu, że psina po owej kupie mchu wyłazi sobie na strzechę chałupy, a potem przez dymnik wchodzi na strych przed wilkami. Naturalnie wilki się tam do niego dobrać nie mogły.

O tych wilkach dużo tu mamy powiedzieć. Biada podróżnemu, który w nocy zimową porą straszny bór przebywał.

Kiedy nastały ciężkie mrozy, bandy wilków wychodziły z lasu, dobierały się do wsi, tam się podkopywały do chlewów i temu owemu gospodarzowi pożarły wieprzka. Wtedy po całej okolicy ludzie o wilkach tylko mówili. Rozzuchwaliły się straszne zwierzęta, łaziły to tu, to tam, robiły ogromne szkody.

Od czasu do czasu chłopi z różnych wsi, uzbrojeni w żelazne widły, w pały, drągi, sztaby żelaza, otaczali bór i obławą szli na te wilki. W takich razach wychodził także na obławę Oglon ze swoją strzelbą, z której strzał nigdy nie zawodził. Jeżeli się tylko wilk nawinął, to go tam już leśnik dobrze wziął na oko i z pewnością nie chybił.

Po obławie ustawały zwykle wilcze rozboje; ale wkrótce potem znowu się zaczynały pojawiać napaści. Któżby policzył, ile te wilki pożarły krów, koni, owiec, świń, psów, a nawet kur i gęsi! A ile one to rozszarpały ludzi dorosłych i dzieci! Okropność!... Trzeba

...to przebywał w jakimś prześlicznym pałacu...

też wiedzieć, że Oglon codziennie rano znajdywał w lesie ślady krwi i sprawdzał, że wilki pożarły bądź jelenia, bądź sarnę, dzika. Co więcej, zapewne z wielkiego głodu, bestye te rozszarpywały niekiedy nawet wilka.

Szczególniej zaś strasznym był tam jeden wilk, który się ludziom pokazywał często i w lecie czy na jesieni. Zwierzę duże, jak dobry cielak, wpadało nieraz do wsi między ludzkie chaty i porywało tam co mu pod ząb popadło.

Tego wilka nazywali wszyscy «Wilczysko,» a Oglon powiadał, że go trzy razy widział w lesie, jak mu się mignął między krzakami.

— Nie jest to wilk zwyczajny—mówił leśnik,—jeno zbój straszny z ogromną kądzielą. Wieczorem przeleciał mi drogę; widziałem wybornie jego świecące kagańce; słyszałem, że szczęknął kłańcami. Zdjąłem strzelbę, biorę na cel w samą latarnię, a tu Wilczysko zniknęło, jakby się w ziemię zapadł.

Czasem, ni stąd ni zowąd, zjawiał się na polu między owcami, porywał pierwszego lepszego barana, dusił go i do lasu unosił. Wówczas strach padał na owce, puszczały się całą gromadą i gnały prosto przed siebie, a psy owczarskie zawrócić ich nie mogły.

Powiadali, że to był wilk jakiś nadzwyczajny, gorszy od innych wilków, bardzo chytry, mądry.

Raz podczas kopania kartofli przybiegł na pole, gdzie ludzie pracowali, porwał w zęby maleńkie dziecko, które matka posadziła w bróździe, i poniósł do boru.

Innym razem w czasie żniw wpadł znowu do jednej wsi, obchodził koleją chłopskie chałupy, a precz zaglądał do każdej, która stała otworem. Psy z wielkiego strachu kryły się po różnych dziurach, a niektóre wyły przeraźliwie. Wilczysko zaskoczył gdzieś na podwórku jednego kundla i pożarł go tam na miejscu.

Kiedyś też tam spotkał pod lasem chłopaka ze dworu, który na szkapie jechał z listem do sąsiedniej wioski. Wilczysko zastąpił mu drogę i od razu rzucił się koniowi do gardła. Chłopak struchlał i z duszą na ramieniu ledwie że się wgramolił na wierzchołek świerka. Rzecz prosta, szkapę licho wzięło.

W jakiś czas potem szło przez las dwóch żydków, takich, co to od wsi do wsi chodzą i handlują skórkami. Wilczysko stanął im na drodze, a kiedy żydzi przerażeni chcieli się cofać, poskoczył i jednego z nich rozszarpał; drugi, trzęsąc się jak w febrze, dopadł do najbliższej wsi, ale z wielkiego przerażenia dostał bzika, czyli oszalał.

Jedna dziewczyna poszła raz z koszyczkiem do boru i zbierała tam grzyby; napotkał ją Wilczysko i pożarł ze szczętem.

Ludzie mówili, że się rozbestwił i rozłakomił na ludzkie mięso, że wolał zjeść człowieka, aniżeli barana, czy inne jakie zwierzę.

Tak się też wszyscy ogromnie wystrzegali tego Wilczyska. Niepodobieństwem było pasanie koni i bydła w nocy na błoniu, czy po miedzach, gdyż ani dla ludzi, ani dla zwierząt nie było żadnego bezpieczeństwa.

Matki, kiedy się oddalały z domu, zostawiając tam dzieci, zamykały drzwi chałupy na kłódkę. Wilczysko przychodził nieraz do takiej zamkniętej chałupy, obchodził ją wkoło, obwąchiwał, nasłuchiwał; powiadali, że czasami chciał się pod próg drzwi podkopać.

Skoro tak było na wsi, z daleka od boru, cóż dopiero w chałupie Oglona, która stała w szczerym boru!

Często gęsto leśnik potrzebował iść z żoną do miasteczka na jarmark, to w takim razie rodzice na kłódkę zamykali Oglonka, Oglonkę i Zuchelka, a w dodatku im zapowiadali:

— Żebyście się nie ważyły nawet przez okno wyglądać! Głupie takie, może jeszcze które szybę wybić...

Dobrze wiedział Zuchelek, że jest mędrszy od tych dzieci; zaraz je brał pod swoją opiekę, zabawiał, pilnował, dopóki starzy Oglonowie nie powrócili z miasteczka. Jeżeli przypadkiem Wilczysko znajdował się gdzieś blizko chaty, wtedy pies zasiadał na środku izby i zaczynał wyć w nieboglosy. Dzieci zaraz zrozumiały, że się coś niedobrego święci, właziły w jaki kąt i siedziały cichutko, tuląc się jedno do drugiego.

— Musi być źle, skoro Zuchelek wyje; onby przecie nie wył bez potrzeby—tak sobie myślały dzieci.

Oglonek i Oglonka spędzali tak życie w boru: tam się oboje urodzili, a rzadko kiedy widywali ludzi. Aż tu jednego razu odzywa się Oglon do Oglonichy:

— Matka, słyszysz ty, trzebaby przecie kiedy pokazać dzieciom ludzi, kościół! Żyją tu w boru, jak dzikusy, to niedobrze...

— Ja też to samo mówię — odrzekła Oglonicha. — Niech się na świecie ociepli, a zabierzemy je ze sobą kiedy w niedzielę do kościoła.

Dzieci słyszały całą tę rozmowę rodziców i codziennie któreś z nich zapytywało matki:

— Matusiu, czy się jeszcze nie ociepliło na świecie?

— Bogać się ociepliło, kiedy oto rano był przymrozek, a po południu śnieg z deszczem padał!

Zrobiło się nareszcie ciepło. W boru gwizdały kosy, śpiewały zięby i inne ptaszki, zakwitły żółte dzbanuszki, modre fiołki i przylaszczki.

Dopiero matka w jedną sobotę po południu wykąpała porządnie dzieci i powiada:

— Jutro pewnikiem będzie pogoda, to pojedziecie z nami do kościoła.

Istotnie, nazajutrz była prześliczna pogoda—słonko świeciło, aż miło, i powietrze było czyściutkie. Oglonicha ubrała dzieci w paradne obleczenie i Oglonkowi zawiązała u koszuli pod szyją czerwoną wstążeczkę, a Oglonce nałożyła trzy sznurki paciorków—niebieskich, białych i różowych.

— Do kościoła trzeba się świątecznie ubrać! — powiada matka.

Tak wystrojone dzieci chodziły po izbie poważnie, jedno drugiemu się przyglądało, a bały się nawet dotykać swego ubrania, żeby przypadkiem czego nie pomiąć, albo nie splamić palcem. Oglonek miał na nogach buciki z długiemi cholewami, na głowie czapeczkę z pawiem piórkiem, a na białą kitlę z czerwonemi wypustkami opasał pasek, przy którym wisiał kozik na rzemyku. Oglonka znowu obuła paradne trzewiczki, wdziała spódniczkę w prześliczne kwiatki i ponsowy gorsecik na bieluteńką koszulę, a we włosach miała dzwonki i fiołki leśne.

— Ogromnie ci licuje strój taki! — mówił brat, przypatrując się siostrze.—A powiedzże mi, czy ja też dobrze wyglądam?

— Nawet się o to nie pytaj!... Lepiej wyglądać nie można.

Kiedy takie rzeczy zobaczył Zuchelek, zaczął zaraz skakać po izbie, merdać ogonem i z ogromnej radości szczekał na dzieci.

— Biedny Zuchelek!—rzecze Oglonka.—Nikt go też dzisiaj paradnie nie ubrał.

I zaraz wzięła jakiś czerwony skrawek, zawiązała go pieskowi na szyi. Czuć było tego dnia wielkie święto w chacie.

Teraz matka zamknęła drzwi na kłódkę i we czworo, a Zuchelek piąty, puścili się przez las ścieżkami ku wsi, do kościoła.

Zuchelek z ogromnym pośpiechem pobiegł naprzód, zatrzymywał się co chwilkę, obwąchiwał ziemię, krzaki, czasem się czegoś niecierpliwił i wydrapywał nogami trawę z pod siebie, a ciągle się oglądał, czy aby za nim idą wszyscy, którzy wyszli z chaty.

Dzieci trzymały się za ręce, szły bardzo poważnie, rozmawiając o tem, że Zuchelek jest nadzwyczajnie dobry i miły piesek.

Za dziećmi powolnym krokiem zdążali rodzice: Oglon podpierał się grubym kijem i kurzył fajkę; obok niego Oglonicha w tureckiej chustce na głowie, w bielusieńkim jak śnieg rańtuchu na ramionach, niosła grubą książkę do nabożeństwa, owiniętą w sznur paciorków różańca.

— Cobyś też ty zrobiła, żeby tak niespodzianie z krzaków wyskoczył tu do nas Wilczysko?—zapytuje siostrę Oglonek.

— Uciekłabym zaraz do matusi i tatusia.

— Jabym zaś nie uciekał—rzecze Oglonek,—tylkobym krzyknął na Zuchelka: «zabij go!» A jakby mu Zuchelek nie dał rady, tobym przebił Wilczysko kozikiem.

Piesek kilka razy zapuszczał się w krzaki i tam dopiero szczekał zawzięcie, ujadał. Nie było nic takiego; po prostu spostrzegł wiewiórkę, która uciekła przed nim na drzewo, i szczekał. Ale Oglonek i Oglonka nie wiedzieli, dlaczego Zuchelek szczeka; myśleli, że może Wilczysko jest w gąszczach, i oglądali się na rodziców. Wtedy Oglon wyjmował z ust fajkę, gwizdał, a Zuchelek zaraz potem wyskakiwał z krzaków, nadzwyczajnie uszczęśliwiony, że go pan przyzywa do siebie. Jakże on się rzucał z radości, szczekał, jak się łasił do starszych, do dzieci! I znowu popędził naprzód, tylko się kudełki na nim trzęsły.

Ano, przyszli do wsi, stanęli pod kościołem i teraz dzieci zupełnie już zapomniały o boru, o Wilczysku, a nie mogły wyjść z podziwu, gdy tam zobaczyły ogromną moc ludzi. Czyż one się mogły spodziewać, żeby tyle narodu było na świecie!

Tak dopiero, nim weszli do kościoła, ojciec kładzie palec na nosie i mówi do pieska:

— Zuchelek, leżeć tu!

— Tatusiu, czy to Zuchelek z nami nie pójdzie? — zapytuje Oglonka.

— Co po psie w kościele, kiedy pacierza nie umie? — odpowiedział ojciec.

Zaczerwieniła się Oglonka, gdyż jej żal było Zuchelka, a ona też ciągle myliła się w pacierzu. Piesek usłuchał pana, położył się przed kościołem, a rodzice i dzieci weszli wewnątrz.

W kościele było tak pięknie, że Oglonek i Oglonka ogromnie się dziwili. Na ołtarzach wszystko się świeci, błyszczy, a do tego pełno

śpiewania, grania, dzwonienia, światła i kadzidła. Tylko im to jedno przeszkadzało, że o piesku ciągle musieli myśleć.

— Biedny Zuchelek, nie widzi, nie słyszy tego wszystkiego! Co on też tam sam jeden porabia? Dlaczego mu tatuś kazał leżeć przed kościołem, kiedy Oglonka także nie umie zmówić całego pacierza? Może mu się jeszcze stać co złego i dopiero...

Zato wielka była uciecha, kiedy po nabożeństwie wyszli z kościoła, a piesek począł się radować, skakał, lizał wszystkim ręce, a Oglonkę liznął nawet w usta parę razy językiem.

— Zuchelek, statkuj, statkuj!—wołały dzieci.

Ale piesek dobrze się wyleżał przed kościołem, wytęsknił i teraz ani myślał statkować. Różne inne dzieci, co tam także były w kościele, z wielką ciekawością patrzyły na to, że piesek jakiś taki wesoły, zręczny, dobry.

Po powrocie z kościoła do chaty w boru przez długi czas miały sobie dzieci co opowiadać. Każde z nich inne rzeczy widziało i opowiadało drugiemu, jak to było. Złote anioły ze skrzydłami, święci z brodami i w długich sukniach, obrazy przerozmaite, chorągwie, ogromne świeczniki, wielki żyrandol ze świecących szkiełek, różnokolorowe szyby w oknach—wszystko to dzieci precz wypominały. Tylko Oglonek i Oglonka nie mogli zrozumieć tego, że tam w kościele, wysoko, u szczytu ołtarza, widzieli także kilka wróbli.

— Moja matusiu, po co w kościele są wróble? — zapytała raz Oglonka.

— Głupia dziewczyno, tego jeszcze nie wiesz, że wróbel, kiedy może, wszędzie wleci?

— A skąd się też na świecie bierze tyle ludzi i dzieci?

— Skoro ich Pan Bóg nastwarzał, to być muszą.

Nigdy się też te dzieci nie spodziewały, żeby taka moc psów była na wsi, a wszystkie jakieś odmienne, nie takie, jak ich Zuchelek.

— Żeby tak Wilczysko dostał się kiedy między tylu ludzi, psów, toby pewnikiem stamtąd już nie wyszedł! — mówił do siostry Oglonek. — A matusia powiada, że w mieście na jarmarku bywa jeszcze daleko więcej ludzi.

— Ej, chyba więcej nigdzie już być nie może!—zawołała Oglonka.

Dziwiły się tak wszystkiemu owe dzieci, wychowane w lesie. Ale kiedy potem przez całe lato, prawie w każdą niedzielę, chodziły z rodzicami do kościoła, przestały się też i dziwić. One z początku myślały, że dosyć wejść w las, a Wilczysko już gdzie czatuje i gotów

pożerać. Ojciec zaprowadził raz syna i córkę do smolarni, która była blizko o pół mili od ich chaty—i nic się złego nie przytrafiło. Innym razem wziął ich ze sobą na tak zwaną Piłę, gdzie wyrabiano tarcice, gonty. Otrzaskały się dzieci i już nie miały takiego strachu przed Wilczyskiem.

Nadeszła jesień, a jakoś pod koniec października, pewnego dnia rano, Oglon zabrał syna i poprowadził do wsi, gdzie miał bardzo długą rozmowę z panem nauczycielem. Stanęło wtedy na tem, że mały będzie musiał codziennie chodzić na naukę do szkoły. Mrowie przeszło siostrę, gdy się dowiedziała, co czeka brata; zalała się łzami i nie chciała go z domu puścić. Zuchelek widział te łzy, żale, i posmutniał także.

Teraz już co rano ojciec przeprowadzał chłopca przez las, a potem pokazywał mu drogę równiutką, widoczną, prosto do szkoły. Psina kilka razy kusił się, żeby też odprowadzić swego przyjaciela, ale go Oglon zawrócił, wołając:

— Ruszaj żywo pilnować domu!

Zuchelek nie bardzo dowierzał, czy mu naprawdę tak rozkazują, i jeszcze czas jakiś wlókł się za nimi powoli. Dopiero, gdy Oglon podniósł z ziemi szyszkę i rzucił ją w kudły psa, to już widać było, że niema żadnych żartów. Smutny bardzo wracał Zuchelek do chaty, nic a nic nie rozumiejąc, po co ojciec wyprowadza syna z domu. Oglonek uczył się w szkole tak dobrze, że go nauczyciel stawiał wszystkim za przykład.

Gdy nastała zima, to jeszcze szaro było na niebie, a malec z tabliczką i książkami w towarzystwie ojca opuszczał chatę.

Kiedy ze szkoły powracał, to także bywał już mrok dobry—zwyczajnie jak to w zimie.

Ojciec czekał zwykle na chłopca pod lasem, ale raz, drugi, coś go zaszło, nie przyszedł i Oglonek musiał sam jeden wracać do domu. Serce biło mu wtedy tak mocno, że o mało nie wyskoczyło z piersi. Wytrzeszczał przestraszone oczy na prawo i na lewo, patrzył, czy aby Wilczysko skąd nie wyskoczy. Z wielkiego strachu gotów byłby zapłakać, tylko że to mogło zaszkodzić: Wilczysko usłyszałby niezawodnie i przyszedł! Żeby tam choć był Zuchelek przy nim, jużby mu się zrobiło raźniej! Nieraz w takim razie chłopiec aż się zatrząsł ze strachu ogromnego, kiedy w boru posłyszał huk, łomot: to śnieg walił się z drzewa na ziemię, a Oglonek sobie myślał, że Wilczysko tak strasznie przez las pędzi, aż dudni.

Matka naswarzyła czasem na ojca, wyrzucała mu, że mały chłopczyna sam jeden musi spory kęs drogi przechodzić w boru takim. Oglon zawsze jej jedno tylko odpowiadał:

— Przecie on się musi nauczyć chodzić po lesie w pojedynkę! Ja nie chcę tego, żeby mój syn był tchórzem podszyty!

Taki stary leśnik wiedział z pewnością, dlaczego co mówi; więc mu matka święcie wierzyła; myślała sobie, że tak być powinno—i koniec.

Skoro tylko Oglonek spostrzegł, że ojciec coraz mniej dba o to przeprowadzenie go przez las, tak się też potem nie bardzo do domu śpieszył.

— Wcześniej czy później, strach mię w boru nie minie, a im później, tem lepiej!—myślał w duszy, kiedy wychodził ze szkoły.

Bardzo lubił ślizgawkę i od czasu do czasu, zaraz po nauce, puszczał się z innymi chłopcami na łąki za wsią, gdzie na zamarzniętej rzece można było użyć doskonałej zabawy. Spróbował raz, i już potem chciało mu się więcej.

Coś w połowie stycznia, w jedną sobotę, chłopcy wysypali się całą gromadą ze szkoły i tak, jak byli, z książkami, tabliczkami, liniami, poszli używać ślizgawki na rzece. Zeszło im do takiej godziny, że już księżyc wszedł i niebo się zaiskrzyło gwiazdami. Oglonek precz się ślizgał z nimi.

Była to zabawa co się zowie! Jeden chłopiec, wielki zbytnik, figlarz, wyprawiał takie sztuki tam na lodzie, że się inni za boki brali od śmiechu. Przykucnął na przykład, ślizgał się tak, wywijając rękoma, a potem nagle podnosił jedną nogę, umyślnie na wznak padał, i dopiero cała gromada pędzących tuż za nim waliła się na kupę. Uciechy było pełno, chociaż niejeden dostał guza i stękał. To jeszcze nie wszystko, gdyż ten sam figlarz miał ze sobą małe saneczki, na które siadało z dziesięciu chłopców i ci z wielkim pędem z górzystego brzegu rzeki zsuwali się na dół. Nazywało się to «z górki na pazurki.» Istotnie, na pazurki upadali wszyscy, kiedy saneczki z brzegu zsunęły się na rzekę; następował wywrót, który rozrzucał swawolników na prawo i na lewo.

O takich i innych jeszcze zbytkach miał co Oglonek opowiadać siostrze.

Ale nareszcie owej pamiętnej soboty zbytnicy spostrzegli, że czas wielki wracać do domów, i jaki taki porzucał psikusy, a do wsi co tchu pędził.

Teraz Oglonek pomyślał, że mu zwykłą drogą daleko będzie wracać do chaty, jako go i nogi dobrze bolały od przydługiego ślizgania. Najlepsza droga była z łąki do wsi, a ze wsi do boru, ale chłopiec chciał się dostać prosto z łąki do boru i tak też poszedł przez pola. Raz już przechodził on tę drogę z tatusiem i myślał, że z łatwością trafi. Tymczasem, kiedy wszedł w gęste zagajniki, zupełnie się nie mógł pomiarkować, którędy trzeba iść do chaty: ścieżka na prawo, ścieżka na lewo i trzecia prosto. Poszedł prosto, zabłądził,—ścieżka była taka zajęcza, nie ludzka. Szedł, szedł, a tu mróz coraz bardziej dokuczał. Chłopcu zdrętwiały ręce, nie czuł nawet, że upuścił linijkę, książkę, zeszyt jakiś. Ooo, niedobrze! Biedactwo, był już niedaleko chaty, ale czy on to wiedział? Minął chatę i poszedł dalej. Wtem zdało mu się, że słyszy, jak wilki wyją.

— Za nic w świecie nie pójdę przed siebie, bobym na pewno zginął!

Tak pomyślał, zawrócił, uszedł z dwieście kroków, siadł pod starą sosną i byłby zapłakał w niebogłosy, gdyby nie to, że płacz wilki mogły usłyszeć.

Stary Oglon tymczasem przyszedł z boru do chaty, a tu syna niema jeszcze w domu, Oglonicha i Oglonka płakały, Zuchelek zaś wył przeraźliwie.

Przerażony ojciec nie zdjął nawet strzelby z ramienia, zaraz się zabrał i poszedł szukać chłopca. Nie uszedł jeszcze i stu kroków, gdy usłyszał, że ktoś za nim biegnie: była to Oglonicha. Pędziła tak raźno, że jej tchu w piersiach zbrakło, i rzekła do męża:

— We dwoje prędzej go odnajdziemy! Ty idź tą ścieżką i wołaj «hop, hop!» Ja zaś pójdę tamtą.

Idą precz po boru, pokrzykują, hukają, potem nasłuchują, ale im nikt nie odpowiada. Chłopiec siedział pod drzewem w przeciwnej stronie, a nie dalej jak o sto kroków od chaty. Doszli oboje do skraju lasu, spotkali się ze sobą i byli bardzo smutni, że żadne z nich nie znalazło syna.

— Może on we wsi został, może zachorował? — powiada Oglon.

— Ej, nie, nie!—rzecze Oglonicha.—Gdyby tak było, nauczyciel dałby znać rodzicom.

— Ano, to chyba musiał iść inną drogą — mówi ojciec. — Jeżeli poszedł przypadkiem tamtą mylną drogą od łąk, to zbłądził, jak amen w pacierzu. Co mu zaś do głowy przyszło wałęsać się po bezdrożu?...

Za dziećmi powolnym krokiem zdążali rodzice.

I oboje pobiegli na ową mylną ścieżkę, którą właśnie przechodził był już Oglonek. Znalezli tam na drodze książkę, linijkę, zeszyt.

— Chwała Bogu—rzecze stary,—chłopiec szedł tędy i z pewnością już go znajdziemy w chacie.

Szli teraz prędko, nic nie mówiąc do siebie, a stary układał sobie w głowie, jaką naukę ma dać synowi za to, co się stało.

Oglonek zaś chwilę czasu posiedział pod sosną, gdy wtem wyraźnie posłyszał wycie nie żadnych wilków, tylko—Zuchelka. Wstał zaraz i niezadługo potem przyszedł do chaty. Patrzy on, a tu Oglonka aż się zanosi od strasznego płaczu, a Zuchelek wyje i wyje. Wypytuje się, jak, co, i dopiero mu siostra ze szlochem powiada, że go rodzice poszli w bór szukać.

— A cóżem ja też najlepszego zrobił! — zawołał chłopiec ogromnie zafrasowany.—Pewnie Wilczysko napotkał tatusia i matusię...

— Trzeba za nimi pobiegnąć, żeby cię na próżno nie szukali!— powiada Oglonka.

— Ja zaraz idę!—mówi chłopiec i z chaty wychodzi.

— Nie pójdziesz sam, niech Bóg broni!... ja także pójdę i Zuchelka weźmiemy ze sobą!

Gorzkie łzy wylewając, opuścili chatę, poszli zwykłą ścieżką ku polu; Zuchelek biegł raźno przed nimi. W górze na niebie było widniutko, ale w boru pełno było cienia od krzaków, od gałęzi drzew. Dzieciom ciągle się wydawało, że coś niedobrego widzą przed sobą, a to na śniegu czerniały krzaki, albo pniaki drzew ściętych.

Okropne położenie! Tatusia i matusi ani widu, ani słychu!

Juści dzieci nie mogły znaleźć rodziców, którzy teraz właśnie przechodzili ową mylną drogę.

Oglon i Oglonicha przybyli do chaty, pewni, że tam już zastaną syna. Jakże się przerazili, kiedy nie znaleźli nikogo!

— Jezus, Marya!—krzyknął Oglon.—To już, widzę, jakieś skaranie Boskie!

I, jak oparzony, co żywo wyskoczył z chaty, a matce przykazał siedzieć w domu. Wybiegł w bór, nastawia uszy, czy czego gdzie nie posłyszy; miał zaś słuch wyborny. Zdało mu się, że na ścieżce ku polu słychać szczekanie Zuchelka, i bez zwłoki czasu puścił się w tę stronę. Biegł, a co chwila stawał, słuchał. W samej rzeczy, to Zuchelek wyraźnie szczekał. Puścił się teraz leśnik, ile tylko sił miał w nogach, i kiedy już dopadał do brzegu lasu, naraz usłyszał takie

żałosne skomlenie, jakie wydaje pies raniony. Oglon jeszcze przyśpieszył kroku.

Za krótką chwilę straszny obraz przedstawił się jego oczom. Już na samym brzegu lasu, pod krzakiem jałowcu, tulili się do siebie Oglonek i Oglonka, a naprzeciwko, w odległości dziesięciu kroków, stał straszliwy Wilczysko i, szczękając, zgrzytając zębami, przygniatał przedniemi łapami rozszarpanego, broczącego we krwi Zuchelka. Całą tę okropną scenę Oglon widział z boku.

Nie było się tu co namyślać. Leśnik natychmiast wycelował strzelbę prosto w latarnię okrutnej bestyi i zaraz huknęły dwa strzały. Wilczysko upadł na ziemię, tarzał się po śniegu, charkał przeraźliwie, potem w konwulsyach podskoczył parę razy tak potężnie, że aż krwią swoją obryzgał oboje dzieci—i wyzionął ducha.

Dzieci nigdy w życiu nie przestały żałować Zuchelka, który w ich obronie zginął od kłańców Wilczyska.

JASKIER, KOS, CIERNIAK I TĘCZA.

Jeden potężny król, nazwiskiem Lel, miał córkę Tęczę, jedynaczkę, dziewicę przecudnej urody, o rękę której ubiegali się najsławniejsi książęta i najdzielniejsi rycerze całego świata. Nie tylko bardzo piękna, ale i bardzo dobra była ta królewna: ludzie biedni doznawali od niej pomocy i prosili Pana Boga, ażeby jej się szczęśliwie powodziło w życiu.

Zjeżdżali się tam na dwór królewski zalotnicy—a co który spojrzał na Tęczę, zaraz się w niej ogromnie zakochał i chciał ją pojąć za żonę; ona zaś ciągle powtarzała jedno:

— Nie, ten nie będzie moim mężem!..

Stary król trapił się mocno, że córka tak przebiera, i mówił:

— Kochana córko, przez ciebie narobiłem sobie oto wrogów, gdyż każdy taki, coś go odprawiła z niczem, ma teraz do mnie ogromną urazę. Boję się, żeby mi kiedy ci odrzuceni przez ciebie zalotnicy nie wypowiedzieli wojny, boby rozmieśli całe moje królestwo.

— Nie frasuj się, ojcze, zostaw mi czas do namysłu i wyboru męża, gdyż jeszcze młoda jestem, a nie spotkałam ani jednego, coby był godny mojej miłości—odpowiadała Lelowi Tęcza.

Ano, czekają na tego godnego, a tu na zamek zjeżdżają coraz to nowi książęta, królewicze; ona żadnego z nich oświadczyn nie przyjmuje. Nareszcie jednego razu królewna tak przemawia do ojca:

— Miałam ja sen nadzwyczajny, w którym mi dobre duchy doradziły, ażebyś ty, ojcze, wystawił piękny pałac na szklanej

górze... i kto tam do mnie trzykrotnie dojedzie, ten zostanie moim mężem.

Zamyślił się król, gdyż ciężka to sprawa budować szklaną górę i na niej pałac; ale nie mógł on nic odmówić swojej ukochanej jedynaczce. Sprowadził tedy przeróżnych majstrów i kazał im wznieść szklaną górę, a na niej postawić pałac. Pracowali, pracowali, aż urobili taką ogromną górę ze szkła, że się wznosiła ponad lasy całego kraju i prześlicznie błyszczała. Dopiero na owej górze stanął śliczny pałac, który widniał daleko, daleko.

Zamieszkała tam teraz królewna Tęcza, a jak tylko przybył zalotnik, starający się o jej rękę, musiał na koniu wjeżdżać na tę górę— i nic dziwnego, że żaden nie był w stanie dokazać tego, ponieważ góra była gładziuchna i ogromnie ślizka.

Smutni, zawstydzeni niepowodzeniem zalotnicy wraçali do domów, a wszędzie po świecie rozgłaszali, że jest jedna przecudnie piękna królewna Tęcza, którą ten tylko pojmie za żonę, kto się konno wedrze na szklaną górę—czyste niepodobieństwo.

Żyli zaś w owe czasy trzej książęta: Cierniak, Kos i Jaskier. Dwaj pierwsi byli ludzie starsi i mądrzy, trzeci—Jaskier—głupi, jak powszechnie mówiono. Gonili oni ostatkami, gdyż im ojciec niewiele zostawił, i starsi pragnęli przez ożenek los swój poprawić. Kiedy się dowiedzieli o królewnie Tęczy, o szklanej górze, zaraz Cierniak i Kos zaczęli między sobą radzić:

— Czy to zawadzi popróbować? —powiadają. — Królewna cud piękności, a bogaty król Lel pewnie też suty posag da za córką... Po jego śmierci można nawet królem zostać. Może się któremu z nas uda.

Uważali się zaś ci dwaj starsi za ogromnych zuchów, podczas gdy najmłodszego, Jaskra, mieli za wielkiego niezdarę.

Gdy powzięli takie postanowienie, Cierniak i Kos kazali sobie zaraz kowalom ostro kuć konie, przywdziali co najpiękniejsze zbroje i wyjeżdżają z domu.

— Bracia, zabierzcież i mnie z sobą! — woła Jaskier. — Świata jeszcze nie znam, a jestem bardzo ciekawy zobaczyć ludzi; szczególniej zaś nęci mię szklana góra, o której tyle mówicie.

A bracia z góry wsiedli na niego i wydziwiali:

— Co, ciebie, niezdaro, mamy ze sobą zabierać? Jeszcze też tam takich nie widzieli! Wstydu tylko musielibyśmy się nałykać za takiego brata.

Pojechali Cierniak i Kos, a Jaskier pozostał w domu. Dopiero po niejakim czasie on się także zabrał, poszedł za ich śladami. Idzie piechotą przez ciemny bór,—spojrzy, a tu przed nim staje śliczny biały koń z długą grzywą i ogonem do samej ziemi. Miał na sobie paradną kulbakę, a na kulbace złocisty pancerz i oręż cały, jaki rycerze noszą: sam król mógłby tę piękną zbroję przywdziać.

Jaskier obejrzał toto, głaszcze konia ręką i mówi:

— Oblókłbym ja tę zbroję, dosiadłbym cię, koniku, i puściłbym się w świat daleki.

Wtem koń przemawia ludzkiem słowem:

— Zgoda! Po to mię właśnie przysłała do ciebie Świecioszka, dobra wieszczka tego kraju. Jesteś moim panem i możesz mną rozporządzać.

Ubrał się więc Jaskier niebawem w złocisty pancerz, przypiął ostrogi, przypasał miecz do boku, dosiadł konia, popędził jak na skrzydłach.

Przyjechał do szklanej góry,—wszyscy patrzą, co za jeden taki, a on rozpuścił konia i z ogromnym rozpędem pognał na sam szczyt, tylko się iskry sypały z pod kopyt białego rumaka. Dobiegł do pałacu, chwilkę się tam zatrzymał, popatrzył na królewnę Tęczę i piorunem z góry zjechał.

Ogromnie się dziwią wszyscy. Różni rycerze pytają jeden drugiego:

— Któż jest ten bohater, co wygląda na boga wojny raczej, niż na zwykłego rycerza?

Jaskier atoli nie zatrzymał się między nimi, jeno popędził w bór i zniknął w gąszczach. Puściło się za nim w pogoń kilku, a w ich liczbie dwaj jego bracia. I dopędzili go w boru; ale on dobył miecza, płazem poczęstował tego i owego, zwłaszcza też Cierniaka i Kosa.

Kiedy dojeżdżał do domu, zdjął pyszną zbroję, złożył ją na koniu, a sam piechotą wrócił do domu i siedział tam spokojnie, jakby o niczem a niczem nie wiedział.

Po jakimś czasie powrócili też jego bracia i nieustannie ze sobą rozmawiali o rycerzu w złocistej zbroi, na białym rumaku, co prawie cudem wdarł się na szklaną górę, a potem zniknął w gąszczach boru. Na daleką okolicę pełno było o tem mowy.

Tak przeszło kilka miesięcy i znowu wypadł ogromny zjazd pod szklaną górą, gdzie się teraz mieli popisywać przeróżni, głośni na świecie rycerze. Ludno i gwarno tam było; niektórzy wyjechali

kilkanaście kroków pod górę—i dalej ani rusz: konie waliły się z nimi na dół, łamały nogi. Tacy wstyd tylko mieli, a w dodatku o mało karków nie skręcili.

Popisywali się też wtedy Cierniak i Kos, ale zyskali tylko guzy i sińce i pośmiewisko ludzkie.

Oni tak idą w zapasy—wtem się zjawia niespodziewanie rycerz na białym koniu, w złocistym pancerzu. Z łatwością popędził pod górę, sypały się iskry z pod konia; dotarł do szczytu, popatrzył na królewnę Tęczę, zawrócił, piorunem zjeżdża i co tchu w bory uchodzi.

Znowu kto żyw pognał za nim—ciekawość wielka, co to za jeden. Jaskier na prawo i na lewo coraz to lunął którego płazem miecza i uszedł. Nim dojechał do domu, zrzucił z siebie świetną rycerską zbroję, oddał ją koniowi, a sam w zwykłem swem ubraniu powrócił pieszo do domu i siedział spokojnie.

Przyjechali z wyprawy bracia jego—narzekają, że im się nie udało, że nie tylko się sromem okryli z powodu niepowodzenia, ale jeszcze jakiś sowizdrzał ogromnie ich mieczem wypłazował po grzbiecie.

Na wszystkie strony zapytywano teraz:

— Kto jest ów rycerz, co już dwa razy wjechał na szklaną górę?

Uwzięli się wszyscy, żeby to koniecznie wiedzieć. Osobliwie też królewna Tęcza i ojciec, król Lel, pałali nadzwyczajną ciekawością.

I znowu w jakiś czas ogłaszają, że jacy tylko są najznakomitsi na świecie rycerze—będą próbowali wjeżdżać na szklaną górę. Rozniosło się zaś wszędzie, iż jeden słynny i bardzo dzielny książę, nazwiskiem Rozpiórek, stara się o rękę królewny Tęczy i do zapasów wyzywa każdego, kto się czuje na siłach. Opowiadano, jakoby Rozpiórek nie miał równego sobie pod względem męstwa i zręczności, a zawdzięczał to opiece jednego potężnego czarnoksiężnika Zadziora, dla sztuki którego nie było żadnej na świecie trudności.

Tęcza już była pokochała Jaskra i myślała sobie:

— On pewnie i trzeci raz wjedzie na szklaną górę... ale co tu zrobić, żeby go zatrzymać?... Co począć, żeby się tu Rozpiórek do mnie nie dostał?

Frasowała się tak królewna, zapytywała o radę różnych mądrych kobiet—i dopiero stara jej mamka, imieniem Sysocha, powiada do niej w te słowa:

— Jeżeli chcesz, królewno, aby rycerz Rozpiórek nie dostał się do ciebie, to zakop własnemi rękami na szczycie szklanej góry ziele

...w odległości jakich dziesięciu kroków stało straszliwe wilczysko...

widworot, które odwraca serce zalotnika od oblubienicy. Co się zaś tyczy rycerza na białym koniu, toś powinna, królewno, mieć przy sobie cudowne ziele nasiężrał, obudzające w sercu zalotnika tęsknotę za oblubienicą.

Taką radę dała Tęczy Sysocha, podczas gdy rycerze ze wszystkich stron ściągali pod szklaną górę.

Dwaj bracia, Cierniak i Kos, oblekli piękne szaty, dosiedli bystrych koni i podążyli także na ów popis.

— Moi bracia, zabierzcie mnie ze sobą!—dopraszał się Jaskier.— Niechże ja choć raz w życiu zobaczę, jak świat wygląda!

— Siedź oto lepiej w domu, niedołęgo! Gdzie tobie pchać się między dostojne rycerstwo! Ludzie wyśmialiby cię niezawodnie, a przy tobie i nasby ośmieszyli. Ani ty postawy nie masz, ani nie znasz rycerskich zwyczajów; prostego chłopa już lepiej byłoby ubrać w zbroję i na koń wsadzić.

Powiedziawszy to, zabrali się sami i pojechali. Jaskier też niebawem podążył za nimi, a kiedy szedł drogą przez bór, znowu spotkał tego samego białego konia. Nie tracąc czasu, oblókł wspaniałą zbroję i popędził ku szklanej górze.

Rozpiórek, rycerz nad rycerzy, w świecącej zbroi, w przepysznym hełmie, rozpuścił właśnie swego ognistego, karego rumaka, posiadającego czarodziejską siłę, i wpadł na szklaną górę. Rozległ się okrzyk podziwu i uwielbienia, gdyż wszyscy myśleli, że rycerz ten z pewnością już dotrze do szczytu. Atoli nagle kary koń Rozpiórka zawrócił i z nadzwyczajnym pośpiechem pędził na dół, nie dosięgnąwszy wierzchołka góry: ziele widworot zrobiło swoje i nie pozwoliło rycerzowi dotrzeć do królewny.

Szczęście, że Rozpiórek na łeb się nie zwalił.

Tęcza natychmiast uprzątnęła ziele widworot, a położyła sobie na sercu ziele nasiężrał.

W sam czas zjawił się Jaskier na białym rumaku i lotem strzały popędził na szczyt szklanej góry. Spojrzał z pod hełmu na królewnę i nagle uczuł w sobie ogromne dla niej przywiązanie.

— Już ja bez niej nie zdołam wyżyć na świecie — powiedziało mu serce.

Biały koń uniósł swego jeźdzca z powrotem, ale Jaskier odwracał ciągle głowę po za siebie, gdyż go opanowała tęsknota i choć raz jeszcze chciał zobaczyć prześliczną Tęczę.

Pogonili za nim Rozpiórek, Cierniak, Kos i inni; on jednak uszedł, przepadł w gąszczach ciemnego boru.

Wrócił do domu; wkrótce wrócili i jego bracia, rozmawiali o tem wszystkiem, co się zdarzyło, a on udawał, że nie wie o niczem.

Teraz już straszna tęsknota go trapiła, nie mógł sobie dać rady i całą duszą był przy Tęczy.

Kiedy się zmierzchło, Jaskier wychodził do boru, dosiadał tam codziennie białego rumaka i nocami odwiedzał królewnę na szklanej górze.

— Pokażże się królowi, memu ojcu! — mówiła mu Tęcza. — Zostaniesz moim mężem, będziemy oboje bardzo szczęśliwi.

— Nie, nie! — odpowiadał Jaskier. — Ja nie jestem podobny do tych słynnych rycerzy; nie umiem ust otworzyć, aby należycie przemówić. Może się zdarzy sposobność, że mię król, twój ojciec, pozna z jakiegoś sławnego czynu.

Czas mijał, a oni tak ciągle żyli i bardzo się kochali.

Tymczasem Rozpiórek, obrażony, że mu się sztuka nie udała, a bardzo był dumny, zebrał ogromne wojsko i wypowiedział wojnę królowi Lelowi.

— Król i królewna ośmieszyli mię przed światem—mówił.—Za to srogo ich oboje skarcę: skutych ciężkimi łańcuchami każę wrzucić do lochów pod szklaną górą, aby tam życia dokonali.

Tak mówił i zaraz przy pierwszem starciu w bitwie pobił na głowę wojsko króla. Noc nadeszła, a Lel na wszystkie strony rozsyłał gońców, aby pozyskać sprzymierzeńców i stawić opór Rozpiórkowi.

— Kto mi pomoże odeprzeć Rozpiórka, otrzyma w nagrodę rękę mojej córki, a posagu za nią całe królestwo — wołał w rozpaczy król Lel.

Dowiedziawszy się o tem postanowieniu ojca, Tęcza lamentowała i wylała wiele łez, albowiem bardzo miłowała Jaskra. W pałacu swoim na szklanej górze skarżyła się przed gwiazdami i księżycem, a wiatr żałosną jej skargę roznosił po świecie.

Gońcy króla Lela przybyli do Cierniaka i Kosa, i Jaskier słyszał, jak prosili o pomoc zbrojną, jak w imieniu króla przyrzekali zwycięzcy Rozpiórka rękę królewny i w posagu całe królestwo.

Teraz ze wszystkich stron śpieszyły na pomoc królowi Lelowi hufce zbrojnych rycerzy. Bracia Jaskra zebrali także zastęp wojaków i popędzili na ich czele.

Jednego dnia rano słońce prześlicznie oświeciło góry i lasy, a całą szklaną górę dokoła już otaczali byli nieprzyjaciele, ogromne, bitne wojsko Rozpiórka. Nadciągnął Lel ze swymi sprzymierzeńcami i dwie wrogie siły gotowały się do śmiertelnej walki. Huknęły trąby, kotły, rozległy się krzyki bojowe, zawrzała bitwa.

Przez pół dnia słychać było tylko szczęki oręża, chrzęst zbroi, tętent koni, dzikie wojenne okrzyki, jęki umierających. Ludzie upadali ze znużenia, a zwycięstwo nie przechylało się na żadną stronę. Nareszcie po południu wojsko Rozpiórka zaczęło brać górę i sprzymierzeńcy Lela pierzchali z pola bitwy. Strapiony ojciec Tęczy, widząc przegraną, w okropnej rozpaczy postanowił zginąć, przeto rzucał się z koniem tam, gdzie było najgroźniejsze niebezpieczeństwo. Od razów jego miecza padali ludzie jak muchy, jemu zaś nie szkodziły ani ciosy szabli, ani pociski strzał, gdyż Rozpiórek rozkazał, aby go żywcem wzięto. Sroży się straszna bitwa—wtem nagle z czarnego boru wypadł rycerz na białym koniu, rzucił się między walczących i wprost na Rozpiórka godzi. Krótko trwała ta walka—Rozpiórek, na wylot mieczem przeszyty, z konia na ziemię runął, co dodało serca wojownikom Lela, a rzuciło postrach w nieprzyjacielskie szeregi.

W nadzwyczajnym popłochu pierzchali teraz wrogowie Lela na wszystkie strony, a rycerz w złocistej zbroi, na białym koniu, ścigał uchodzących, dzielnie ich gromiąc mieczem. Uniesiony zapałem, zapędził się za daleko i jeden z wojowników Rozpiórka, puściwszy strzałę z łuku, ranił go ciężko w czoło. Krew zalała oczy mężnemu Jaskrowi, a tymczasem dopadli nieprzyjaciele i zadali mu wiele ran mieczami. Zwalił się z konia i leżał, brocząc we krwi własnej, upadły na siłach.

Przed samym wieczorem zwycięski Lel oglądał pole bitwy, gęsto usłane trupami. Jakże się zdziwił, kiedy wśród rannych znalazł rycerza w złocistej zbroi, a przy nim białego rumaka, który stał z głową smutnie w dół spuszczoną. Po tej zbroi i po białym koniu poznał król wybawiciela swego; natychmiast uklęknął nad rannym, począł go cucić i własnemi rękoma tamował krew, płynącą z ran bohatera. Zaledwie atoli Lel opatrzył i obwiązał rany rycerza, gdy ten żwawo po wstał z ziemi, szybko wskoczył na swego rumaka i lotem strzały zniknął w gąszczach boru.

— Osobliwy to jakiś mąż—rzecze król, spoglądajac za uchodzącym Jaskrem; —dokonał już licznych dzieł bohaterskich, a poznać się

nie daje, jak gdyby za swe czyny nie żądał żadnej nagrody, nie chciał przyjąć dowodów wdzięczności.

I znowu Lel rozesłał po świecie gońców, a tak im zapowiedział:

— Idźcie i szukajcie rycerza, który na czole ma wielką ranę od strzały, a całe ciało porąbane mieczami moich nieprzyjaciół. Szukajcie go pilnie po wszystkich zakątkach, jest to bowiem mąż wielkiej szlachetności, który za czyny swoje nadzwyczajne nie chce odebrać żadnej nagrody, który, będąc istotnie wielkim, unika rozgłosu sławy.

Rozbiegli się gońcy na cztery strony świata, a gdziekolwiek przybyli, zapytywali pilnie o rycerza, co w boju otrzymał szeroką ranę na czole, a całe ciało miał porąbane mieczami nieprzyjaciół.

Jedni z tych gońców pojawili się w domu trzech książąt, z których dwaj, Cierniak i Kos, byli zdrowi jak ryby, a trzeci, Jaskier, ranami okryty, leżał w łóżku.

Gdy gońcy Lela sprawdzili to wszystko, wracają czemprędzej i mówią:

— Królu nasz i panie, są oto trzej książęta: Cierniak, Kos i Jaskier; dwaj z nich dobrze znani na twoim dworze, dorodni junacy, krzepcy, wysmukli jak jelenie; ale trzeci, najmłodszy, czysty niezdara, chuchro, że trzech zliczyć nie umie. Dziwo nadzwyczajne: ten trzeci właśnie, Jaskier imieniem, ma ranę głęboką od strzały na czole, a całe ciało zrąbane jak sito od mieczów! Zapytywaliśmy wszystkich: czyż to podobna, aby taki niedojda mógł być zbawcą króla Lela i jego królestwa? Niech mądrość twoja, królu, rozstrzygnie tę wątpliwość, gdyż my sami nie wierzymy w dzielność księcia Jaskra, wyglądającego raczej na organistę, mnicha, niż na rycerza!

— Pozory mogą was mylić—odrzekł Lel z powagą;—skromność księcia Jaskra, o której mi mówicie, zupełnie się zgadza z postępowaniem zbawcy mojego, rycerza w złocistej zbroi i na białym koniu. Zaraz sam śpieszę na miejsce obejrzeć rannego i oddać hołd jego waleczności.

Tyle powiedział król, co żywo kazał siodłać konie i z pocztem nadwornych rycerzy puścił się w drogę.

Wielkie zdziwienie ogarnęło Lela, gdy przybył do domu trzech braci książąt i tam spostrzegł, że Jaskier ma głowę owiniętą w tę samą chustkę, którą mu on, król, obwiązał czoło na polu bitwy. Teraz już zniknęła wszelka wątpliwość i Jaskrowi oddano hołdy, należne jego wielkim zasługom.

Cierniak i Kos nie mogli wyjść z podziwu, że ten brat młodszy, tak przez nich lekceważony, po trzykroć wjeżdżał na szklaną górę, a w otwartym boju własną ręką pokonał rycerza nad rycerzy, słynnego w świecie Rozpiórka.

— Słyszałem ja nieraz od mądrych ludzi—mówił król Lel, — że jakiś tam człowiek niepozorny, skromny i cichy, nie tylko dokonał dzieł nadzwyczajnych, lecz sławne swoje czyny zachowywał w tajemnicy; muszę atoli wyznać, iż po raz pierwszy takiego na własne oczy oglądam.

W wielkim tryumfie zabrano bohatera z domu i prowadzono na zamek królewski, aby go tam przyjąć ucztami i okazać mu wszelkie zaszczyty, jakich był godzien.

Skoro tylko wjechali w bór, zjawił się tutaj na drodze biały rumak, który tym razem niósł na swym grzbiecie już nie bojową zbroję, ale przecudne godowe szaty i wawrzynowy wieniec. Jaskier dosiadł konia i pojechał wraz z innymi rycerzami.

Trudno byłoby tutaj piórem opisać radość królewny Tęczy na widok oblubieńca, rycerza, któremu oto publicznie oddawano hołdy. Oni oboje kochali się od dawna i tęsknili do siebie, przeto nie było najmniejszej przeszkody, aby się teraz pobrali. Jeszcze przed weselem Lel nazywał Jaskra swoim kochanym zięciem i mówił, że go kocha jak rodzonego syna.

Ale gdzież na świecie jest szczęście bez goryczy?

Cierniak i Kos, zarozumiali, chytrzy, z ogromną zazdrością spoglądali na owe tryumfy młodszego brata.

— Jestże to sprawiedliwe—mówili,—aby królewna Tęcza przełożyła takiego mazgaja nad nas, dorodnych mężów, zawołanych junaków? Jaskier dzisiaj na ustach wszystkich, Jaskier tronu się dobija, głupiec taki! A my, pierworodni, starsi w rodzie książęta, cóż mamy ze swego prawa starszeństwa?...

Usiłowali więc odwrócić od Jaskra serce Tęczy, chcieli obniżyć zasługi jego wobec Lela, — ale im się to wszystko nie udawało, gdyż cichy, dobry, uprzejmy Jaskier podbił serca całego królewskiego dworu.

Wyznaczył był król dzień wesela, na które pozapraszał licznych gości. Kto żył, cieszył się nadzieją owych godów i czynił do nich przygotowania. Tylko zazdrośni bracia Jaskra z goryczą w duszy chodzili jak mary, i chociaż udawali wesołość, byli jednak smutni, a w sercach knuli zdradę przeciw bratu.

Tak zasępionych spotkał raz o zmroku czarnoksiężnik Zadzior, co wyraźnie czytał w ich duszach, a do Jaskra miał złość z tego powodu, że z jego to ręki zginął rycerz Rozpiórek.

— Wiem—rzecze ów czarnoksiężnik,—co was gryzie, i mam na to bardzo skuteczne lekarstwo, jeżeli się oddacie pod moją opiekę.

Atoli dwaj ci obłudnicy, chociaż rodzeni bracia, wzajemnie nie dowierzali jeden drugiemu; wobec czarnoksiężnika będąc, każdy z nich się zaklinał, wymawiał, jakoby bynajmniej nie zazdrościł szczęścia młodszemu bratu i na jego zgubę nie nastawał.

— Ślepy los — mówili oni — częstokroć rzuca skarby pod stopy głupca i niezdary. Prawdziwie dzielni mężowie nigdy nie liczą na takie przypadki, bo, ufni we własne ramię i pewni swego rozumu, sami mogą przecież wywalczyć sobie, zdobyć powodzenie.

Uśmiechał się bardzo chytrze Zadzior, słysząc te słowa, z pode łba mierzył tylko okiem Cierniaka i Kosa, a gdy się już obaj należycie przed nim wygadali, wtedy on każdemu z osobna szepnął na ucho:

— Skoro już na zamkowym zegarze wybije północ i wszystko się dokoła uciszy, przyjdź bez brata. Na murach zamku znajdziesz mię gotowego do dania ci dobrej rady.

Tak się umówił naprzód z Cierniakiem, a potem Kosowi wyznaczył na spotkanie inne miejsce i nieco późniejszą godzinę.

Nadeszła noc. Czarne chmury toczyły się po niebie; nie było ani gwiazd, ani księżyca, tylko sowa hukała na baszcie; z borów dolatywał złowrogi głos puhacza, lub wilk w oddaleniu zawył przeraźliwie.

Cierniak chyłkiem wymknął się z zamku na ową tajemną schadzkę z czarnoksiężnikiem, której świadkami były tylko nietoperze.

— Wszystkie zalety—mówił ponuro Zadzior,—zdobiące Jaskra i jednające mu ludzkie względy, pochodzą stąd, iż się nim opiekuje pewna wieszczka, imieniem Świecioszka. Z jej to łaski najmłodszy wasz brat dosiada cudownego rumaka i zyskuje nadziemską odwagę. Mój geniusz mi powiedział, gdym go o radę pytał, że w gwiazdach zapisano, iż jeden z was musi Jaskra zgładzić, aby drugi mógł królewnę Tęczę poślubić.

— Któryż z nas dwóch otrzyma tę nagrodę wielką? — zapytał Cierniak głosem drżącym: lękał się bowiem, aby królewna nie dostała się Kosowi.

— Czarny geniusz każdemu z was już rolę wyznaczył, ale mnie tajemnicy zdradzać nie wolno.

— A cóż mam czynić, mistrzu, abym sobie zjednał wielkiego geniusza i ciebie?

— Urządzisz jutro na zamku rycerski turniej, wielką gonitwę; sam jednak nie będziesz brał w tem udziału, gdyż co innego ci robić przeznaczono.

Zaledwie Cierniak zniknął z murów zamku, przybył Kos, któremu czarnoksiężnik dał takie znowu zalecenie:

— Niepostrzeżony śledź jutro kroki Jaskra, i gdy on pójdzie do boru, idź za nim. Skoro ujrzysz, iż dosiada białego rumaka, zawołaj: «hilka, hilka! bessza, bessza!» Wtedy z rżeniem przybiegnie do ciebie piękny wrony rumak, który równego sobie nie ma na świecie; wskocz żwawo na grzbiet jego i puść mu zupełnie lejce! Miej tylko nienawiść dla swego brata, a reszta zrobi się sama.

Nazajutrz każdy z dwóch braci sumiennie robił to, co zalecił czarnoksiężnik.

Cierniak, jako brat Jaskra, przyszłego królewskiego zięcia, z wielką łatwością skłonił króla Lela do wyprawienia igrzysk na zamku. Kos zaś strzegł pilnie brata Jaskra, sam nie będąc widzialny.

Kiedy się rozpoczęły już rycerskie popisy, Lel zapragnął, aby przyszły zięć jego wziął także udział w gonitwach. Więc Jaskier co żywo w bór się zapuszcza, nie wiedząc wcale o tem, że Kos chyłkiem wśród krzaków za nim podąża.

Wnet po boru rozległ się tętent—i biały rumak, wysłany przez dobrą wieszczkę Świecioszkę, stanął na drodze, ale tym razem piękny koń coś niespokojnie oglądał się za siebie, gdy go dosiadał Jaskier.

— Hilka, hilka! bessza, bessza!—zawołał Kos, ukryty w krzewach.

Na te słowa stęknął żałośnie biały rumak i z kopyta ruszył cwałem. Na drodze dał się słyszeć teraz inny tętent, podobny jakby do odgłosu grzmotów podziemnych; w powietrzu zabrzmiało straszliwe rżenie, które echem stu tysięcy głosów odbiło się po dalekich borach. Sam Kos struchlał i włosy stanęły mu dębem na głowie, gdyż go przeraziła nadzwyczajna potęga czarodziejskiego zaklęcia, które wyrzekł. Jeszcze nie wrócił do przytomności, a już ujrzał przed sobą czarnego rumaka nad rumaki. Nozdrza konia były podobne do rozpalonych czeluści, z jego oczu skry się sypały, z pod kopyt kamienie i kawałki ziemi wylatywały w powietrze: wyglądał jak wicher, niosący zniszczenie. Dosiadł go Kos i uczuł straszną siłę w sobie. Kary rumak zarżał tak potężnie, aż się wiatr zerwał między drzewami, i popędził za Jaskrem. Zrobił się nadzwyczajny szum od tej gonitwy,

coś jakby tysiące jęków, gróźb i przekleństw rozdzierały powietrzne przestworze. I ludzie w całej okolicy drżeli, uciekali się do modlitwy, sądząc, że im zagraża wielkie jakieś nieszczęście. Bo ani szum fal rozhukanej powodzi, ani grzmot, wychodzący z łona ziemi podczas jej trzęsienia, nie może się równać z grozą przeraźliwego głosu, który wydawała owa gonitwa. Na zamku Lela wszyscy oniemieli z przestrachu, jako od razu poznali działanie nadludzkich potęg.

Jak błyskawica mignął się w oczach wszystkich Jaskier na dobrze znanym białym rumaku, a za nim, niby szmat czarnej chmury, niesionej przez huragan, przemknął Kos na okropnym biegunie. Obadwaj wpadli na szczyt szklanej góry, lecz na próżno oczekiwano powrotu ich stamtąd... A gdzież się podzieli dwaj bracia rycerze?—Gonitwa ich trwała dalej. Ze szklanej góry stoczyli się jako gwałtowne potoki i gnali dalej drogą, niczem niepowstrzymani. Przerażeni strasznym widokiem, ludzie pierzchali na wszystkie strony. Gromady dzikich i nie dzikich zwierząt uchodziły w głębiny zapadłych puszcz. Stada ptaków w ogromnej trwodze szybowały w górę, pod niebem szukając dla siebie schronienia. Zdawało się, że drzewa chcą wydrzeć swe korzenie z ziemi, że skały pragną od swych posad odskoczyć, że wszystko drży, ucieczki pożąda.

Lecz cóż to?... Rumak biały z drogi na pola zawraca, niwy przebiega, na błonia i łąki wpada. Kurczy się, maleje—pewnie mu sił zbrakło; wkrótce upadnie, i rycerz na karym koniu go dopędzi, tryumf odniesie. O, nie! Dziwo niesłychane się stało: z białego rumaka i jego rycerza powstał oto zając, który miedzami, brózdami, zagonami śmiga, ile mu siły w skokach starczy. A kary biegun znowu wraz z rycerzem swoim w lisa się zmienił i zającowi to na przełaj chce drogę zabiedz, to go na straszne jary napędzić. Już już niezawodnie lis schwyci swą ofiarę—bo oto nieszczęśliwy zając nad głębokim wąwozem stanął, którego przesadzić nie zdoła, a jeśli się z rozpaczy weń rzuci, to na dnie przepaści niechybną śmierć znajdzie.

Ciężko jest uciekać, ale i ścigać nie łatwo! Oto już w ostatniej chwili zając rośnie, potężnieje i z malca robi się duże stworzenie, piękny, wysmukły jeleń. Jakież wspaniałe rogi, jakie muskularne, pełne siły nogi, jakie bystre i pewne oko! Nie waha się, w króciuchną chwilę już zmierzył przestrzeń wąwozu, już się odsadził i szust! jednym dzielnym skokiem stanął po drugiej stronie; w środku jar, przepaść, a na przeciwnym brzegu lis, zawiedziony nieprzyjaciel. Więc znowu przemiana—lis także rośnie: łeb urósł, w paszczy błysnęły kły

Nadeszła noc; czarne chmury toczyły się po niebie...

potężne, kark mu zgrubiał i kita stała się kądzielą. To nie lis—wilk wściekle zawył nad przepaścią i groźbą w zębce zadzwonił. Śpiesz się, jeleniu, uchodź, bo chociażeś rączy i silny, ale brak ci wytrwania i chytrości!—Wilk obszedł wąwóz, nos puścił tropem; wprawdzie nie widzi jelenia, jednak go węszy. Już się dzień cały wodzą po kniei, już jeleń o dąb rozbił swe rogi, już trzykroć legł do spoczynku, myśląc, że wilka gdzieś tam daleko zostawił. Na nic!... Trzeba wstać i uciekać. Mrok nadszedł, noc zapada, bór taki straszny, ciemny—a tu raz z prawej, to znów z lewej strony, to wprost, to z tyłu zachodzą drogę dwie straszne latarnie, ogniste ślepie wilka. I jak tu wytrwać do rana? Jeszcze parę napaści, a sił do ucieczki nie starczy, bo nogi coraz bardziej omdlewają. Lepiej porzucić tę ciemną knieję, z boru się wyrwać w szczere pole, gdzie już żadnej zasadzki być nie może, gdyż świat na wszystkie strony otwarty. Z leśnych gąszczów wypada jeleń, mknie przez równiny; żadna przeszkoda go nie powstrzyma—każdą pokona. Odbiegł, daleko za sobą wilka zostawił, wypoczął i znowu pędzi, bo nieprzyjaciel już go dociera.

Przypada nad brzeg morza; jeleń w rozpędzie wstrzymać się nie zdoła, a wilka ma już na karku. Kiedy go trwoga straszliwa zdjęła, z brzegu w odmęty fal skoczył i w tym niezmierzonym oceanie w małą rybkę się przemienił. Ale i wilk jednej chwili nie stracił, natychmiast zmienił się w rekina, rybę, stanowiącą postrach wszystkich żywych istot oceanu. I znowu gonitwa nigdy nieskończona. Ścigana rybka nie znajdzie wypoczynku ani na powierzchni, ani na dnie morza; zawsze i wszędzie nieprzyjaciel na nią czatuje, i dniem i nocą, i w pogodę i w burzę.

Przez straszne zaklęcie czarnoksiężnika Zadziora Jaskier i Kos, skazani na tę gonitwę, nieustannie zmieniali postać, przebywając już na ziemi, już w wodach, już w powietrzu.

Lecz wróćmy na zamek króla Lela, zobaczmy, co porabia prześliczna królewna Tęcza. Oh! ona swego narzeczonego rycerza tak pokochała, że pewnie bez niego nie wyżyje biedna! Nosiła w sercu żałość i tęsknotę, które wypijały krasę jej lic cudownie pięknych i w łzach gorzkich spływały z oczu. Ta blada i posępna dziewica, jedyna córa potężnego króla Lela, jakże niepodobna dzisiaj do owej swobodnej niegdyś, zawsze uśmiechniętej, uroczej królewny Tęczy! Bywało nieraz, długo po północy nie może wypłakanych oczu do snu zmrużyć, ani zbolałego serca uspokoić, więc do komnaty swej przyzywa starą mamkę Sysochę, każe jej na krawędzi łoża usiąść

i opowiadać sobie stare dzieje o tem, jak się różne królewne, księżniczki, kochały niegdyś w rycerzach. A jeśli mamka przypadkiem powie, że się wszystko szczęśliwie skończyło, że jakaś królewna wyszła za ukochanego rycerza i już w szczęściu życie swe pędziła, zrywała się wtedy Tęcza, jej oczy miotały gniewne spojrzenie i tak mówiła do mamki:

— Niewiasto, już szron starości siwizną przyprószył ci włosy, a ty kłamliwe słowa masz na ustach! Mówisz mi oto o szczęściu, a szczęścia niema na świecie!

Była nieszczęśliwą ta królewna i w szczęście nie chciała wierzyć.

Jeżeli zaś zasnęła, to nieraz znowu w marzeniach sennych wykrzykiwała imię Jaskra, lub się żaliła na swe losy; znać było ze wszystkiego, że serce jej głęboka boleść przejmuje.

Król Lel zniedołężniał, bardzo podupadł na ciele i na duchu. Tymczasem Cierniak, udając wielkiego przyjaciela króla, wkradł się w jego łaski i doszedł do ogromnego znaczenia. Na królewskim zamku i w całem państwie on jeden miał taki wpływ, że wszystkimi trząsł, rządził. Że zaś ulegał woli czarnoksiężnika Zadziora, działał więc po jego myśli, a według zamiarów Czarnego geniusza, który prawdę i cnotę pragnie wytępić na ziemi.

Źle się teraz działo w owem królestwie, gdyż cnotliwi i sprawiedliwi cierpieli, a niesprawiedliwych i występnych czczono, obsypywano zaszczytami: bezprawie stawało się prawem.

Doszedłszy nareszcie podstępem do szczytu potęgi, Cierniak wyczekiwał tylko odpowiedniej chwili, aby się oświadczyć o rękę Tęczy, a z jej ręką posiąść i całe królestwo.

— Ponieważ Lel musi mię we wszystkiem słuchać — myślał, — ponieważ jego skarby i wojsko mam w ręku, nie potrzebuję przeto zważać na wolę królewny i w razie oporu przemocą ją zmuszę, ażeby została moją małżonką.

Jakoż, naradziwszy się z Zadziorem, jednego dnia zuchwale do króla wystąpił z żądaniem ręki Tęczy. Lel uległ, zgodził się natychmiast, ale królewna z wielkiem oburzeniem przyjęła te oświadczyny i odpowiedziała, że nikt na świecie nie może mieć prawa do jej ręki, tylko jeden rycerz, Jaskier.

Podmówieni więc przez Cierniaka, różni ludzie, używający znaczenia na dworze, przekonywali wymownie królewnę, jako Jaskier na pewno już zginął i nie wróci, ale że Cierniak o wiele od niego jest godniejszy, aby zostać jej mężem. Gdy rad tych nie chciała słuchać,

wtedy zjawili się inni znowu, którzy jej poważnie przedstawiali, jak niebezpiecznie jest odrzucać oświadczyny księcia Cierniaka.

— On tu jest dzisiaj wszechwładnym panem — mówili. — Jeżeli tylko zechce, może się jutro królem ogłosić, a starego Lela i ciebie skazać na wygnanie, albo nawet życia pozbawić.

Takie rady jeszcze gorzej usposobiły Tęczę, która miała w sobie bohaterskiego ducha i gardziła groźbami, pochodzącemi z nieszlachetnych pobudek.

— Piękni z was przyjaciele! — rzekła z gorzkim uśmiechem na ustach. — Dajecie mi oto radę, abym złamała wiarę i była niewierną temu, kogo me serce wybrało. Z drugiej zaś strony namawiacie mię do ślubowania człowiekowi, który gotów się dopuścić niegodnych czynów względem mnie i mojego starego ojca... O, nie, Tęcza raczej nieszczęścia wszelkie, raczej śmierć samą przełoży!...

Wtedy Cierniak już osobiście powtórzył królewnie swą prośbę i groźbę.

Cierpko i dumnie przyjęła go Tęcza, a tak srogo upokorzyła, iż nizki ten człowiek poprzysiągł jej zemstę.

Wybiła godzina nieszczęścia. Raz podczas nocy zrobił się wielki zamęt w zamku. Tłum nikczemnych stronników Cierniaka, z orężem w ręku i z hersztem swoim na czele, napadł w łożu bezbronnego Lela i skrępowanego starca wtrącono do więzienia. Taki sam los spotkał także królewnę Tęczę.

Cierniak, który się właśnie ogłosił królem, i wszystkim, co opuścili Lela, zapewnił wielkie swe monarsze łaski, oświadczył jeńcom, że jeśli królewna nie postanowi w ciągu miesiąca oddać mu swej ręki, w takim razie Lel w oczach jej poniesie śmierć na stosie, jako ofiara uporu córki.

Zamknięto starca i dziewczę razem w zamkowej wieży, albowiem nikczemny przywłaszczyciel żywił nadzieję, że Lel będzie usiłował nakłonić swą córkę do małżeństwa, które ona uparcie odrzucała.

Jak biała, czysta lilia, jaśniała dziewica w tem ponurem więzieniu. Chociaż na tronie urodzona, chociaż sama ciężkiem brzemieniem smutku obarczona, miała jednak dziwny spokój w oku, pogodę na czole. Ona cierpieniami własnemi nie chciała udręczać nieszczęśliwego ojca: krzepiła jego upadłego ducha, była mu pocieszeniem. A nie łatwo było pocieszać Lela. Strapiony losem swoim starzec miewał chwile, w których ciężko wyrzekał i nieraz gorzkie wyrzuty czynił córce, iż, niepamiętna na jego sędziwość, stawiała opór Cierniakowi.

— Ty i na śmierć moją będziesz patrzała ze suchem okiem, obojętnie!—wołał, nie pojmując, co się działo w sercu dziewicy.

To też Tęcza, nie mogąc częstokroć uspokoić rozdrażnionego starca, stawała przed zakratowanem oknem więzienia i potajemnie puszczała wodze swym żalom. Skarżyła się ona wtedy tak cicho, że jęk jej lżej wychodził z duszy, niż kiedy wietrzyk szemrze w dzień pogodny między listkami drzewa.

Przy owem więziennem oknie gniazdko sobie uwiła była jaskółka i zawsze miłym szczebiotem dzień witała, lub z maleńkiemi swemi pisklęty prowadziła rozmowy. Ta ptaszyna zdawała się spostrzegać czy odczuwać smutek królewny, bo ile razy przyleciała do gniazdka, zawsze zaglądała w okno posępnego więzienia. Jednego razu Tęcza wysunęła przez kraty rękę, wyjęła szybkę z okna i przyglądała się owemu gniazdku: jakąś ulgę, pociechę ten widok jej sprawiał. Ptaszęta wcale jej się nie obawiały, lecz do jej białej ręki wyciągały otwarte dziobki, witały ją tak samo jak matkę, gdy przylatywała, aby je nakarmić.

Dziesięć dni, niby dziesięć długich wieków, upłynęło już od czasu, jak ich uwięziono, a każdego dnia wczesnym rankiem zjawiał się poseł Cierniaka, zapytując w imieniu swego pana, czy królewna nie zmieniła swego postanowienia. Jednem swojem słowem mogła odzyskać wolność dla siebie i dla ojca; ale nie mogła się zdobyć na to słowo. Poseł odchodził, nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi; wtedy Lel wybuchał złorzeczeniami, a codziennie srożej jej złorzeczył, groził ojcowskiem przekleństwem. Nic dziwnego, iż pod takim wpływem dziewica giąć się poczęła i upadała na duchu. Gdyby o to chodziło Cierniakowi, aby wziąć życie za życie, gdyby śmiercią swoją mogła okupić życie i wolność ojca, nie wahałaby się ani na chwilę.

Nasłani przez Cierniaka, przybyli też do więzienia różni ludzie, niegdyś dworzanie Lela, którzy, rzekomo współczuciem powodowani, usiłowali namówić i skłonić królewnę, aby zrobiła ustępstwo, okazała życzliwość teraźniejszemu ich panu. Wyrażali oni nawet swoje zdziwienie, dlaczego Tęcza tak długo się ociąga, mogąc łatwym sposobem niezwłocznie ocalić ojca i własny los niewolnicy zmienić—oddać rękę jednemu z najpotężniejszych królów. Do czegóż ją, nieszczęśliwą, doprowadzi upór?—Zgnębiona królewna nie śmiała teraz nawet z właściwą sobie godnością i dumą odpowiedzieć tym służalcom tak, jak na to zasługiwali: miała ona przecież na względzie okoliczność, że życie Lela znajduje się w groźnem niebezpieczeństwie. Słuchała mów

takich, milcząc, a ludziom, którzy z radami do niej przybyli, wydało się, że przełamali opór Tęczy, i radosną wieść tę co żywo ponieśli Cierniakowi, każdy zaś z nich sobie przypisywał zasługę pokonania zaciętego uporu dziewicy.

Załamawszy ręce, stanęła królewna przed więziennem oknem, a oczy jej teraz strumieniem łez się zalały.

— Niema już widać innego ratunku! — wyszeptała — muszę się poświęcić, oddać swą rękę nikczemnikowi, ocalić ojca, a potem, potem...

Niestety, błysnęła jej w głowie myśl straszna, myśl samobójcza! Westchnęła—jakże ciężko żyć na świecie bez przyjaciół, obrońców!...

A wtem jaskółka, matka piskląt w gniazdku, zaczyna dziwnie jakoś szczebiotać—nie szczebiotać. Wsłuchuje się dziewica w ów głos ptaka i wyraźnie słyszy ludzkie słowa:

— O, niech śliczna królewna Tęcza nie rozpacza, bo rozpacz jej szlachetnemu sercu nie przystoi! Niechaj na duchu nie upada i wypogodzi swe zachmurzone czoło, gdyż są na świecie istoty, które jej nie opuściły!...

— Jaskółeczko, czy to ty do mnie przemawiasz? — zapytała dziewica cichym i drżącym głosem, przysuwając się bliżej okna.

— Królewną Tęczą opiekuje się dobra wieszczka Świecioszka, a kogo ona w swoją obronę weźmie, temu niezawodnie włos z głowy nie spadnie.

— Czyż nie wiesz, drogi ptaszku, jak straszną jest dola więźniów bezbronnych, którzy jęczą w przemocy, wiedząc, że ich niechybna zguba oczekuje? Któż na świecie byłby w stanie zerwać srogie pęta, krępujące mnie i mego biednego ojca?

— Dobra wieszczka Świecioszka spełnia na świecie wolę Dobrego geniusza, którego sile i władzy nic się oprzeć nie zdoła! Niech królewna Tęcza będzie dobrej myśli i nie ulega żadnym namowom złych ludzi, bo rycerz Jaskier żyje!...

Teraz królewna przyłożyła głowę do okna, pragnęła najmniejszy dźwięk szczebiotu ptaka całą swą duszą chwytać, a jaskółka tak dalej mówi:

— Rycerz Jaskier żyje, a choć przechodzi jeszcze bardzo ciężkie koleje, przybędzie tutaj z pewnością i wtedy właśnie, gdy jego obecność będzie niezbędna. Niech królewna Tęcza ufa i czeka!

— Wieszcza jaskółeczko, twa dobra przepowiednia szczęściem i nadzieją przepełniła moje serce...

— Dosyć już rozmowy naszej, przestańmy!—świegotała jaskółka cichym głosem. — Mury tego zamku mają uszy, a między twymi nieprzyjaciółmi są także niewidzialni.

Jaskółka miała na myśli czarnoksiężnika Zadziora, który co noc, jak cień, zwykł krążyć po murach zamku; ale Tęcza o tem nie wiedziała i przeto nie rozumiała przestrogi jaskółki—chciałaby z nią jeszcze długo rozmawiać...

Świętą prawdę mówiła jaskółka. Czarnoksiężnik Zadzior przechodził właśnie w ową dobę koło wieży, miał on zaś słuch tak bystry, że i najlżejszy szmer nie uszedł jego baczności. Więc kiedy w uszy mu wpadł szept mowy ludzkiej, idącej od okna wieży, natychmiast w duszy powstało podejrzenie, iż dobra wieszczka Świecioszka może się porozumiewać z więźniami, aby ich wyzwolić z mocy Cierniaka. Trzebaż tu jeszcze dodawać, że Zadzior i Świecioszka śmiertelną walkę prowadzili ze sobą?

Więc chociaż szept natychmiast przycichł, nie ucichła jednakże raz zbudzona nieufność czarnoksiężnika. Nie tracąc czasu, natychmiast pośpieszył on do komnat Cierniaka, gdzie w każdej porze wstęp miał wolny.

— Dopókiż, jak małe dziecko, będziesz się zabawiał Lelem i jego córką?—zapytał Zadzior Cierniaka.—Czas już wielki, ażebyś kres położył tej niedorzecznej rozrywce!

— Mistrzu—odrzecze zagadnięty ten król nowy,—dziś rano oto dworzanie przynieśli mi wiadomość, że Tęcza okazuje już powolność, a chociaż nie wyrzekła jeszcze ostatniego słowa, mam jednak nadzieję jutro, pojutrze zyskać jej zezwolenie. Dopięliśmy przeto swego!...

— Nie masz ty, widzę, rycerskiego ducha w sobie i na niewiastę raczej wyglądasz — odrzekł poważnie czarnoksiężnik. — Kto doszedł, jak ty, do władzy mocarza, ten nie powinien robić żadnych ustępstw swoim głównym wrogom. Wiedz, że swojem postępowaniem możesz unicestwić całe moje dzieło, z trudem dla ciebie przygotowane!

— Cóż przeto mam czynić, mistrzu?

— Wydaj natychmiast polecenie, ażeby na jutro stos przygotowano, a katom rozkaż być w pogotowiu! Potem starego i jego córkę każ przywieść przed swój trybunał: jeżeli panna będzie upartą, niech ojca jej wrzucą w płomienie!... Nie bój się, znajdziemy na nią takie lekarstwo, iż sama będzie prosiła, abyś ją poślubił!

Zadzior wypowiedział te słowa tonem rozkazu, któremu Cierniak nie śmiał się oprzeć.

Noc przeszła i zaledwie dzień błysnął, a już więziona dziewica stała przy oknie wieży. Przyleciała jaskółka, przyniosła w dziobku małą słomkę, którą przez wyjętą szybkę podała królewnie, mówiąc w te słowa:

— Wszystko się dzisiaj skończy... nadeszła chwila stanowcza; ale niech królewna Tęcza będzie mężną!... Na zamkowym dziedzińcu stos już wzniesiony, za parę godzin katowie poprowadzą nań króla Lela; ale niech się królewna Tęcza nie przerazi, niech nie ustąpi, gdyż nie król Lel na tym stosie spłonie!

I powiedziała jeszcze, że dobra wieszczka Świecioszka przysyła królewnie tę słomkę, którą należy tylko rzucić na Cierniaka, aby się wszystko zmieniło.

Za parę godzin wyprowadzono więźniów na dziedziniec zamkowy, gdzie miano Lela spalić na stosie. Zbliża się Cierniak do królewny, chce coś mówić, a ta nań rzuciła słomkę i on natychmiast stał się myszą. W tejże chwili wpadł na dziedziniec zamkowy biały gołąb i rzucił się Tęczy pod nogi, gdyż za nim tuż tuż gnał straszny jastrząb, który, nie widząc gołębia, tylko mysz, natychmiast zmienił się w kota i począł mysz zawzięcie ścigać. Prześladowana wpadła między drzewo ułożonego stosu, który kaci natychmiast podpalili, widząc, że i kot się za nią wcisnął. Oto już Lela witają wszyscy jako króla, hołd mu oddają, a biały gołąb zmienia się w rycerza Jaskra i królewnie Tęczy podaje rękę.

Zaraz nazajutrz odbyło się prawdziwie królewskie wesele Jaskra z Tęczą i odtąd wszyscy już byli szczęśliwi; wspominali tylko niekiedy o tem, co przeszli.

...a za nim niby szmat czarnej chmury...

JASIEK ĆWIECZEK.

Był raz na świecie jeden król Ćwiek, chłop jak dąb, wąsaty, brodaty, a bardzo bogaty pan. Huczały wtenczas po borach myśliwskie rogi, trąby, bo król całymi dniami polował, bił wilki, dziki, niedźwiedzie, żubry, jelenie.

Ale Ćwiek nie miał dzieci, ogromnie się tem trapił i nieraz mówił:

— Komu ja też zostawię swoje królestwo i skarby?

Raz zabłądził on na polowaniu w ciemnym i gęstym boru. Za jeleniem tak do upadłego gonili i zabrnęli w straszne wertepy, jary. Konie stały całe w pianie i para się z nich kurzyła, a ludzie aż sapali ze zmęczenia.

— Dosyć tego! — powiada Ćwiek. — Bierz licho jelenia, trzeba spocząć!

I siadł na kłodzie drzewa, co je tam wichry widać zwaliły, i odpoczywał. Po chwilce czasu odzywa się do tych, którzy na polowaniu z nim byli:

— Rozejdźcie-no się na różne strony, poszukajcie wsi jakiej! Chciałbym zjeść ciepłej warzy i noclegu pod dachem łaknę.

Ci zaraz na konie, szukają wsi to tu, to tam, aż nareszcie któryś przypada i mówi:

— Królu, jest wieś pod borem. Wólka taka: chałup pięć, sześć wszystkiego, ale na nocleg przecie więcej nie trzeba.

Dobrze. Dźwignął się Ćwiek z kłody.

— Ołów mam w nogach—powiada.

Wsiadł na konia i pojechali do wsi pod borem. Pukają do jednej chałupy—nikt im nie otwiera. Walą pięściami, dobijają się tak dobrą chwilę; dopiero dziecko jakieś podchodzi do okienka i rzecze:

— Po próżnicy się dobijacie, bo w chałupie niema ani tatusia, ani matusi: w drugiej chałupie oto chłopak się urodził i rodzice poszli na chrzciny, a mnie tu mocno zamknęli, jako w boru pełno zbójów, wilków...

— Chłopom się dzieci rodzą—powiada król,—a mnie nic! Szukać tej chałupy, gdzie się chłopak urodził!

Znaleźli. Święta prawda—chłopak się urodził. Król patrzy, dziecko jak klusek. Ale tam chrzcin jeszcze nie było; dopiero się ludzie zbierali iść z dzieckiem do kościoła.

Ćwiek już zapomniał, że ma ołów w nogach, że głodny, jeno ciągle się temu chłopakowi przypatruje, a potem do ojca przemawia:

— Gospodarzu, weźcie mię za swego kumotra, to ten mały wielki los zrobi.

Chłop ani pomyślał, żeby sam król był w jego chałupie.

— Zwyczajnie szlachta jakaś—powiada sobie;—przecie nie uchodzi, żebym dla nich odprawiał tamtych rodziców chrzestnych, com ich już przedtem zaprosił.

Tak się raz po raz w głowę skrobał. Co tu robić? A no, wyszedł z innymi chłopami do sieni, radzą.

— Kiej dziecku szczęście samo lezie w rękę, nie puszczać! — powiadają.—To państwo jakieś okrutne! Mogą małemu przy chrzcie sypnąć pieniędzy i już w pieluszkach gospodarzem całą gębą zostanie.

Teraz dopiero ojciec przed królem staje i wręcz powiada:

— Niechże tam pan do chrztu trzymają mego jedynaka, skoro z tego ma być los dziecka! Jeno koniecznie musi mu być na imię Jasiek, jako w rodzie moim wszyscy z dawien dawna Jaśkowie.

— Będzie mu na pierwsze imię Jasiek, ale na drugie Ćwieczek—król odrzekł.

Znowu się chłopi zastanawiali i wzdragali, jako nie słyszeli nigdy, żeby komu było na imię Ćwieczek.

— Choć to pokraczne imię—powiada ojciec małego—i na przezwisko jacy patrzy, ale to przecie nikt drugiem imieniem nie będzie nań wołał.

Zgodzili się na Jaśka i na Ćwieczka.

— A tu jest kto znakomity w tych stronach?—pyta król.—Chciałbym, żeby mój Ćwieczek miał i chrzestną matkę godną, żeby ze wszystkich stron płynęło szczęście do niego.

Chłopi myślą i skrobią się po głowach, i dopiero jeden rzecze:

— Za tym lasem jest góra, za górą rzeka, a za rzeką znowu góra. Na tej górze za rzeką stoi zamek i w tym zamku mieszka księżna jedna, pani ogromna, ale gdzie zaś podobieństwo, żeby mocarka taka prostemu chłopu dziecko do chrztu trzymała! Duma i pycha w niej wielka, a my nie tacy zuchwali prosić w kumy herną panią.

— Niech sobie będzie herna — odpowie Ćwiek i wąsy palcami pogładził,—a Ćwieczka do chrztu trzymać ze mną musi!

Tyle powiedział, potem się do swych ludzi obrócił i rzeknie:

— Idźcie na tamten zamek, pokażcie księżnie mój pierścień, a grzecznie ją tu w kumy poproście!

A no, odwlokły się te chrzciny, jako do zamku był spory kęs drogi.

Oj, dziwili się też chłopi, kiedy zobaczyli, że herna księżna z zamku do nich zjechała! Było co widzieć: powóz świecący, sześć koni w powozie, ze sług tej pani kapało złoto, a od niej samej aż łuna biła.

Zabrali się i wio do kościoła! Śmiało powiedzieć można, że nigdy jeszcze chłopskie dziecko chrzcin takich nie miało. Jak przyszło rzucać na tacę, dawać dziadom jałmużnę, to tak sypali, że pieniądze jeno furczały.

Koniec końcem, ochrzcili Jaśka Ćwieczka i do chałupy wrócili na ucztę.

Chłop już nie wiedział, jak ma przyjmować takich gości. Nawarzyli kaszy jaglanej na mleku, rosołu z kurzego mięsa, do tego kartofli, upiekli całą krowę, nasmażyli jajecznicy na słoninie. Ćwiek nic nie pytał, jeno jadł, wąsy sobie ocierał, a popijał gorzałkę z miodem. Księżnę bo to wszystko kłuło widać w zęby: prawie nic nie tknęła, choć ją gospodarz ciągle częstował,—jeno zato rozdawała dary każdemu, kto się zbliżył.

Nareszcie Ćwiek się odzywa w te słowa:

— Co ja tu z wami będę rozprawiał! Powiem krótko: jestem król Ćwiek, dzieci nie mam i tego małego Ćwieczka chcę uważać za swego syna!

Rozgardyasz między chłopami był teraz jeszcze większy, bo juści nikt nie wiedział, jak to uczcić taką królewską osobę. Pogłupieli całkiem, potracili rozum.

Dopiero król wywalił ojcu Jaśka Ćwieczka ogromne pieniądze, dał mu do własnych rąk i powiedział:

— Masz na początek! Zrobiłbym cię szlachcicem, ale nie chcę chłopom zabierać rzetelnego człowieka. Ta księżna z zamku zajmie się małym, każe go uczyć wszystkiego, co trzeba, a jak chłopak dojdzie do lat ośmnastu, dasz mu wtedy do ręki ten mój pierścień i przyślesz go do mnie; ja tam już o reszcie pomyślę.

Wszyscy byli ogromnie ciekawi, co będzie dalej.

Juści Jasiek Ćwieczek nie chował się tak, jak inne chłopskie dzieci: nie pasał gęsi, ani bydła, tylko przesiadywał na zamku u tamtej księżny i miał tam rozmaitych profesorów, co go wyuczyli każdziutkiej rzeczy. Wszystkie języki znał lepiej, niż drugi szlachcic.

Skoro mu się już miało na ośmnasty rok, powiada raz do niego ojciec:

— Masz tu ten pierścień, zabieraj się, ruszaj do króla, do swojego ojca chrzestnego! Los cię tam czeka wielki, ale i tak o rodzonym ojcu, o rodzonej matce nie zapominaj przecie.

Tak Jasiek Ćwieczek wziął na siebie najlepsze obleczenie, pożegnał rodziców i poszedł w świat z tym sygnetem.

Idzie on borem okrutnym, co pięć dni i pięć nocy było mało, żeby go przebyć.

Spotykają go po drodze przeróżne zwierzęta, czasem poczwary takie, że chłopaka ze strachu aż ciarki przechodziły, jak toto zaczęło wyć, ryczeć na różne głosy po boru. On nic: odpoczął, przekąsił chleba z serem, idzie dalej. Ale sobie w duszy nieraz pomyślał:

— Nie lepiej mi to było zostać w chałupie na gruncie? Nim do tego króla dojdę, Bóg wie co może wypaść... Ha, w imię Ojca i Syna i Ducha świętego!

Przeszedł już był lepiej niż połowę onego lasu, a tu z gąszczu idzie prosto na niego ogromny chłop z pałą, drab taki, co mu w oczy spojrzeć straszno.

Jasiek Ćwieczek zaraz sobie pomyślał:

— Nic innego, tylko zbój, albo czarnoksiężnik, bo na zwyczajnego człowieka nie patrzy.

— Kaj-że ty sobie tak spacerujesz, cherlaczku?—pyta on wielgus.

— A do króla idę—odrzekł chłopiec.

— Do jakiego to króla? Gadaj mi wyraźnie, bo udrę pałą w łeb będzie po wszystkiem!

Tak Jasiek Ćwieczek od razu pokazuje sygnet, pokornie się sumituje, opowiada, że tak i tak: zeznał wszystko po prawdzie.

Drab wziął naprzód pierścień w rękę, obejrzał go, a potem schował go do kieszeni i rzecze:

— Prawda, widzę, że królewski pierścień; podoba mi się! Jak się ty nazywasz?

— Jasiek Ćwieczek mi dali imię na chrzcie świętym.

— Klęknij tu na drodze i przysięgnij, że swego imienia nigdy nikomu nie wspomnisz!... Możesz się nazywać: Kuba, Bartek, Maciek, jak chcesz, ale broń broń cię Boże: Jasiek Ćwieczek.

Chłopak uklęknął i przysiągł.

— A teraz jeszcze przysięgnij, że mię we wszystkiem będziesz słuchał lepiej, aniżeli rodzonego ojca!

Jasiek Ćwieczek znowu złożył przysięgę. Cóż miał zrobić, kiedy mu ten drągal groził pałą?

— Wiesz ty, co ja ci powiem, mój chłopysiu?

— Skądżebym wiedział, co macie na myśli?

— Oto, że ja też pójdę z tobą do króla.

— Ha, dobrze, we dwóch będzie mi raźniej w boru...

Idą, a ten się precz wypytuje jeszcze chłopaka—jak, co. Dopiero, kiedy już wyssał z niego wszyściutko, tak się odzywa:

— Klęknij tu co żywo i z ręką na sercu przysięgnij po raz trzeci, że powiesz królowi, jakom ja jego chrzestnik, a ty mój sługa!

Zastanowił się odrobinę Jasiek Ćwieczek, jako widział, że tamten ciągle mu jeno łgać przykazuje, a teraz głównie. Drab zaraz na niego z góry:

— Jużeś poprzysiągł, że we wszystkiem będziesz mię słuchał, to słuchaj! A jak nie posłuchasz, to ja tu zaraz duszę z ciebie wytrząchnę i sam sobie z sygnetem pójdę do króla: obejdę się bez takiego durnia!

Nie było się co namyślać i na wszystkie świętości poprzysiągł, że przed królem zełże.

Jak już drab związał Jaśka Ćwieczka trzema przysięgami, tak potem szli przez bór raźno.

Coś dziesiątego dnia stanęli na zamku królewskim i zaraz ich warty poprowadziły przed króla, jak tylko pokazali ów pierścień. Tam dopiero drab jeden mówił, a Jasiek Ćwieczek z daleka stał i słówka nawet nie pisnął.

Ćwiek, wysłuchawszy tego, co się za królewskiego chrzestnika podawał, z serca go ucałował i tak mówił:

— W samej rzeczy, Jasiek Ćwieczek jest moim chrzestnym synem! Tylko, widzisz, mój kochany, wyrosłeś ogromnie, chłop jak niedźwiedź, więc się nie możesz nazywać Ćwieczkiem, jako Ćwieczek znaczy tyle, co maluśki Ćwiek. Piękny mi z ciebie Ćwieczek!... Ludzieby się wyśmiewali, patrząc na cię; mówiliby wszyscy: o, patrzcie, patrzcie, Ćwieczek nibyto, a większy niż dwa Ćwieki!

— To jakże mi się każesz nazywać, królu mój i panie?

Król pomyślał chwilę, a potem zawołał ze śmiechem:

— Jak się zwał, tak się zwał, byleby się dobrze miał! Od dziś będziesz się nazywał Gwóźdź, a drugie imię Jasiek zmienisz na Jach.

I już się został przy królu Jach Gwóźdź, a Jaśkowi Ćwieczkowi kazali siedzieć w królewskiej kuchni. Robił tam, co wypadło: drwa rąbał, zamiatał kuchnię, ogień rozpalał, obracał rożny z pieczenią i różne takie rzeczy spełniał.

Jach Gwóźdź chodził sobie zaś z królem na spacery, chodził po polowaniach, po wizytach; balowali obaj wespół, aż miło.

Ale ten Gwóźdź jedną rzeczą miał ciągle głowę nabitą:

— Kiedybądź—myślał sobie—może się moja szacherka wydać. Przecie ja temu chłopakowi nie powinienem dowierzać, choć i poprzysiągł; zdradzi mię przed ludźmi, wypapla wszystko, a wtenczas bądź zdrów, holenderski śledziu!... skończą się moje łaski u króla!... A po cóż ja mam żyć ciągle w takim strachu? Czy to nie można raz na zawsze pozbyć się Jaśka Ćwieczka?

A no, było tam jedno źródło w górach. Wszyscy wiedzieli, że kto do tego zdroju pójdzie po wodę, to wody nigdy nie przyniesie i na pewno zginie. Woła więc raz Gwóźdź do siebie Ćwieczka i tak mu rozkazuje:

— Weź dzban, idź do tamtego źródła w górach, przynieś wody, bo mi się stamtąd koniecznie pić zachciało!

Posłał chłopaka, a dla większej pewności dodał mu strażników i zapowiedział im:

— Pod karą śmierci macie baczyć, żeby ten chłopak nie przyniósł wody skądinąd!

Wiedzieli wszyscy, o co chodzi. Ćwieczek też wiedział; ale poprzysiągł był posłuszeństwo, za nic nie złamałby wiary, tak poszedł z onymi strażnikami. W drodze go żałość zdjęła i zaczął w głębi duszy lamentować:

— Miał być mój los wielki, a tu trza zginąć. Nie lepiej mnie było siedzieć na wsi przy panu ojcu i przy pani matce?

Kaj-że ty sobie tak spacerujesz, cherlaczku? — pyta on wielgus.

Coraz to łzę z oka otarł, a szedł dalej.

Nareszcie przyszli do tego zdroju, ale tylko Jasiek Ćwieczek podszedł z blizka, a strażnicy mieli lęk okrutny i tylko z za krzaków wypatrywali, czy on aby oszukaństwa jakiego nie zrobi.

Gdzie miał zrobić! Opuścił dzbanek i bierze wodę, a tu wychodzi do niego dziadek, staruszek bieluśki taki, jak gołąbek. Strażnicy zaraz myk, pouciekali ze strachu, a dziadek do Jaśka Ćwieczka rzecze:

— Nie odchodź jeszcze, posłuchaj, co ci powiem.

Chłopiec myślał, że go ten stary zgubi, i drżał ze strachu.

— Mnie się nie bój! — powiada dziadek. — Przy tym zdroju tacy nigdy nie zginą, co mają szczerą cnotę w sobie. Ja ci jeszcze na przyszłe czasy dam dobrą radę, bo wiem, że się Gwóźdź uwziął, żeby cię zgubić i niedługo wyśle cię znowu po księżniczkę jedną, co jest w mocy czarnoksiężnicy, okrutnie złej baby, czystej jędzy.

— O, mój Boże! kiedy się już tak zawzięli na mnie, to trza zginąć!

— Trza, albo i nie trza! Pamiętaj, że jak cię poślą po ową księżniczkę, to ci powinni dodać dziesięciu żołnierzy takich samych jak ty, jeden w drugiego. Będziecie jechali wierzchem, a tu się wywali ogromna kupa mrówek. Nic nie szkodzi, nie bój się, jeno tym mrówkom daj zaraz jeść. Potem pojedziecie dalej i znowu wypadnie na was taka gromada myszy, że aż zatrzęsienie ziemi. Nie dbaj na to, tylko miej im co dać jeść, to ci się przyda. Bo, widzisz, mrówka, czy mysz, czy inne Boskie stworzenie, ma wdzięczność dla takiego, co je głodne nakarmi.

Ćwieczek myślał, że już koniec—dziękuje staremu i chce odejść, a dziad go za ramię chwycił.

— Stój-że! — zawołał. — Jeszcze nie koniec; bo potem spotkasz wielką gromadę szczurów, a potem znowu pszczołę i ptaka: trzeba toto wszystko nakarmić. No, i księżniczkę musisz nareszcie sprowadzić!

— A skądże ja wezmę tej księżniczki?

— Nie bądź nagły, dowiesz się! Przyjedziesz z żołnierzami do jednej wody pod górą zamkową i tam czarnoksiężnica przyśle do was posła z takiem pytaniem: «który z was najstarszy?» Niby: który z was oficer? Tak ty odpowiedz: «wszyścyśmy tu równi.» Przybędzie poseł drugi raz, ty odpowiedz toż samo. Ale kiedy czarnoksiężnica przyśle posła po raz trzeci, powiedz wtenczas, żeś ty jest

najstarszy. Będziesz tam miał, mój kochany, jeszcze Bóg wie jakie tarapaty, tylko już sobie sam poradzisz. A teraz wracaj do domu!

Wrócił, a strażnicy czekali na niego pod samym zamkiem, jako nie wiedzieli, czy żyje, czy zginął. Gwóźdź widzi, że Ćwieczek cały wrócił, tak zapytuje strażników:

— Skądże on nabrał tej wody?

— Z tamtego zdroju w górach, co przy nim ginie każdy, kto przystąpi; ale on jakoś nie zginął.

— Hm, hm!—mruknął Gwóźdź.—Cóż się tam działo?

— Nie wiemy, bośmy za krzakami stali, żeby nie poginąć. Słychać tylko było, że z kimś rozmawiał, ale nie wiadomo, z kim i o czem.

Jakoś w parę dni potem Gwóźdź znowu przyzywa Jaśka Ćwieczka i rzeknie:

— Słuchaj-no, musisz mi tu na zamek sprowadzić jedną księżniczkę!

— Gdzież ona zaś mieszka?

— Miniesz dwie rzeki i siedm gór, dopiero zobaczysz jezioro, nad tem jeziorem setną górę, a na niej zamczysko stare: tam mieszka księżniczka ona.

— Dobrze, tylko muszę tam jechać po kawalersku: potrzebuję dziesięciu żołnierzy, chłop w chłopa takuteńkich, jak ja jestem.

— Mniejsza o żołnierzy!—rzecze Gwóźdź.—Zbieraj się w drogę, bo na jutro rano będzie wszystko gotowe!

Pojechali. Minują na koniach ci dziesięciu, a on jedenasty—parada okrutna, jako się mieniło na nich wszystko od słońca: szable, pistolety, ostrogi. Ledwie przejechali za drugą górę, a tu wali gromada mrówek, moc tego taka, żeby tych wojaków zjeść mogły. Ćwieczek miał już dla nich przygotowaną sporą sakwę miałkiego cukru; sypnął im dobrze. Musi te mrówczyny strasznie były głodne, bo się obces rzuciły i jadły. Kiedy wyżarły wszystko do okruszyny, wtenczas odzywa się jedna z mrówek.

— Dziękujemy ci, królewicu, żeś nas pożywił; my ci będziemy bardzo pożyteczne potem.

Zdziwił się Jasiek Ćwieczek, że go ta mróweczka królewicem nazywała, jeno sobie pomyślał:

— Co tam taki robaczek może wiedzieć?... Królewic, nie królewic... wszystko jej równo.

Jedzie dalej z tymi wojakami. Aż tu za trzecią górą wypada na nich okrutna kupa myszy, a piszczy toto tak, że uszy trzeba zatykać. Konie się wystraszyły, wspinają się w górę i żołnierze ledwie się na siodłach mogli utrzymać; oni też lęk mieli niemały. Ćwieczek wiedział już, o co chodzi, tak sobie nic z tego wszystkiego nie robił, tylko zaś daje onym myszom pożywienie: kaszkę drobniutką wiózł za nim jeden żołnierz w sakwie, a drugi połetek słoninki.

W dobry pacierz myszy zjadły wszystko, ocierają sobie łapkami pyszczki, ruszają wąsikami i ogonkami uciesznie merdają. Dopiero jedna wysuwa się z całej gromady, idzie prosto do Jaśka Ćwieczka i przemówiła:

— Dziękujemy, królewicu, za to, żeś nas głodne pożywił; my ci się potem przydamy.

— I mysz mię zaś królewicem zowie... Ha, może kóli wdzięczności za to jadło chciała mię nazwać mysim królikiem! Niech i tak będzie.

Czwartą górę przejechali bez żadnego zdarzenia; dopiero za piątą znowu patrzą, a tu niezliczona moc szczurów.

— Skończenie świata i życia naszego!—wołali w strachu żołnierze. — Toć takie psiarstwo pozjada i nas i konie, siodła nawet i uzdy.

— Ej, nie! — mówi Jasiek Ćwieczek. — Jacy wy wojacy, kiej się szczurów boicie?

Zaraz potem odebrał od kilku żołnierzy sakwy ze zbożem, chlebem, mięsem—i wszystko rozrzucił między szczury. Co też za szprynce wyrabiały te zwierzęta przy onem karmieniu! Żołnierze pękali ze śmiechu, patrząc na takie rzeczy, a Jasiek Ćwieczek rzeknie:

— Nie śmiejta się z cudzego głodu, bo to nie żadne żarty, jeno ostatnia nędza!

Znowu się z gromady wyrwał jeden szczur, nazywał Ćwieczka królewicem i ślicznie mu podziękował.

Dojeżdżają do siódmej góry, a tu naprzód ptaszek żałośnie piszczy i przez drogę im ciągle przelatuje. Chcieli go żołnierze zabić, ale Ćwieczek z góry na nich fuknął:

— Szanujcie cudze życie!

A sam dobył z sakwy garść maku i posypał ptaszkowi.

— Bóg ci zapłać tymczasem, królewicu!—mówi ptaszyna.—Ja ci się potem sam odwdzięczę.

— Czemby się zaś takie maleństwo odwdzięczyć mogło? — pomyślał Ćwieczek.

Ledwie co ruszyli stamtąd, aż znowu nadleciała pszczółka, oblatywała wkoło głowy Ćwieczka, a brzęczała ciągle.

— Siadaj na mojej ręce, dam ci cukru, kiedyś głodna!—on mówi.

Usiadła, pożywiła się, potem mu podziękowała tak samo, jak tamte wszystkie.

No, przejechali siódmą górę, przybyli nad brzeg jeziora, stanęli; czekają, co będzie. Pewnikiem ich z zamku spostrzegli, bo nadbiegł stamtąd poseł, cudaczny jakiś człowiek: chłop nie chłop, kobieta nie kobieta, gołowąs z piskliwym głosem.

— Któryż tu z was najstarszy?—pyta ówten poseł.

— Wszyscyśmy sobie równi!—odrzecze Ćwieczek.

Ten z odpowiedzią bieży zaraz na górę do zamku, a niedługo potem przyszedł inny i powtarza to samo pytanie.

— Wszyscyśmy sobie równi!—znowu mu odpowiedział Ćwieczek.

Dopiero trzeci poseł przybywa i powiada:

— Moja pani pyta, kto tu najstarszy, to znaczy: kto innymi dowodzi?

— No, ja najstarszy, ja dowodzę! — mówi Jasiek Ćwieczek. — Skoro tamci posłowie głupio mię pytali, to z mojej odpowiedzi pani wasza nie mogła tego wymiarkować, jaka jest moja godność.

Zaraz ich potem zaprosili na zamek i ta czarnoksiężnica z księczką ogromnie suto przyjmowały Jaśka Ćwieczka. Przez cały tydzień dzień w dzień był ogromny bankiet, że chyba tylko ptasiego mleka na nim brakowało.

A no, w tym czasie przemyśliwała czarnoksiężnica Czarnucha, co zrobić z Jaśkiem Ćwieczkiem.

— Trzeba mu będzie zadać próbę; zobaczymy, czy wytrzyma— powiada sobie.

Jednego dnia rzekła do niego:

— Tyś tu przyjechał do nas po księżniczkę Milutkę.

Stropił się Ćwieczek, bo nie myślał, że baba taka kuta i wszystkiego się domyśla; a ona znowu:

— Weźmiesz Milutkę, tylko, widzisz, darmo nic. Zawołaj tu jednego ze swych żołnierzy, a zaraz się przekonamy, czyś godzien tej pięknej księżniczki.

W samej rzeczy, księżniczka była prześliczna.

Przywołał on jednego żołnierza, idzie z nim do tej izby, gdzie go czekała Czarnucha, i pyta:

— Cóż mamy robić?

A ta zaraz łap za pałasz, ciach! i ucięła temu żołnierzowi głowę. Tak dopiero pokazuje trupa i mówi:

— Słuchaj, żeby mi ten trup na jutro ożył; bo jak nie, to śmierć twoja!

Został się Ćwieczek w owej izbie, siadł, założył ręce i myśli:

— Miałem ja na świecie wielki los zrobić, a tu cięgiem jeno coraz nowe tarapaty. O, teraz ja już pewnikiem zginę! Przecie niema żadnego podobieństwa wskrzesić umarłego człowieka. Nie lepiej mi to było siedzieć spokojnie u rodziców w chałupie?

Rozumie się, że nic nie wymyślił, a tu już północ nadeszła. Wtem, słyszy, coś się za oknem trzepoce i lekutko stuk, stuk w szybę. Podszedł—patrzy, co takiego, a to ten sam ptaszek, co go był na drodze spotkał i makiem nakarmił.

— Otwórz mi co żywo, królewicu!—powiada.

— Jaki ja tam królewic!... nędzarz jacy ostatni!

Ale wziął i otworzył okienko. Ptaszek zaraz wleciał, fertnął się, stanął przed nim, podnosi w górę skrzydełka, mówi:

— Mam pod skrzydłami sadełko ptasie, tłuszcz taki, maść; weź toto w palce i posmaruj kark zabitego.

On zrobił, jak ptak mówił. Nie upłynęło tyle czasu, co trzeba, żeby odmówić jedno Zdrowaś Marya, a żołnierz już ożył: wstał z ziemi, ziewa, przeciąga się i powiada:

— O, mocny Boże, takem też spał długo i twardo!

— Chudziaczku, spalbyś ty był na wieki, żebych cię ja nie był obudził! — odrzecze Jasiek Ćwieczek i odrobinę tej cudownej maści schował.

Rano, skoro świt, przychodzą tam do niego Czarnucha z Milutką—i ogromny podziw, że żołnierz żyw. Zaraz proszą z sobą Jaśka Ćwieczka na śniadanie, a żołnierza odprawiły do innych żołnierzy.

Będzie coś z tydzień używał teraz na zamku, bawił się doskonale, bo tam wesoło było: jadło, napitki różne, kapela ciągle rżnęła, a kto miał ochotę, mógł się i w tany puścić; bal taki był od rana do wieczora.

Dopiero po tygodniu czasu czarnoksiężnica bierze Ćwieczka za rękę i mówi:

— Pójdź, zobaczę, czyś ty godzien tej pięknej księżniczki.

On sobie zaraz pomyślał:

— Nic innego, tylko mi pewnie zada jaką nową próbę.

Nie omylił się, bo go Czarnucha zaprowadziła do ogromnych stodół, pokazała mu na wielkiem boisku okrutną moc zboża w snopach i tak zapowiedziała:

— Musisz to wszystko przez noc zmłócić; a pamiętaj sobie, żeby na osobnej kupie było wymłócone ziarno żyta i na osobnej ziarno pszenicy; snopków zaś nie wolno ci rozwiązywać. Jak nie, to śmierć twoja!

Juści nie na ludzkie siły tyle kóp zboża omłócić, choćby też chłop był nie wiem jaki mocarz. Srogo się strapił Ćwieczek.

— Teraz — powiada — niema już dla mnie nijakiego ratunku; zdala od swoich zginę, jak mucha.

I zapłakał sobie w onej stodole, a tu o północy ni stąd ni zowąd wpada tam gromada szczurów i myszy.

— Czego się frasujesz, królewicu? — mówią. — Nie trap się, nie trap! Robota pójdzie gładko i prędko, jako nas tu więcej, niż tych kłosków zboża.

Dopiero się cała ta ciżba rzuciła do młocki. Trzeszczało jeno zboże, a one precz czyściutko wyłuskały każde ziarno i ułożyły w osobne kupy żyto, a w osobne pszenicę.

Raniutko przychodzą do niego Czarnucha i księżniczka, ciekawe, co się stało. Zobaczyły, że robota doskonała, bez najmniejszej przygany, tak zaraz zabrały Jaśka Ćwieczka na zamek i znowu przez cały tydzień bankietował sobie z niemi rzetelnie.

Ale nie na tem koniec. Czarnoksiężnica się zawzięła i wymyśliła inną jeszcze sztukę. Cóż ona robi?—Zmieszała korzec maku z korcem piasku, zasypała tem całą izbę i powiada:

— Rozbierz mi to ziarnko po ziarnku, osobno mak, a osobno piasek! Jak przez noc tego nie zrobisz, śmierć twoja!

— Jużem się tyle razy od śmierci wymigał — powiada sobie Ćwieczek,—ale teraz chyba musi być mój koniec.

Westchnął ciężko, popatrzył tylko na kupę tej mieszanki i nawet się do roboty nie zabierał—bo po co?... Duszę jeno polecić Bogu i na śmierć czekać!

Tak sobie zaczął wspominać dawne lata, chałupę we wsi, ojca, matkę i, chcąc nie chcąc, gorzko zapłakał.

A tu o północy jak zaczną walić mrówki wszystkiemi szparami, to bez podobieństwa. Zebrała się tego moc taka, że ich tam było pewnie więcej, niż onego maku z piaskiem.

— Nie turbuj się zaś, królewicu—mówią mu,—bo my całą tę robotę do cna skończymy, nim się świtanie zrobi.

To rzekły, zaraz się zakrzątały, zrobiły, co należało, i poszły. Mak był osobno, piasek osobno.

Dzień zaświtał, a Czarnucha i księżniczka już są u Ćwieczka w stodole. Dopiero ta stara rzecze:

— Ani słowa, spisałeś się! Jeszcze ci tylko jedną próbę zadam i, jak ją wytrzymasz, księżniczka Milutka będzie twoja.

No, znowu on sobie przez tydzień używał swobody, bawił się, hulał, bo juści myślał, że jak go ta ostatnia sztuka ma zgubić, to dobrze jeszcze użyć życia.

Po tygodniu czasu czarnoksiężnica dobrała sobie dwadzieścia cztery panien, jedna w drugą podobnych do siebie, jak kropla wody do drugiej kropli. Zebrała je razem w jednej izbie i powiada do Jaśka Ćwieczka:

— Wybierz pomiędzy niemi księżniczkę Milutkę! Pamiętaj zaś, że, jakbyś nie wybrał od razu, to tu na miejscu zginiesz!

Chodzi on, jak zabity, pomiędzy temi pannami, upatruje: może ta, a może nie ta. Nie mógł Milutki poznać, bo wszystkie były jednakie.

Wtem mu pszczółka koło ucha zabrzęczała; zastanowił się i wyraźnie słyszy, że to stworzenie mówi do niego po cichutku:

— Nie smuć się, królewicu; wybieraj tę pannę, na której ja usiądę!—i zaraz poleciała między panny.

On też poszedł, rozgląda się uważnie, widzi, że akurat na jednej siedzi pszczoła, tak od razu oną pannę łap za rękę. Rozumie się, że utrafił: księżniczka Milutka to była.

Już tam teraz w tym zamku nie miał co robić. Zabrał Milutkę, jak swoją, posadził ją na koniu i pojechali.

Po drodze gadu gadu o tych wszystkich przypadkach, a księżniczka się odzywa:

— Wszystko, coś zrobił, jest bardzo dziwne; jeno to mi się w głowie nie może pomieścić, jak ty mogłeś wskrzesić zabitego żołnierza.

Tak Ćwieczek wyjął ową maść, co ją miał od ptaka, i pokazał Milutce.

— Cała moja sztuka — powiada — w tem ptasiem sadle. Weź, schowaj to na wszelki wypadek, może się przydać kiedy!

Potem wrócili do zamku króla Ćwieka i Ćwieczek zaraz oddaje księżniczkę Gwoździowi. Ona, jak tylko zobaczyła, że ją taki obrzydliwy drągal bierze, od razu sobie pomyślała:

— Jest w tem coś osobliwego! Ten piękny kawaler odebrał mię od Czarnuchy, nieraz dobrze naraził swoje życie, a oddaje mię oto drabowi, co jest podobniejszy do dyabła, niż do człowieka. Jużeśmy się nawet polubili, a on mię opuszcza...

Od tego czasu Milutka była smutna i na Gwoździa dawała pilne baczenie.

Ale Gwóźdź i tak się nie uspokoił, jeno ciągle jeszcze przemyśliwał nad tem, jakby się raz uwolnić od Ćwieczka. Dowiedział on się teraz znowu, że w jednem królestwie są takie złote ptaki, co ich nikt dostać nie może, jako to jest osobliwie trudne. Tak chytry Gwóźdź woła do siebie Jaśka Ćwieczka i w te słowa przemawia:

— Musisz mi się koniecznie wystarać o owe złote ptaki: chcę je mieć!

— Skoro trza, to trza... Ale ja przecie w daleką podróż nie pójdę na piechotę.

— Dadzą ci konia z królewskiej stajni, wsiadaj i jedź!

A no, dali mu kobyłę, nic osobliwego; wsiadł, pojechał szukać królestwa ze złotymi ptakami.

Wypadło mu raz nocować w lesie i właśnie na tym noclegu kobyła się ożrebiła.

— Dobre to na gospodarstwie, ale nie w drodze—myśli sobie.

Znowu kłopot—i już spać nie mógł, tylko się z boku na bok przewracał. A tu staje przed nim ogromne wilczysko, kudłacz ze ślepiami świecącymi jak latarnie—może ta nie żadne zwierzę nawet...

— Człowieku — powiada, — daj mi zaraz co jeść, bom strasznie głodny!

— A cóż ja ci dam, kiedy sam mało co mam przy sobie?

— Tu niema żartów! — woła wilk. — Jak mi nic nie dasz, zjem twoją kobyłę.

Jasiek Ćwieczek nic nie odrzekł, a wilk się zaraz zabrał i począł ogryzać szkapę. Zjadł z kościami.

Na drugą noc ten sam wilk przychodzi i mówi znowu:

— Dawaj jeść, bo się aż wściekam z głodu!

Ćwieczek się przed nim składa, że nie ma nic do dania, a wilk na to:

— Zjem teraz źrebię.

— Wzięło licho kobyłę, niech weźmie i źrebię! Na cóż mi ono?...

Schrupał wilk źrebię do ostatniej kosteczki.

Ale na trzecią noc znowu przyszedł i zaczął się dopraszać:

...bal taki był od rana do wieczora.

— Jeść, jeść!—wołał.

— Ha, mój kochany—rzecze Ćwieczek,—widzę przecie, że teraz o mnie myślisz. Zjedz mnie; niech się raz wszystko skończy! Czy mi to rozkosz jaka żyć tak na świecie w niedoli?

Wilk popatrzył na niego miłosiernem okiem i odrzekł:

— Nie, nie! Tyś, widzę, jakiś dobry człowiek; ja cię nie napocznę; wolę z głodu zdechnąć. Wiesz co, siadaj na mnie; zawiozę cię, gdzie tylko chcesz!

Jasiek Ćwieczek niedługo się namyślał: od razu chyc na wilka, oburącz trzyma się jego kudłów i wio, pojechał. Doskonałą miał jazdę, bo wilk rwał jak waryat—las nie las, pole nie pole.

Przypadli oni pod ogromną górę, na której stał jakiś zamek. Tu dopiero wilk się odzywa:

— Co prawda, zmachałem się strasznie, alem cię przywiózł. Idźże teraz do tego zamku; będą tam złote ptaki w złotych klatkach. Ale strzeż się brać nową, piękną klatkę; zabierz starą, co ją tam na boku zobaczysz.

Poszedł Ćwieczek do zamku—widzi, że w samej rzeczy są złote ptaki i przecudnie wyśpiewują, niczem słowiki i skowronki. Przygląda on im się, a w duszy sobie myśli:

— Cóż ja zaś mam brać starą jakąś klatczynę, kiedy mogę wziąć nową?

I wziął nową—idzie. A tu te ptaki jak zaczną wrzeszczeć, drzeć się na całe gardło, lepiej niż kiedy nocą pokrzykuje stado gęsi. Gwałtu, rety! Od tego harmidru pobudziły się warty, pozbiegały się ze wszystkich stron, zaraz cap Jaśka Ćwieczka i przed tamtejszego króla go prowadzą.

— Ho, ho, bratku! — zawołał król — nie ujdzie ci to na sucho, żeś taki zuchwały i żeś aż tutaj ważył się przyjść po moje złote ptaki!

Zasmucił się Ćwieczek, a król się weń wpatruje i tak mówi:

— Skoroś taki zuch, wytrzaśnij dla mnie złotego ogiera, a wszystko puszczę w niepamięć i daruję ci życie!

— Co tu począć? — myśli Ćwieczek. — Zachciało mu się złotego ogiera i narobił mi znowu biedy. Oj, dolaż moja, dola!

Wtem sobie przypomina, że tam wilka zostawił pod górą; idzie do niego, a utyskuje:

— Ostatnia moja godzina widać wybiła; król tutejszy obiecał mię zabić, jak mu nie wytrzasnę złotego ogiera.

— A widzisz, trzeba mię było słuchać i nie ruszać nowej klatki! No, nic, nie smuć się i tak. Dostaniemy my i złotego ogiera, zabierzemy i złote ptaki, tylko mię już teraz akuratnie we wszystkiem słuchaj, żebyś sobie znowu jakiego piwa nie nawarzył!

— O, mój wilku, radź! Nie zapomnę ci tego już przez całe życie.

— Biegnij w te pędy do króla, powiedz, żeby ci dali powóz w cztery konie; a potem zobaczymy, co będzie.

Poszedł do króla i powiada mu, że tak a tak.

— Mniejsza o powóz i cztery konie—król rzeknie,—bylem dostał złotego ogiera.

Wydali Ćwieczkowi powóz, cztery konie... dopiero oni obaj—niby Jasiek Ćwieczek i wilk—siedli do tej karety i pojechali sobie jak panowie.

Gawędzą po drodze o przerozmaitych rzeczach, czas im prędko schodzi, aż nareszcie przyjechali do innego znowu zamku. Zatrzymali się o jakie trzysta kroków od góry, a wilk powiada:

— Ja tu zostanę przy koniach i przy powozie, ty zaś idź do zamku. Jest tam jedna stajnia, a w niej złoty ogier wisi na siedmiu łańcuchach. Spuść go ze sześciu i zostaw tylko na jednym. Potem się rozpatrz po stajni, a skoro spostrzeżesz na boku starą uzdeczkę, weź na nią tego ogiera i co żywo wracaj tu z nim do mnie.

Rychtyk tak było, jak wilk mówił. Ćwieczek dobrze się sprawił, zrobił swoje i niedługoteńko wrócił do wilka ze złotym ogierem. Znowu teraz zasiedli w powozie i wio w cztery konie, a piąty, złoty, na przyprzążkę! Wracali z paradą do tamtego zamku, gdzie były złote ptaki.

Przyjechali nareszcie, stanęli pod górą, a wilk rzeknie:

— Idź na zamek, zabierz teraz złotą klatkę jak swoją!

On poszedł, zabrał, wrócił do wilka, potem wsiadł do powozu i z kopyta ruszyli dobrego kłusa, żeby co tchu uciec z tamtego królestwa.

Ujechali setny kęs drogi—wilk woła: «prrru!»

Stanęli, a wilk łap oną złotą klatkę w zęby i zaczyna nią potrząsać.

Nie przeszło tyle nawet czasu, żeby dobry pacierz zmówić, a tu od zamku leci całe stado złotych ptaków z ogromnym świegotem. Posiadały na powozie, na nich, na koniach, spokojnie dawały się

łowić i do klatki wsadzać—musi czarodziejstwo jakieś w tem wszystkiem było.

Jasiek Ćwieczek nie miał już teraz nic do czynienia, tylko wracać do zamku króla Ćwieka, swego chrzestnego ojca.

Kiedy tam nareszcie przybył, wilk go żegna:

— Bądź zdrów—powiada,—sam sobie radź teraz, bo mnie pilno do boru, do swoich! Dobrze ci się chyba odwdzięczyłem za tę zjedzoną kobyłę i za źrebię.

Podał mu Ćwieczek rękę, a on Ćwieczkowi łapę—i takie było ich pożegnanie.

Juści Gwóźdź wygrał dobrze na tem wszystkiem, jako on miał te ptaki, złotego ogiera, a przedtem z łaski Ćwieczka dostał śliczną księżniczkę Milutkę.

— Nic mi już teraz do szczęścia nie potrzeba—mówił sobie Jach Gwóźdź,—jeno zguby Jaśka Ćwieczka. Ale co ja go mam po śmierć w świat wyprawiać, kiedy mogę najprędzej tu w domu uśmiercić?

Trzeba zaś wiedzieć, że złote ptaki i złoty ogier okrutnie się pomizerowały i posmutniały, jak tylko przeszły na własność Gwoździa.

A no, jednego razu Jach Gwóźdź woła do siebie Jaśka Ćwieczka i tak mówi:

— Słuchajno, idź do piwnicy i tam mi stocz w butelki wino, com je sprowadził na wesele swoje z księżniczką Milutką.

Ćwieczek poszedł—ale księżniczka miała baczenie na wszystko i z okna go widziała, jak do piwnicy wchodził. Wyglądała ciągle oknem i potem znowu widziała, że do piwnicy poszedł także Jach Gwóźdź z pałaszem. Coś ją piknęło—musi niedobre miała przeczucie.

A tam w piwnicy działy się straszne rzeczy!

Ćwieczek robił swoje, jako się nie spodziewał niczego złego, a tu naraz Gwóźdź przypadł, ciął go pałaszem, odciął mu głowę i trupa wrzucił za beczki, sam zaś, jakby nigdy nic, wrócił do zamku.

Widzi to księżniczka Milutka, że Jasiek Ćwieczek coś długo z piwnicy nie wraca, że tylko Jach Gwóźdź sam stamtąd wyszedł, tak się zabrała, poszła zobaczyć, jaka też może być przyczyna. Zapaliła sobie w tym lochu świeczkę, patrzy—krew. Okropność! Szuka dalej, a ten nieżywy leży za beczkami. Jeszcze większa okropność!...

Dopiero ona wyjmuje oną maść, co ją to nieboszczyk dostał był od ptaka, i kark mu nią posmarowała. Nie przeszło tyle, ile trzeba,

żeby odmówić «Zdrować Marya,» a Jasiek Ćwieczek już wstał, ziewnął, przeciąga się i mówi:

— Co to jest, żem spał tak długo i tak twardo?

— Spałbyś ty był, chudziaczku, na wieki, żeby nie ja! — odrzekła ona.

Już go teraz wzięła do siebie i trzymała w swoich pokojach po kryjomu.

Tymczasem Ćwiek i Gwóźdź rozpisali listy, pozapraszali na wesele różnych królów, książąt, co największych panów: miało być ogromne wesele.

Zjechała się ciżba tego państwa; przez cały dzień od rana waliły karety jedna za drugą.

Nadeszła pora, tak Gwóźdź wystrojony idzie i prosi tę księżniczkę do ślubu ze sobą. Ona już wiedziała, co ma zrobić. Poszła z nim; dopiero kiedy stanęła publicznie przed wszystkimi, zapytuje Jacha Gwoździa:

— Powiedz mi, co zrobić z takim człowiekiem, który niewinnie zabił drugiego?

Gwóźdź ani się spodziewał, o co idzie, a chciał się popisać, że jest bardzo sprawiedliwy, tak bez zająknienia odpowiedział:

— Takiego zbója powinno się surowo skarać!

— A możebyś powiedział, w jaki sposób?—rzecze Milutka.

— Jabym wybrał ze stajni cztery najdzielniejsze konie, dopiero do każdej jego nogi zaprzągłbym parę: niechby te konie szarpały... jedna para w prawo, druga w lewo, dopókiby takiego zbója nie rozdarły.

Ona mu się wtenczas ukłoniła i mówi:

— Powiedziałeś pięknie i sprawiedliwie!

Zaraz się potem zawinęła, otwarła boczne drzwi i woła:

— Wychodź, nieboszczyku Jaśku Ćwieczku!

Jasiek Ćwieczek wyszedł. Kiedy go Jach Gwóźdź zobaczył, przestraszył się okrutnie, zrobił się taki blady jak kreda.

Milutka pokazuje go palcem onym gościom i powiada:

— Przecie widzicie, co się dzieje? Długom ja cierpiała tego gałgana, ale teraz już basta! Jasiek Ćwieczek jest moim mężem.

Dobrze. Tylko Ćwiek już się był przywiązał do Gwoździa i nie uwierzył z razu temu, co księżniczka Milutka mówiła.

— Jakie masz inne jeszcze dowody?—zapytał.—Przecie Gwóźdź jest moim chrzestnikiem.

Dopiero ona kolejką opowiedziała wszystko od początku do końca, jako się od Ćwieczka różnych rzeczy już była dowiedziała.

Ledwie skończyła swoje, a tu złote ptaki, co już miały pozdychać, jak zaczną śpiewać z ogromnej radości, aż się w całym zamku rozlegało. Złoty ogier, który przy Gwoździu na nic skapconiał, wyrwał się ze stajni, brykał koło zamku aż miło i rżał za dwadzieścia koni.

— Niema co—powiada Ćwiek:—trzeba tego łajdaka Gwoździa tak ukarać, jak on sam postanowił!

Potem się obrócił król do Jaśka Ćwieczka, uściskał go i pyta:

— Co chcesz za te wszystkie tarapaty, jakieś przeszedł?

— Chcę, żeby mój tatuś i moja matusia przyjechali na moje wesele z Milutką.

Za chwilę potem Jacha Gwoździa rozdarły dwie pary koni, a król zaraz posłał karetę po rodziców Jaśka Ćwieczka. Na zamku było ogromne wesele—i koniec.

„PAN Z DUŻĄ GŁOWĄ.”

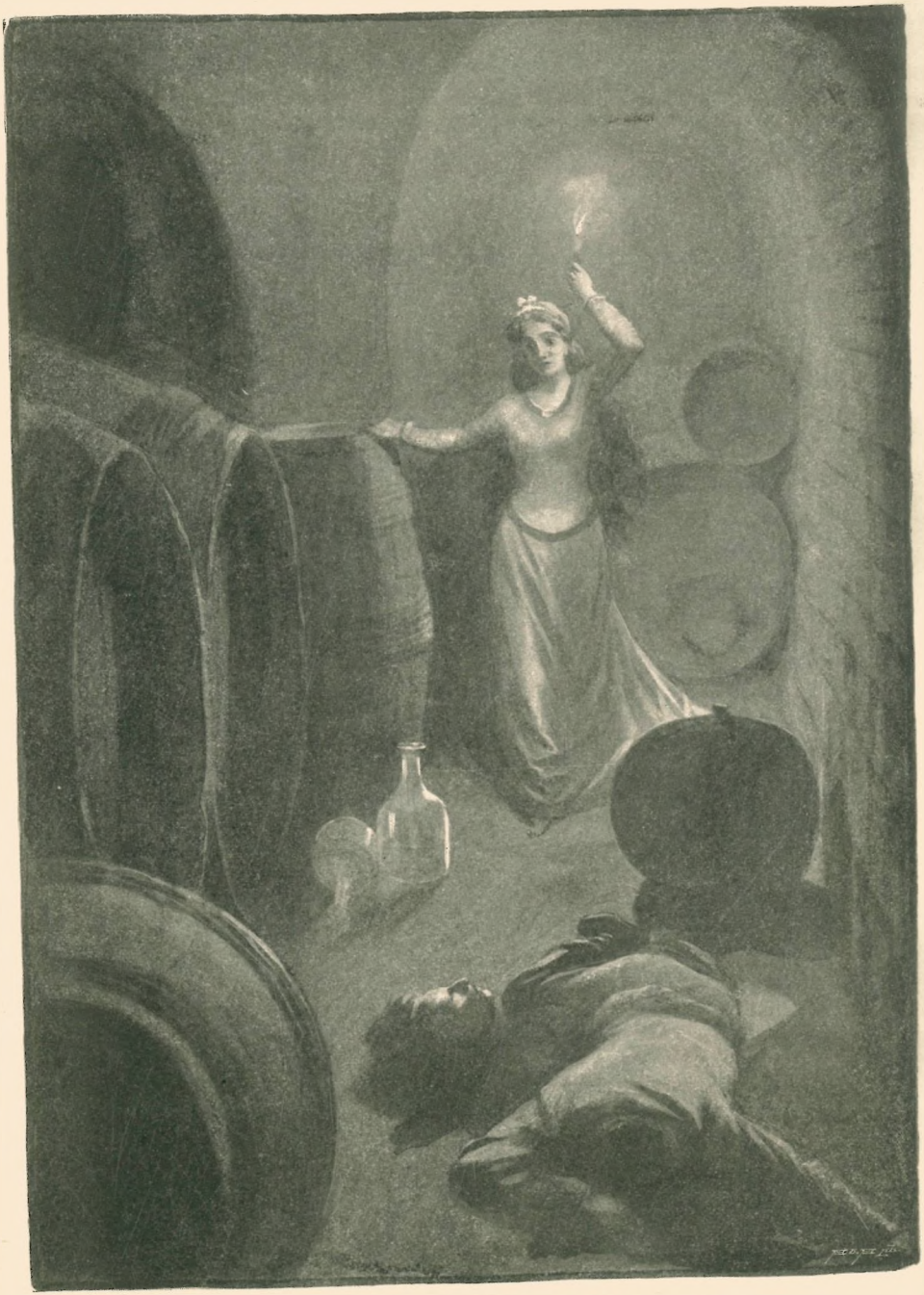

...a ten. nieżywy, leży za beczkami...

Było to w północnej Afryce, we francuskiej prowincyi Algieryi, a wśród narodu, zwanego Arabami.

Słońce zaszło. Po znojnym dniu, pasterze zapędzili trzodę na noc do zagrody, otoczonej płotem na dziesięć stóp wysokim, splecionym z gałęzi przesypanych ziemią i piaskiem. Wał to silny, blizko na cztery stopy gruby, z wierzchu uzbrojony koroną cierniową.

Wnet się zupełnie zmierzchło, noc rozpostarła swą ciemną oponę po nad obozowiskiem nomadów. Migocące gwiazdy to się na niebie zjawiały, to znikały; księżyc wędrował między chmurami, wychylając z po za nich niekiedy swe oblicze.

Dopiero co wydojone krowy porozkładały się w zagrodzie, spokojnie przeżuwając; rozlegał się tu nieustannie bek starych owiec, przyzywających jagnięta rozproszone i zabłąkane między roślejszem bydłem. Zewnątrz zagrody, dokoła wału, leżą psy czujne na straży.

W namiocie Ali-ben-Brahama, pana stada, zaległa cisza; cała rodzina i słudzy, utrudzeni pracą, znojem dnia, zasnęli teraz snem sprawiedliwych—słychać tylko chrapanie.

Gdzieś tam w oddaleniu szczeknął raz i drugi szakal głosem zaledwie dosłyszanym; leżące psy podniosły głowy, niektóre z nich warknęły gniewnie. I znowu cisza.

Naraz zerwała się cała psiarnia i z wściekłem szczekaniem popędziła za duar. Słychać wyraźnie zgiełk jakiejś walki: nadzwyczajnie natarczywe ujadanie psów, zmieszane z chrapliwem pomrukiwaniem, ze złośliwem warczeniem, które wydają psy, gdy jeden drugiemu żer wydziera. Zbudzili się teraz i ludzie w namiocie, ale ich widać ta wrzawa nie trwoży, bo przez krótką tylko chwilę nasłuchiwali i znów zasnęli. To hyena, zwierz tchórzliwy, nikczemny, a raczej w ciele zwierzęcem «duch czarownika,» który się piekłu wyrwał i nocami błądzi około duarów, ażeby ludziom szkodzić. Psy same poradzą sobie z tym «wyrzutkiem piekła.» Oto go już daleko odpędziły i z tryumfalnem szczekaniem powracają na swoje stanowiska.

Teraz jeszcze spokojniej, ciszej. Pod opieką dzielnych strażników bezpiecznie wypoczywać mogą ludzie i zwierzęta. Nawet lampart, pantera, choć tak srogie, drapieżne, a i one unikają tej ogłuszającej psiej wrzawy, jeżeli ich głód do ostateczności nie popycha. Kozodoje, jak duchy nocne, przelatują po nad bydłem, spoczywającem w zagrodzie; zdaje się, że psiarnię także ogarnęła senność.

Wtem od strony gór rozlega się straszliwy ryk lwa, jest on podobny do grzmotu: z razu huczy ciszej, potem się wzmaga, nabiera strasznej siły i znów opada, lecąc w dalekie przestrzenie. Na ten głos, jak na hasło trwogi, zrobił się zamęt w całym duarze. Woły i krowy wydały ponury ryk przerażenia, tłoczyły się w jeden kąt zagrody, lazły jedne na drugie. Owce z szalonym strachem w popłochu pędziły wkoło, wciskały się między woły i krowy, to znów całą swą masą parły na ogrodzenie, jakby je rozwalić usiłowały. Kozy pobekiwały głosem żałosnym, strwożonym. Wielbłąd, górujący głową nad całym tym zwierzęcym tłumem, wykonywał jakieś ruchy konwulsyjne, rozpaczliwe. Psy, co przed chwilą okazywały tyle czujności, odwagi, zawyły teraz smutnie, zaskomliły bojaźliwie, wzięły ogony pod siebie i całą gromadą pośpiesznie zmykały do namiotu swego pana.

Ale w namiocie także nadzwyczajny zamęt. Jedni się porwali na równe nogi, drżącemi rękami chwytali za oręż, którego nie mieli zamiaru użyć; drudzy czuli w sobie taką bezsilność, że się podźwignąć nawet nie mogli.

Może w dziesięć minut po pierwszym dał dał się słyszeć ryk powtórny, tym razem już znacznie bliżej. Wzrosło przerażenie ludzi i zwierząt.

Księżyc właśnie skrył się za chmury i ciemności większyły okropność położenia. Mohamed, najstarszy syn Ali-ben-Brahama, śmielszy od innych, poważył się wyjść z namiotu, ale za chwilę wrócił przerażony, opowiadając, że wśród ciemności nocnych widział pałające oczy lwa, niby dwie latarnie, zmierzające w kierunku zagrody z trzodą. Gdy syn skończył mówić, ojciec zaklął strasznie, porwał swą długą strzelbę, wybiegł przed namiot, a za nim psy i niektórzy słudzy. Skupiona tutaj gromadka słyszała zgiełk nadzwyczajny pomiędzy zwierzętami w zagrodzie, gdzie lew już właśnie siał mordy. Jednym potężnym skokiem przesadził on ogrodzenie, wpadł w środek trzody i począł sobie wybierać ofiary. Naprzód powalił dwa woły, którym szczęką swoją zgruchotał kręgi szyi; nie była to jednak widocznie zdobycz dla niego, gdyż wnet potem zamordował dwuletnią jałowicę, a pochwyciwszy w paszczę jej drgające jeszcze ciało, jednym susem przeskoczył wał zagrody. Jęknęła ziemia, kiedy na nią spadł łupiezca, obarczony zdobyczą. W tej chwili stary Arab wystrzelił w powietrze, psy zawyły wściekle, ludzie napełnili powietrze wrzawą. Chciano przestraszyć «pana z dużą głową,» jak tutaj po duarach lwa nazywano.

Mohamed, Ahmet i Selim, trzej synowie Ali-ben-Brahama, uzbrojeni w strzelby i jatagany, wysunęli się na przód i razem dali ognia. Psy się rzuciły, ale wnet powróciły z trwożliwem skomleniem. Księżyc wyjrzał z za chmur, rzucił blask na okolicę i teraz w odległości stu pięćdziesięciu kroków od namiotu ujrzeli wszyscy lwa, wlokącego zdobycz: szedł spokojnie, nie zważając na strzały i krzyki.

— Psi synu, dusicielu trzody, nikczemny żydzie, niewierny psie chrześcijaninie! — wykrzykiwał Ali-ben-Braham, a siwa broda trzęsła mu się ze złości.

O pogoni za lwem nie było mowy—niktby się na to szaleństwo nie odważył. Psy tylko to wybiegały na kilkanaście kroków, to znowu wracały do namiotu i łasiły się do ludzi, jak gdyby chciały powiedzieć: «My przecież nie możemy mieć więcej niż wy odwagi.»

Kiedy «pan z dużą głową» już znikał w oddaleniu, zaczęto dopiero na dobre robić zgiełk około namiotu. Niektórzy chwycili kije i z całej siły walili nimi w pnie drzew, inni w kierunku lwa puszczali z procy kamienie, rozległy się nowe strzały, a kobiety robiły teraz najwięcej wrzawy.

— Rozbójnik, uwziął się widać, aby mnie doprowadzić do nędzy! Moje bydło najlepiej mu smakuje! — zawołał z rozpaczą

Ali-ben-Braham, silnie uderzając kolbą strzelby o ziemię.—Ale dosyć tego!... Jutro ułożymy wyprawę. Raz trzeba położyć koniec temu rozbojowi i wziąć krew za krew!

W samej rzeczy, ten lew stał się postrachem duarów w okolicy Ued-Arif, w odległości mniej więcej sześciu mil od miasta Batny. Nowe sztuki bydła prawie codziennie padały jego ofiarą, a głównym celem tych napaści zdawała się być trzoda Ali-ben-Brahama.

Siedzibą «pana z dużą głową» były gąszcze, porastające górę Szaila, i przylegające do niej wzgórza, pełne skalistych urwisk, wąwozów, strumieni. Codziennie z nadejściem nocy stamtąd rozlegał się ryk jego, zapowiadający mordy i grabieże. Niektórzy utrzymywali, że «pan z dużą głową» nie jest lwem zwykłym, że tak w ryku, jako też w całem jego postępowaniu, wyraża się coś nadzwyczajnego. Zabobonni Arabi przez ową nadzwyczajność chcieli wyrazić, że straszliwe zwierzę miało w sobie duszę jakiegoś okrutnika, który niegdyś żył zapewne na tym świecie, a po śmierci wcielił się w ciało zwierzęce. Czegóż fantazya Araba nie jest zdolna sobie wyobrazić!

Mimo zapowiedzi i wezwań starego Ali-ben-Brahama, Arabi niechętnie jakoś i bardzo opieszale sposobili się do wyprawy na «pana z dużą głową.» Wprawdzie starzec powagą swoją i wpływem przekonał różnych sąsiadów o konieczności walnego polowania,—atoli kilka umówionych schadzek nie przyszło do skutku, myśliwi przybyli nielicznie i polowanie musiano odłożyć.

Dopiero jednego dnia nadzwyczajne zdarzenie poruszyło już umysły nawet najobojętniejszych. Oto lew wpadł był niespodziewanie w środek trzody, powracającej z pastwiska, i sprawił taki popłoch, że jedna część przerażonego bydła oddzieliła się od całego stada i w szalonej trwodze popędziła między wzgórza, szukając tam ratunku. Było to dla trzody zgubne w najwyższym stopniu. Lew rzucił się między skały za owymi rozbitkami i sprawił silną rzeź; zdaje się, że mordował bydlęta tym razem jedynie z upodobania w przelewie krwi. Czterdzieści kilka sztuk padło wtedy ofiarą królewskiego polowania. Dwaj czy trzej Arabi dowodzili, iż w tym straszliwym mordzie brała także udział lwica i troje lwiąt, dobrych już podrostków, którym rodzice właśnie pragnęli dać naukę, w jaki to sposób lew powinien na chleb pracować. Jednakże ogół nie chciał temu wierzyć: «pan z dużą głową» miał taki urok okrutnika, mordercy, że wyłącznie jemu samemu chciano przypisywać wszystko, co tchnęło mordem i krwi przelewem.

Ta ogromna strata w zwierzętach domowych wyczerpała już cierpliwość obojętnych, apatycznych Arabów. Krew ich zawrzała pragnieniem odwetu i ostatecznie wyznaczono dzień na walne polowanie.

Ognisko, rozłożone u stóp góry, służyło za punkt zborny. Tutaj też od wczesnego ranka gromadzili się myśliwi: jedni przybywali na koniach, drudzy pieszo, a każdy miał strzelbę na ramieniu, za pasem pistolet i jatagan. Za panami przybiegły tłumy psów, brodato obrosłych na pyskach, pokrytych długą, twardą szerścią. Wałęsały się one między myśliwymi i staczały pomiędzy sobą zacięte walki, że nierzadko trupy zostawały na pobojowisku, ale o rozbrajaniu psów nikt tu nie myślał.

Właśnie oto przybyli tropiciele, przynieśli pierwsze ważne wiadomości, dotyczące lwa, a zebrane ze śladów na piasku, ze znaków na korze drzew, gdzie sobie ostrzył pazury, z resztek po niedojedzonych zwierzętach i t. d.

Po wysłuchaniu tych doniesień, rozpoczęto naradę, w jaki sposób poprowadzić łowy, aby osiągnąć jak najlepsze powodzenie i z najmniejszem niebezpieczeństwem. Zabierali głos przedewszystkiem starzy, doświadczeni myśliwi, którym nie pierwsze na lwa polować. Ali-ben-Braham również tu głos zabierał. Nareszcie zapadło postanowienie, a zgromadzeni przyjęli je i uznali jako jedynie dobre.

Podczas tego, gdy jedni opatrują i nabijają broń, wydano kilku młodzieńcom polecenie, aby bez zwłoki czasu udali się na wierzchołki różnych gór okolicznych i stamtąd bacznie śledzili całe zachowywanie się lwa od chwili rozpoczęcia łowów aż do ich ukończenia. Ci czatownicy za pomocą różnych umówionych znaków mieli ze strażnic swoich udzielać myśliwym pożytecznych wskazówek i objaśnień o «panu z dużą głową,» który mógł nie mieć chęci pokazania się w miejscu otwartem.

Wydano hasło, wszyscy z miejsc powstali; piesi kroczyli zwartą kolumną, a po ich bokach jeźdzcy na prawo i na lewo. Teraz spokojnie, rozważnie podchodzili ku miejscowości, którą im tropiciele wskazali jako kryjówkę nieprzyjaciela.

Wtem jeden z czatowników, umieszczonych na szczytach gór, podniósł w górę połę swego burnusa, co znaczyło: «Widzę go!»— Natychmiast jakiś myśliwy, używając podobnejże mimiki, zapytał:—

«Gdzie jest? Co robi?» Teraz czatownik miotał swoim burnusem szybko z góry na dół, a to znaczyło: «Lew idzie!» Po chwili zaś krzyknął: «Au likum!» (Baczność!)

Na ten znak myśliwi utworzyli zwarty szereg i wszyscy skierowali oczy ku zaroślom, skąd oczekiwano ukazania się «pana z dużą głową.» Dobrze znany ryk zagrzmiał, a skały odpowiedziały mu stokrotnem echem. Była to chwila uroczysta, serca wszystkich biły silnie; myśliwi znajdowali się teraz zaledwie w odległości dziesięciu kroków od lwa, a przecież wcale go jeszcze nie widzieli. On bowiem na samym brzegu gąszczu przyczaił się i widział wszystkich przed sobą, sam nie będąc widzialny.

Nareszcie któryś myśliwy dał tajemniczy znak ręką, chcąc przez to powiedzieć: «Ja go widzę!» Ciśnie się w milczeniu ku niemu cała gromada, bo każdy chce lwa spostrzedz, ażeby razem w jeden punkt dać ognia. Nieprzyjaciel wyczekiwał widać na to chwilowe zamieszanie. Prędzej niż się to słowem da powiedzieć, jak bomba wypadł z krzaków i jednym susem rzucił się na Arabów. Ten i ów wystrzelił w popłochu, chybił. Zaskoczeni niespodziewanie myśliwi zmieszali się w bezładną masę, która strasznemu nieprzyjacielowi zostawiła całą swobodę działania.

Bardzo krótko trwała walka, a jednak liczne ofiary pozostały na placu boju. Jeden miał zgruchotane ramię, inny przełamane udo, jeszcze inny skórę i ciało zdrapane z twarzy, wydarte oczy, lub zgruchotaną czaszkę. W nieładzie leżeli na ziemi ranni, między nimi porzucone oręże. Spłoszone konie w szalonym pędzie unosiły jeźdźców, którzy je nadaremnie usiłowali opanować.

Lew zrobił swoje i jednym susem, jak był wyskoczył, tak teraz znowu zniknął w gęstwinie. Arabowie, ochłonąwszy nieco z okropnego przerażenia, poczęli obliczać swe straty. Na pobojowisku zostało sześciu rannych, z których jeden w parę godzin wyzionął ducha: był to Selim, najmłodszy syn Ali-ben-Brahama, ukochane jego dziecko. Ośmnasta wiosna zaledwie mu delikatnym puchem twarz omszyła, gdy dzisiaj właśnie uczuł w sobie pragnienie, aby na tych łowach pokazać wobec ludzi swego plemienia, iż w sercu nosi odwagę dojrzałego męża. Nadaremnie starzec usiłował ze zgromadzenia odprawić syna do duaru; Selim i słyszeć o tem nie chciał.

— Tutaj—mówił do ojca—powiedzą o mnie, że ze strachu uciekam, a w duarze oczekuje mię szyderstwo kobiet. Mamże się

shańbić? Raczej ty, ojcze, wracaj do domu! Sędziwy wiek zgina cię już ku ziemi i drży słabością niepewna ręka, która w ciągu życia tyle dzielnych dokonała czynów, że ten jeden sławy jej nie doda. My, synowie twoi, zostaniemy tutaj, aby się stawiać za ciebie i za siebie samych.

Kiedy starzec, nie uwzględniając tych przedstawień, jeszcze nalegał, aby syn zaniechał łowów, Selim odrzekł głosem stanowczym:

— Jeżeli mię, ojcze, zmusisz, ażebym się okrył wstydem wobec ludzi, to opuszczę natychmiast twój namiot i pójdę w świat daleki, między obcych, gdzie mi nikt nie przeszkodzi zasługiwać na imię odważnego!...

Skoro «pan z dużą głową» napadł gromadę myśliwych, Selim wystrzelił pierwszy, a potem z jataganem w ręku śmiało do lwa poskoczył; ale nim zdołał zadać cios śmiertelny, już powalony leżał na ziemi, a szczęki lwa druzgotały mu czaszkę.

Smutny ów powrót z łowów wyglądał jak pochód pogrzebowego orszaku.

Arabowie wstydzili się tego niepowodzenia i chcieli winę nieudanych łowów zwalić na kogoś. Złorzeczyli naprzód tropicielom, później obwiniali jednego z czatowników, jakoby im udzielał niedostatecznych objaśnień. Nareszcie ktoś napomknął, że «pan z dużą głową» jest to wcielony demon, z którym niepodobieństwo walczyć. Uwaga ta uspokoiła wszystkich, gdyż—mówiono—ludzie mogą walczyć ze lwem, ale nie podołają nigdy złemu duchowi. Zapewne w to nie wszyscy wierzyli, jednakże każdy na tej zasadzie usprawiedliwiał przykre dla myśliwych niepowodzenie.

Młodzież cywilizowanego świata niełatwo zrozumie uczucia młodego Araba-koczownika. On się od małego dziecka wychowywał wśród trudów i niebezpieczeństw. On patrzył codziennie na to życie starszych, schodzące w ciągłych i krwawych walkach między pokoleniami, w nienawiści dla wszystkich chrześcijan. Widywał nieustannie łowy na lwa, panterę, lamparta, łowy, kończące się rzadko kiedy bez rozlewu krwi ludzkiej. Nie udzielano mu przecież żadnych nauk moralnych, tylko żywym przykładem dawano mu do zrozumienia, że ten człowiek jest najdzielniejszy, najlepszy, najcnotliwszy, najmędrszy, który najlepiej i najczęściej zabija. Młodzieniec dorastał i nieraz słyszał u ogniska opowiadania o bohaterach, którzy nocną porą z zasadzki wystrzałem lub pchnięciem sztyletu pomścili krzywdy plemienne lub rodzinne. I dojrzewał w nienawiści dla chrześcijan,

dla wszystkich wrogów swego plemienia, swojej rodziny; dojrzewał w marzeniach, aby krwawymi czynami sprostać najdzielniejszym ze swoich, zasłynąć w bitwach i na łowach. Taki marzy tylko o jednej sławie, sławie z rozlewu krwi.

Synowie Ali-ben-Brahama nie różnili się pod tym względem od innych. W rodzinie ich krwią za krew zawsze odpłacano i syn za ojca, brat za brata nigdy nie został dłużny.

To też po smutnej śmierci Selima brat jego Ahmet poprzysiągł śmiertelną zemstę «panu z dużą głową.» Ale Arab się nie śpieszy—może w sercu długo zemstę nosić, aby tem pewniej ugodzić. Więc Ahmet udał się naprzód w podróż do pewnego słynnego ze świątobliwości starca, któremu ofiarował dary, a prosił go o radę i odmówienie skutecznych modlitw. Strasznego lwa z góry Szaila traktował młody Arab tak, jakby traktował człowieka, któremu przysiągł śmierć zadać.

Bogobojny Arab z brodą białą jak mleko przyjął młodzieńca przychylnie, mówiąc w te słowa do niego:

— Jeżeli Bogu spodoba się wysłuchać moje gorące modły, pobłogosławi On twemu orężowi i zgładzisz swego wroga. Idź, moje dziecię, i działaj z wiarą! A kiedy spełnisz szczęśliwie gorące życzenie swego serca, wspomnij, że ci towarzyszyła moja modlitwa!

Następnie udał się jeszcze Ahmet do jednej starej kobiety, żyjącej w górach, a głośnej między ludźmi jego plemienia ze sztuki wróżenia i przepowiadania przyszłości. Ona również otrzymała od niego dary i przepowiedziała mu, że zabije wroga swego podczas nocy, w pustkowiu, a na pełni księżyca.

Z wielką ufnością w duszy powracał teraz młodzieniec do rodzinnego duaru, a w drodze spotykał jeszcze różnych ludzi, z którymi umyślnie wszczynał rozmowy o lwach, posiadających jakby czarodziejskie, nadprzyrodzone przymioty. Jeden z takich napotkanych w drodze ludzi obnażył ciało swe do pasa i, pokazując ciężkie blizny na połamanych żebrach, tak mówił:

— Lew, który mi zadał te rany, samego szatana chyba miał w sobie; ale i tak wytrząsnąłem z niego brzydką duszę i wyprawiłem na dno piekła!

Kiedy nareszcie młodzieniec wrócił do domu, dowiedział się tu zaraz na wstępie, że właśnie ostatniej nocy «pan z dużą głową» zdusił czarnego wołu i ulubioną klacz ojca. Więc pilnie teraz Ahmet zbadał drogi i ścieżki, po których chadza ów lew, wypadłszy ze swej

...ujrzeli lwa, wlokącego zdobycz.

kryjówki. A liczne one były, gdyż, według przysłowia arabskiego, «lew ma tysiąc dróg przed sobą.» Był atoli między skałami jeden taki węzeł, gdzie mnogie jego ścieżki zbiegały się, aby potem, jak promienie, rozprysnąć w różnych kierunkach. Tutaj to Ahmet obrał sobie stanowisko, na którem postanowił lwa oczekiwać. Nie urządził on zaś zwykłej zasadzki—w dole, ani na drzewie, lecz, jak na dzielnego męża przystało, przełożył walkę z nieprzyjacielem w miejscowości dosyć otwartej. Że się atoli obawiał widokiem swoim spłoszyć lwa i zbić go z drogi, przeto zaczaił się za krzakiem przy zbiegu ścieżek.

Piękna noc księżycowa zdawała się sprzyjać zamiarom młodego Araba, który już o zmierzchu przybył na posterunek i czekał nadejścia zabójcy swego brata. Oczekiwanie nie długo trwało. Na jakie dwie godziny przed północą rozległ się w górach ryk tak straszny, iż w tej ciszy posępnej gwiazdy na niebie zdawały się drżeć od niego.

Ahmet przyklęknął na jedno kolano, a na drugiem oparł rękę ze strzelbą, przyłożoną do skroni, i gotów był do spotkania. Ściana skały rzucała cień na krzak, stanowiący jego schronienie, ale przed sobą miał on drożynę oświetloną tak jasno, że mógłby na niej brać za cel strzału drobne kamyki.

Lew znowu ryknął—teraz już tak blizko, że ryk prawie ogłuszył Araba, a wydało mu się, że na krzaku drgały listki... Nadszedł—stąpał gniewnie i, na znak niezadowolenia, merdał ogonem; może mu głód dokuczał. Ahmet miał go teraz przed sobą w całej okazałości i wziął na cel głowę, między okiem a uchem. Jednakże, mierząc, poruszył lekko gałązkę krzaku, a ów szmer nieznaczny zwrócił uwagę nieprzyjaciela. «Pan z dużą głową» w tej chwili spojrzał w kierunku szmeru, gdy jednocześnie z krzaku huknął strzał i obłok dymu na krótko zaciemnił widok tego, co się stało...

Są takie zwierzęta, których się kule nie imają—i taką sławę miał po duarach lew z góry Szaila. Właśnie teraz draśnięty tylko ponad okiem, ryknął wściekle, przyniżył się do ziemi i z szybkością piorunu spadł na krzak, gdzie już nań czekał nieustraszony Ahmet z pistoletem w jednej ręce, z jataganem w drugiej. Atoli ruch lwiego skoku był tak nagły, tak gwałtowny, że młodzieniec nie zdołał użyć oręża, a już, przytłoczony potężnemi łapami, leżał na ziemi do góry grzbietem; lew gruchotał mu kręgi szyi.

«Pan z dużą głową» zwyciężył, wytrząsnął życie z Araba, pochwycił ciało martwe w paszczę, wyniósł je na otwartą równinę—i tam,

w blasku księżyca, igrał z niem uciesznie, niby kot z myszą: to je podrzucał w górę, to łapą dotykał, odpychał, to znowu chwytał w zęby, potrząsał niem gniewnie i rzucał o ziemię. Nareszcie wziął martwe zwłoki pod siebie, rozciągnął się na nich—i słychać było chrupanie, łamanie kości zębami. W niewielkiej odległości szakale się uwijały, oczekując chwili, gdy lew odejdzie i będą mogły rzucić się na niedojedzone resztki.

Trzoda Ali-ben-Brahama używała podczas tej nocy spokoju.

Straszny to był dzień dla starego ojca, gdy mu nazajutrz przyniesiono znalezioną broń Ahmeta i opowiedziano, że z nieboszczyka zaledwie pozostało kilka kości. Strata dwóch synów boleśnie się zapisała w sercu Araba. Lew wyraźnie godził na niego, grabił jego dobytek, zabijał mu dzieci. Ali-ben-Braham czuł, że ma do czynienia z jakimś straszliwym wrogiem, który mu zadaje cios za ciosem, jak gdyby prawem odwetu chciał krwawo pomścić stare jakieś krzywdy. Nie byłże «pan z dużą głową» wcieleniem wroga, działającego z rozmysłem, posiadającego szatańską mściwość i przebiegłość? Starzec rozważał nieraz w swej głowie owe krwawe dzieje i wyprowadzał dziwne wnioski. Przebiegał myślą całe swoje życie, a zawsze wspomnienia obracały się około jednego zdarzenia i zawsze do niego powracały.

Kiedyś tam, będzie temu pewnie lat ze trzydzieści, miał on na świecie nieprzyjaciela strasznego, nieprzejednanego—Hamida. O, bardzo ciasno, nieznośnie, niewygodnie było im obu na ziemi! I wiedział on dobrze, że, jeśli ciosu nie uprzedzi, to cios spaść musi na niego.

Raz więc, dobrawszy sobie wiernego towarzysza, zaopatrzony w amulety, chroniące przed niepowodzeniem, z jataganem ostrym jak brzytwa za pasem i parą niezawodnych pistoletów na całą noc puścił się w drogę. Była to noc straszna, burzliwa: wichry niby lwy ryczały w górach, potoki wezbrały i jak pantery w podskokach gwałtownych spadały ze wzgórzy, unosząc odłamy skał, kłody drzew, wyrwanych z korzeniami. Już po północy przybyli do duaru ludzi z innego plemienia; towarzysz jego zmamił naprzód czujne psy i odciągnął je w stronę przeciwną. Wtedy on, Ali-ben-Braham, cicho jak wąż podpełznął i wcisnął się do pewnego namiotu, o którym wiedział, czyim jest namiotem. Blizko drzwi twardo zasypiał Hamid; pod jego głową leżał jatagan, obok pistolety. Zbliżył się do śpiącego, nasłuchiwał, jak on oddycha; słyszał bicie jego serca, czuł na swej twarzy jego oddech... Wyciągnął rękę, przyłożył rurę pistoletu do

samego czoła i wypalił... Nie wiedział, co się potem stało, gdyż jak duch zniknął z namiotu. Ale wnet od duaru do duaru biegła wieść, że Hamid stracił życie od zdradzieckiej kuli. Zabity nie miał mściciela, nie zostawił po sobie ani syna, ani krewnych. Jako błędny Beduin przebył na koniu wielką pustynię i jedno z plemion przyjęło go jako swego. On głosił wojnę z niewiernymi chrześcijanami, za wroga uważał każdego, kto inne miał zdanie, i zgładził ze świata ojca Ali-ben-Brahama z tego właśnie powodu, a w sposób zupełnie podobny, w jaki Ali-ben-Braham teraz mu śmierć zadał.

Lata minęły, ludzie zapomnieli o Hamidzie, chrześcijanie w karbach trzymali upokorzone plemiona. Gdy oto jednego roku, skądś od wielkiej pustyni, przybył «pan z dużą głową,» obrał sobie siedzibę na górze Szaila i za główny przedmiot prześladowania wybrał Ali-ben-Brahama. Niejednemu człowiekowi tego plemienia przychodziło na myśl, że lew ów nie jest lwem, ale tylko jeden Ali-ben-Braham poznawał w nim awanturniczego Beduina, ambitnego, przebiegłego, zuchwałego, mściwego Hamida. «Dusze ludzkie przechodzą nieraz w ciała zwierząt» — myślał starzec i zadrżał. .Z jednej strony ogarniał go strach zabobonny, z drugiej budziła się w duszy pewność, że taki wróg nie spocznie, dopóki go nie pozbawi mienia i dzieci. Uczucia takie doprowadziły Araba do ostateczności, a tą ostatecznością była dzika żądza zemsty.

Starzec głosił teraz wśród ludzi swego plemienia jak gdyby świętą wojnę przeciwko lwu, który, choć głównie jego krzywdził, był jednak wrogiem całego plemienia. Podczas gdy rozważniejsi obojętnością zbywali starca, umysły przedsiębiorcze, śmiałe i żądne przygód, z zapałem przyjęły jego wezwanie.

I znowu jednego dnia rozległo się hasło wyprawy myśliwskiej, tym razem wyprawy nadzwyczajnej. Wystąpili tu i sławni wojownicy i głośni ze swych czynów myśliwi, którzy własną ręką niejednego już lwa zgładzili ze świata. Tłumnie też i skwapliwie zebrała się młodzież, wszystko rówieśnicy, przyjaciele Selima i Ahmeta, pałający szczerą a gorącą żądzą odwetu za śmierć dwóch tak dzielnych młodzieńców, będących chlubą całego plemienia.

Rozkaz wodzów już o świcie obiegał duary. O świcie zapowiedziano, aby ludzie ani zwierzęta nie wydalali się ze swych siedzib dopóty, dopóki nie powrócą wysłani w góry tropiciele, których obowiązkiem jest zbadać ślady i znaleźć lwią kryjówkę.

Jakoż po niejakim czasie jeden z takich tropicieli powrócił i mówił w te słowa:

— Znalazłem ślady lwa, który właśnie około północy uniósł z seryby (zagrody) barana Ali-ben-Brahama. Jest to zwierz niezwykły, wielki i silny, o czem ze śladów jego na piasku łatwo wnosić. Tropiłem go naprzód do miejsca, gdzie się zatrzymał w pobliżu strumienia i barana pożarł, poczem w strumieniu gasił pragnienie. Następnie szedłem ślad w ślad za nim aż do pierwszych krzaków, porastających na podgórzu. Skończyła się tutaj moja czynność i od tego punktu tropi już lwa inny tropiciel, Tajeb.

Wkrótce też do zgromadzenia przybył i Tajeb, którego cała postawa i fizyognomia wyrażały pewność siebie i zadowolenie z tego, co zrobił. Zapytany, jak się rzeczy mają, niezwłocznie począł opowiadać historyę swego tropienia, nie szczędząc mimiki, żywych gestów. Skończył na tem, że otropiony lew znajduje się obecnie w gęstym gaiku, w pobliżu grupy skał, zwanych «Lwią oazą,» gdzie z całą powagą oczekuje na przybycie myśliwych.

Z kolei rzeczy nastąpiły rozprawy o tem, w jaki sposób należy nacierać na «pana z dużą głową.» Jedni byli zdania, aby go najść z wielką wrzawą i wypłoszyć na cały zastęp myśliwych; inni woleliby go napadać znienacka i bodaj śpiącego, gdyby się dało, razić kulami. Przeważyło zdanie zwolenników pierwszego sposobu i natychmiast rozpoczęto łowy.

Schronienie lwa znajdowało się na jednym ze schodów stoku góry Szaila, w miejscu ocienionem gąszczem krzewów, po nad którymi górowały wierzchołki drzew i skaliste urwisko. Myśliwi, zgromadzeni dziś bardzo licznie, zajęli stanowisko u podnóża góry, na niewielkiej dolinie, mając po za sobą istną fortecę ze skał.

Otoczonego dokoła nieprzyjaciela poczęli Arabi, według swego zwyczaju, znieważać obelżywemi słowy i do walki wyzywać:

— Ukaż się, dusicielu trzód, morderco niewinnych! — wołali. — Pójdź tu, złodzieju, rozbójniku, synu dyabła! Wystąp, jeżeliś taki mężny, za jakiego chcesz uchodzić! Zbrodniarzu, pokaż się raz w jasny dzień, ty łotrze, co się tylko po nocach wałęsasz! Boisz się, nędzny tchórzu! Miejże raz odwagę stawić czoło ludziom, prawdziwym wojownikom!

Tak wykrzykiwali, a najdonośniej grzmiał pełen namiętności głos Ali-ben-Brahama. Wrzawa ta jednakże niewiele coś pomagała—i lew się nie ukazywał; dopiero kiedy posłano w krzaki z dziesięć strzałów,

ął martwe zwłoki pod siebie, rozciągnął się na nich...

zwy

— C.

Pójdź tu, złoc

żny, za jakiego c..

dzień, ty łotrze, co s..

tchórzu! Miejże raz odw..

jownikom!

Tak wykrzykiwali, a najdon..

Ali-ben-Brahama. Wrzawa ta jedna.

się nie ukazywał; dopiero kiedy posłan..

rozległ się ryk straszliwy, który wstrząsnął drzewa i skały. Być może, iż jedna z kul gwiznęła zbyt blizko uszu «pana z dużą głową»—i to już zupełnie wyczerpało jego cierpliwość. W ślad za tym rykiem dał się słyszeć szum, chrzęst gałęzi—i prawie jednocześnie lew w całej swej okazałości stanął naprzeciw nieprzyjaciół, bijąc ogonem boki, mierząc okiem myśliwych. Powitano go istnie piekielną wrzawą i czekano na zbliżenie. Był widocznie zdziwiony, ale się nie uląkł, i rzucając płomieniste spojrzenie na wszystkie strony, z podniesionym ogonem, szedł majestatycznie, miarowym krokiem. Huknęło blizko sto strzałów na raz, wymierzonych w potężne ciało—i Arabi rzucili strzelby, a porwali za pistolety, jatagany.

Ciężko to wyrwać życie ze lwa, któremu każde mgnienie oka wystarcza, aby się zemścił przed skonaniem. W odpowiedzi na strzały Arabów zwinął się, skurczył i jak piorun wpadł między strzelców. Już oto dwóch powalił, a trzeciego chwycił w paszczę, trząsł nim wściekle, gdy z pomiędzy myśliwych wystąpił jeden, podbiegł śmiało do lwa, zdumionego jakby tem nadzwyczajnem zuchwalstwem, przyłożył mu pistolet prawie do samego czoła i wypalił. Lew miał już kilka kul w sobie, ale ta była śmiertelna; zachwiał się, skrwawioną, martwą ofiarę wypuścił z paszczy, błędnem okiem spojrzał ostatni raz na swego zabójcę i upadł.

Człowiekiem, który w ten sposob dobił lwa, był Ali-ben-Braham. Ostatnia ofiara, którą «pan z dużą głową» przed swą śmiercią pozbawił życia, był to Mohamed, ostatni syn Ali-ben-Brahama.

Królewna Zorzyczka.

Dawnymi czasy żył raz na świecie jeden stary król, nazwiskiem Gniewiec, a miał on młodą i urodziwą żonę, której imię było Ochotka. Ten król był bardzo zły; królowa—kobieta dobra, że ją do rany przyłóż, ale słabowita i zawsze jakaś smutna. Dzieci nie mieli, chociaż oboje bardzo tego pragnęli.

Schodzili się na dwór królewski rozmaici lekarnicy, wróże, i radzili, co królowa powinna robić, ażeby swoje zdrowie poratować, a smutek z serca wypędzić; wszystkie te rady na nic się nie zdały. Nareszcie jednego dnia zjawił się tam sławny czarnoksiężnik, karzeł Kęsuś, człowiek tego wzrostu, co jednoroczny chłopiec, a z głową tak wielką, że prawie z pięć głów zwyczajnych byłoby można z niej zrobić. Potwór ten długą rudą brodą ziemię zamiatał, a na plecach miał garb na łokieć wysoki. Ludzie zasłaniali sobie oczy, gdyż nie mogli patrzeć na tego Kęsusia, brzydalę. Ale ponieważ mówił, że królowę z pewnością uleczy, więc go do niej dopuszczono.

Ochotka opowiedziała mu, co jej dolega, wyznała, iż jej nieraz czegoś tak jest przykro, smutno, jakby największych udręczeń i strapień doznała.

Karzeł słuchał, słuchał, a potem rzekł w te słowa:

— Na to wszystko jest jedna rada: musisz się, królowo, wybrać w podróż i cały kraj objechać, a nie omijać i takiej okolicy, gdzie

ludzie nie mieszkają. Skoro to uczynisz, będziesz potem zdrowa, wesoła. Taką radę wyczytałem dla ciebie w gwiazdach.

Zaraz nazajutrz królowa każe zaprzęgać powozy, zabiera ze sobą panny służebne i, nie tracąc czasu, rusza w podróż.

Z początku, dopóki przejeżdżała przez wsi i miasta, miała jaką taką rozrywkę; ale kiedy wjechała w okolicę bezludną, czystą pustynię, ogromnie jej się przykrzyło i raz po razu ziewała.

— Oh, jakaż to nieznośna podróż! Doprawdy, umrzeć można z nudów!—mówiła Ochotka.

Na domiar złego, woźnica, który przodem jechał i powoził królowę, stracił z oczu drogę, zabrnął w jakieś ogromne piachy. Konie się zmęczyły bardzo, ustawały w tych piaskach, a oni tak jechali przez cały dzień i zdawało się, że wiek już jadą. Teraz Ochotka przeklinała karła Kęsusia.

Aż nareszcie przed samym wieczorem woźnica królowej spostrzegł w owej pustyni jakieś wielkie drzewo, na którem nie było ani jednego listka, tylko same kolce i ciernie; pod tem drzewem wystawał na koniu rycerz w pancerzu, z mieczem u boku.

— Panie rycerzu — odzywa się woźnica, — co tu zrobić, żeby z tych piachów wybrnąć i wyjechać na dobrą drogę?

— A kogóż ty powozisz, człowieku?—pyta rycerz.

— Ja powożę samą królowę, a w powozach, które jadą za nami, siedzą służebne panny królewskiego dworu.

— Drogę pokażę, jeśli o to chodzi—rzekł rycerz,—ale przedtem muszę koniecznie królowę pocałować.

Powóz był na wszystkie strony pozamykany, więc woźnica zszedł z kozła, otwarł drzwiczki powozu i powiada królowej, że tak a tak.

Ochotka się oburzyła, zwymyślała woźnicę, że jej śmie nawet powtarzać takie słowa, i kazała mu natychmiast jechać dalej.

— Cóż ten niegodziwy rycerz sobie myśli? — wołała królowa w gniewie. — Kiedy powrócę do domu, król go ciężko ukaże za takie zuchwalstwo.

I pojechali dalej. Wloką się, wloką—nic nie widać, tylko niebo nad nimi, a lity piasek naokoło. Gwiazdy już jakoś północ wskazywały, gdy woźnica przy świetle księżyca znowu spostrzegł to samo drzewo bez liści i tego samego rycerza w pancerzu.

— O, panie, panie!—zawołał,—miejże też litość w sercu, a pokaż nam, którędy tu wyjechać!

Już teraz i Ochotka wychyliła głowę z powozu—prosiła rycerza bardzo grzecznie, żeby ją wyprowadził z pustyni, a obiecywała mu wyrobić za to wielkie zaszczyty u króla Gniewca. Rycerz uważnie wysłuchał wszystkiego, poczem rzekł:

— Owszem, królowo, wyprowadzę cię na równiutką drogę, gdzie już woźnica z pewnością nie zbłądzi, ale przedtem muszę cię pocałować.

— Jak ty śmiesz, zuchwalcze, mówić królowej w oczy takie rzeczy! Kiedy się dowie król, mąż mój, śmierć cię nie minie!—wykrzyknęła Ochotka i wydała woźnicy rozkaz, aby ruszał dalej.

Rumieniec świtu oblał już niebo, kiedy woźnica znowu przyjechał do drzewa, gdzie wystawał rycerz na koniu.

Więc w prośby do niego—królowa błaga, zaklina na wszystkie świętości, obiecuje mu wielkie skarby, a on jej na to:

— Nic nie pomoże; takie jest prawo, że bez mojego pocałunku nigdy stąd nie wyjedziesz, królowo! Ja ci przyrzekam zachować tajemnicę, a pocałuję cię tak, że ani woźnica tego nie spostrzeże, ani te panny służebne, które za tobą jadą.

Ochotka namyślała się przez chwilę, potem rzekła:

— Dopókiż ja mam błądzić? Bierz cię licho! pocałuj mię, tylko śpiesz się! Mnie już życie obrzydło w tej podróży...

Rycerz nie dał sobie tego dwa razy powtarzać i z konia pocałował królowę w usta. Kiedy to już zrobił, zaraz ich wyprowadził na równą drogę, poczem w te słowa przemówił do woźnicy:

— Teraz jedź prosto przed siebie!

Powiedziawszy to, zniknął.

W dalszym ciągu podróży królowa miała już wyborną drogę i wkrótce znowu przybyła do takiej okolicy, gdzie się znajdowały wsi, miasta, tak, że po licznych trudach mogła teraz dobrze wypocząć.

Nareszcie cała ta podróż skończyła się szczęśliwie i Ochotka z pannami służebnemi wróciła do domu. Chociaż ów rycerz w pancerzu ciągle jej potem stał na myśli, jednakże ani słówka nie wspomniała przed królem o zdarzeniu w pustyni.

W jakiś czas po tej podróży urodziła się królowej Ochotce prześliczna córeczka, której imię dali Zorzyczka. Król Gniewiec był bardzo szczęśliwy z tego dziecka, ale, gdy mu dworzanie powiedzieli, że Zorzyczka przyszła na świat przez jakieś czary, wpadł w straszną wściekłość i wydał rozkaz, ażeby tę maleńką dziewczynkę utopiono w morzu, lub ją porzucono w lesie na pożarcie dzikim zwierzętom.

Wtedy Ochotka padła do nóg mężowi i ze łzami w oczach błagała go, ażeby takiemu niewiniątku darował życie. Gniewiec był twardy, zawziął się i kazał dziewczynkę natychmiast stracić.

A no, jeden stary sługa królewski zabrał Zorzyczkę w koszyk, wsiadł na okręt i popłynął morzem. W drodze żal mu się dziecka zrobiło.

— Cóż ja mam być katem niemowlęcia, które nic w życiu nie zawiniło? — powiada do siebie ów sługa. — Nie mam na to serca, nie mogę zgubić tej sierotki.

Gdy sobie tak pomyślał, podpłynął do pustej wyspy, gdzie nie było żadnych drapieżnych zwierząt, postawił na brzegu koszyk z maleńką królewną i, spoglądając w niebo, zawołał:

— O, Boże! jeżeli Ci się podoba, ocal to maleństwo, które teraz ma tylko Ciebie za opiekuna!

I tak Zorzyczka została w koszyku na onej pustej wyspie. Rosła ona zupełnie inaczej, niż wszystkie dzieci: godzina w jej życiu znaczyła tyle, co rok, i już w siedemnaście godzin stała się dorosłą panną, a potem wcale się nie starzała, jeno ciągle była taką młodziutką dziewicą. W jej życiu wszystko było bardzo cudowne, a uroda nadzwyczajna.

Raz na tę wyspę straszne wichry zapędziły kilkanaście okrętów z wojskiem niejakiego króla Różana, który płynął do dalekich krajów na wojnę,—ale, ujrzawszy prześliczną Zorzyczkę, chciał ją koniecznie pojąć za żonę. Ona się na to nie chciała zgodzić. Urażony odmową, król Różan wydał rozkaz swoim żołnierzom, ażeby ją siłą z wyspy porwali i do jego kraju uwieźli. Ale królewna miała w sobie moc taką, że, gdy chciała, wzrokiem swoim przemieniała ludzi na skały, drzewa—i to właśnie uczyniła z wojskiem króla Różana.

On sam zaledwie uszedł z życiem i, zabrawszy na okręt kilku tylko żołnierzy, ocalonych przed wzrokiem Zorzyczki, wrócił do domu.

— Nie biłem się — powiada — z nieprzyjacielem, a powracam jakby po srogiej wojnie. Ktoby uwierzył, że oczy jednej kobiety pobiły całe moje waleczne wojsko!

I dopiero rozpowiedział, rozniósł po świecie, że na tej dzikiej, bezludnej wyspie jest cudnie piękna królewna Zorzyczka, która swej ręki nikomu oddać nie chce.

Jedni temu uwierzyli i zapragnęli Zorzyczkę zobaczyć, drudzy mówili, że Różan bajki głosi.

A ona żyła dalej spokojnie. Za królowę swą uznawały ją wszystkie żywe stworzenia na wyspie. Pszczoły, orły, dzikie kozy znosiły jej pożywienie, a jelenie z ogromnymi rogami stanowiły jej straż i wojsko. Nieraz królewna Zorzyczka szła brzegiem morza i obchodziła całą wyspę, a za nią leciały krocie ptaków i motyli, które się w słońcu mieniły prześlicznemi barwami. Kiedy się kąpała w morzu, to ją znowu strzegły miliony przeróżnych ryb, między któremi pluskała się bezpiecznie, jak gdyby sama była rybką.

Różan już nigdy do niej nie wrócił, ale zjawił się na wyspie inny wielki król, Bielon, który z całym swoim dworem przybył do Zorzyczki w zaloty. Ten padł przed nią na kolana i prosił o jej rękę.

— Zostań moją żoną!—mówił—będziesz najpotężniejszą na świecie królową, oddam ci i ziemię, i wody i wszystkie swoje wielkie skarby.

— Królu Bielonie, nie chcę ciebie, ani twoich skarbów!—mówiła Zorzyczka.

On jeszcze raz, drugi i trzeci prosił, nareszcie groził, że ją każe porwać.

Wtedy ona zaprowadziła go na miejsce, gdzie stali żołnierze Różana, pozamieniani w kamienie, w drzewa—i rzekła:

— Miej z tego naukę; strzeż się, aby ciebie i twoich taki sam los nie spotkał, jeżeli ci przyjdzie chęć wojować ze mną siłą!

— To pozwól mi przynajmniej zostać tutaj, niech patrzę na ciebie, prześliczna Zorzyczko!

— Skoro chcesz, zostań!—odrzekła królewna.

Więc Bielon został na wyspie i kazał dla Zorzyczki wybudować wspaniały zamek. Okręty jego zwoziły z dalekich krajów wspaniały marmur, hebany, złoto, dyamenty, kość słoniową, bo miał stanąć taki zamek, jakiego jeszcze na świecie nie było.

— Po co to wszystko, królu, robisz, kiedy ja żoną twoją nigdy nie będę?—mawiała nieraz Zorzyczka.

— Kiedy nie chcesz być żoną moją, to bądź przynajmniej przyjaciółką i wiedz, że nad Bielona nie masz na świecie większego przyjaciela!

Posłyszał był o Zorzyczce inny znowu król, Pędral, ogromny mocarz, gwałtownik, a do tego znany na całym świecie jako wielki czarnoksiężnik. Pochodził on z rodu karła Kęsusia, ale o wiele przeszedł karła w czarnoksięstwie. Sztukami swemi doszedł do niezmiernej potęgi, posiadał duże kraje i wszyscy królowie przed nim drżeli. Nie bał się

go tylko jeden rycerz-bohater, Ognik; ale Pędral przy pomocy karła Kęsusia oddał go w moc strasznej baby, czarownicy Kłótwy, i na całym świecie jeden tylko człowiek wiedział, co się stało z rycerzem bohaterem Ognikiem.

Właśnie już Bielon wystawił był dla Zorzyczki wspaniały zamek, kiedy na wyspę w trzynaście okrętów przybył ze swem wojskiem Pędral. Jadąc, z morza jeszcze widział, jak się ów zamek iskrzył dyamentami, złotem—niczem piękna gwiazda, i zaraz sobie pomyślał, że królewnę razem z tym przecudnym zamkiem posiędzie. Zapytywał on o Zorzyczkę gwiazd i wyczytał z nich, że ta prześliczna dziewica posiada w oczach swoich nadzwyczajną siłę przemieniania ludzi na kamienie, drzewa. Więc, jako czarnoksiężnik, przygotował się na wszelki wypadek i już naprzód wiedział, co robić, aby nie zostać kamieniem lub drzewem.

Skoro tylko z wojskiem wylądował na wyspę, od razu uderzył na zamek i kazał żołnierzom swoim iść do szturmu z zamrużonemi oczyma, żeby im wzrok królewny nie szkodził.

W pierwszym tym napadzie nic nie pomogli bitni żołnierze króla Bielona: jedni zginęli z orężem w ręku, walcząc za Zorzyczkę, a na innych znowu i na samego Bielona rzucił Pędral urok snu nieprzespanego. Bielon, szlachetny przyjaciel królewny, zasnął na czele swego wojska, trzymając w ręku miecz do góry wzniesiony; zasnęli wszyscy jego żołnierze, gdzie który stał, i w takiej, jak był, postawie. Martwe wojsko otaczało zamek.

Zorzyczka, widząc, że siłą swego wzroku nic zrobić nie może, przestraszona schroniła się na zamek do dyamentowej wieży i z góry przez kraty okna spoglądała na to, co się dzieje. Wkrótce też ujrzała Pędrala, który obawiał się jej wzroku i zapuścił na swe oczy przyłbicę.

— Poddaj mi się! — zawołał z dołu. — Mojej potędze nikt się oprzeć nie zdoła!

Ale go coś ogromnie kusiło, żeby choć raz spojrzeć na królewnę.

— Jak ona też wygląda?—pomyślał sobie.—Bo może nie jest godna tych moich zachodów.

Rzucił okiem, spotkał jej wzrok nadzwyczajnie jaśniejący i w tej chwili skamieniał. Jednakże niedługo trwał urok, gdyż Pędral i na to się przygotował, a dobrze wiedział, co zrobić przedtem, aby go Zorzyczka nie obróciła w kamień na wieki. Nazajutrz już ożył, kazał wojsku wkoło otoczyć zamek, a stanąwszy pod wieżą, wzywał królewnę, aby mu się poddała. Ona, chociaż była w strachu, drwiła

z niego. Chciał raz i drugi rzucić na nią urok snu, ale nie miał nad nią takiej mocy, jak nad innymi ludźmi.

Upór na upór. Wojsko oblegało zamek, Pędral codziennie wzywał Zorzyczkę do poddania, a ona ani nawet nie pomyślała o tem.

Okropne było położenie królewny, gdyż, wcześniej czy później, mogła przecież wpaść w moc straszliwego czarnoksiężnika.

Kiedy tak raz, smutna i zamyślona, siedziała wieczorem w oknie zamkowej wieży, skarżąc się przed gwiazdami na swą niedolę, ujrzała lecące cztery orły. Wyciągnęła ku nim ręce i zawołała:

— Dokąd lecicie, dobre moje orły? Odwiedźcie mię, zobaczcie, co się teraz dzieje z biedną Zorzyczką!

Przyleciały do okna orły—zapytują, czego jej potrzeba.

Teraz gorzko zapłakała królewna i opowiedziała ptakom o swojej niedoli. Wzruszyły się orły i każdy z nich zapytuje:

— Powiedz, królewno Zorzyczko, co my dla ciebie zrobić możemy, ażeby cię ocalić od strasznego czarnoksiężnika, króla Pędrala?

Wówczas Zorzyczka otwarła orłom swą duszę i tak mówiła:

— Odkąd jestem królową tej wyspy, co noc w snach swoich widuję pięknego, jak słońce, rycerza-bohatera, który ma rękę do miecza tak dzielną, że mu się tysiące wrogów oprzeć nie zdołają. O, ja wiem, że gdyby ten rycerz-bohater wiedział o moim losie, przybyłby tutaj i zwyciężyłby okrutnego króla Pędrala! Dobre moje orły, lećcie w cztery strony świata, poszukajcie pięknego jak słońce, a dzielnego jak piorun rycerza-bohatera, powiedzcie mu, że biedna Zorzyczka pomocy jego wyczekuje!

Zaszumiały skrzydłami w powietrzu orły i w tej chwili poleciały w cztery strony świata.

Jeden z nich podążył na wschód—przelatywał nad rzekami, borami, widział wsi i miasta; nie znalazł jednak kraju, gdzie żył rycerz-bohater, mający urodę słońca a dzielność piorunu.

Drugi orzeł poleciał na zachód—widział wielkie morza, wyspy ze skałami, o które od stworzenia świata rozbijają się fale oceanu. Orłowi zaledwie sił starczyło, aby przebyć te ogromne dale ziemi; ale i za morzami nie znalazł on rycerza-bohatera, którego szukał.

Trzeci, który poleciał na południe, dostał się w straszne skwary słońca i przybył na pustynię, gdzie wichry szalały i tumaniły piaskiem, gdzie w dzień tylko głosy sępów słychać było w górze, a w nocy ryki lwów się rozlegały. Jednego dnia, pod wieczór, spostrzegł tam orzeł

ogromne drzewo bez liści, pełne kolców i cierni, a pod drzewem na koniu stał rycerz w pancerzu i z mieczem u boku.

— Wytchnę tu oto przez noc — pomyślał orzeł i usiadł na drzewie.

Rycerz spojrzał w górę i pyta:

— Że jesteś orłem, to widzę; ale powiedz, dokąd pędzisz i komu służysz za gońca? Przybyłeś do kraju, gdzie król Huragan i królowa Cisza wieczną ze sobą prowadzą wojnę, a co się przed nimi ocali, to ginie od Słońca.

— Nie wolno mi nic mówić, rycerzu, gdyż lecę z cudzą tajemnicą—odrzekł orzeł.

— Jeżeli mi powiesz, wyjdzie ci to na dobre, a tajemnica zostanie we mnie tak, jakbyś ją w studnię wrzucił. Jeżeli będziesz milczał, już się stąd nigdzie nie wydostaniesz.

Orzeł jeszcze się namyślał czas jakiś, a potem zaczął tak opowiadać:

— Na jednej wyspie panuje królowa moja, prześliczna Zorzyczka, którą król-czarnoksiężnik trzyma w oblężeniu. Jestem posłem tej królowej i lecę szukać jej wybawiciela, rycerza-bohatera, pięknego jak słońce, dzielnego jak piorun.

— Skąd wiesz, że taki jest na świecie?

— Ten rycerz-bohater co noc się we śnie pokazuje Zorzyczce.

— I dla mnie i dla ciebie dobrze, żeś mi to powiedział—odrzekł rycerz.—Wiedz, że jestem rodzonym bratem bohatera Ognika, którego właśnie szukasz, a nazywam się Bujan. Historya naszego rodu jest bardzo smutna. Ognik i ja chcieliśmy zdobyć Słońce i za to czarnoksiężnik Pędral razem z nikczemnym karłem Kęsusiem ciężko nas obu ukarali. Mnie tu od wieków szarpie król Huragan, sypiąc w oczy rozpalony piasek; Słońce, jak żmija, w mózg mi się wgryza, a straszliwa królowa Cisza do rozpaczy mię doprowadza... Pędral rzucił na mnie najstraszniejszy urok, urok wiecznego czuwania.

— A gdzież się znajduje rycerz-bohater Ognik, brat twój? — zapytał orzeł.

— Pędral i Kęsuś oddali go w moc najstraszniejszego na świecie potwora, strasznej baby, czarownicy Kłótwy, która mieszka wśród strasznych śniegów i lodów na dalekiej północy. Gdyby nie jej czary, Ognik już dawno wybawiłby Zorzyczkę od Pędrala.

— Cóż trzeba zrobić, ażeby bohatera Ognika uwolnić z pod władzy czarownicy Kłótwy?

Pod tem drzewem wystawał na koniu rycerz...

— Trzeba czarownicy odebrać miotłę, którą ona zgarnia śniegi i lody, wyrabiane przez brata jej, Mroza, sypie z nich tak ogromne wały, jak najwyższe góry, i trzyma bohatera Ognika w oblężeniu. Gdyby z niego spadło zaklęcie, i ja wtedy byłbym wolny... Ale pamiętaj, że miotłę Kłótwy ten tylko posiąść może, kto zdobędzie czapkę karła Kęsusia, czyniącą człowieka niewidzialnym. Straszliwa baba ma bowiem oczy z przodu i z tyłu, a kiedy jedna połowa jej ciała śpi, druga czuwa.

— Żeby to można wiedzieć, gdzie jest czapka karła Kęsusia!

— W największych na świecie górach — mówił Bujan — jest olbrzymia skała, na skale znajduje się gniazdo orle, a na gnieździe siedzi orlica, która, zamiast orląt, ma pod sobą czapkę, czyniącą człowieka niewidzialnym. Ta orlica jest to jedna zaklęta księżna, której Pędral i Kęsuś porwali córkę jedynaczkę, a matkę przez swoje czary zamienili w ptaka.

— A teraz powiedz mi, rycerzu Bujanie, co za człowiek ma posiąść czapkę karła Kęsusia i porwać miotłę czarownicy Kłótwy? Przecież mnie, ptaka, nie stać na wykonanie dzieł tak wielkich.

— Wszystko to zrobić musi człowiek, który jest przyjacielem królewny Zorzyczki, człowiek, który ma cnotliwe serce i rozumną głowę. Powiedz mi, orle, czy znasz takiego?

— Niestety!—zawołał orzeł.—Był ongi król Bielon, który kochał Zorzyczkę i wystawił dla niej na wyspie zamek nad zamkami; ale okrutny Pędral rzucił nań urok snu nieprzespanego, i szlachetny Bielon należy dzisiaj raczej do świata zmarłych niż żywych.

— Coby to dla mnie była za rozkosz, gdybym mógł na godzinę jedną zasnąć! — rzekł Bujan z westchnieniem. — Dobry orle, weź na szpony swoje kilka kropli krwi z mojego serdecznego palca; jest to krew wiecznego czuwania którą, gdy wpuścisz w palec serdeczny króla Bielona, natychmiast spadnie zaklęcie snu nieprzespanego. Co zresztą macie czynić, to wam podpowie serce, doradzi rozum.

Teraz orzeł dziobem zrobił ranę w serdecznym palcu Bujana, wziął na swe szpony kilka kropli krwi wiecznego czuwania i poleciał na wyspę do zamku królewny Zorzyczki.

Już inne trzy orły wróciły także ze wschodu, zachodu, północy, i przy zakratowanem oknie w dyamentowej wieży odbyła się wielka narada orłów z królewną.

Orzeł, który z północy powrócił, na własne oczy widział, jak rycerz-bohater Ognik wdrapywał się na lodowe góry, na olbrzymie

wały ze śniegu, a ile razy już-już miał je przebyć, zawsze czarownica Kłótwa jednym zamachem swej miotły wygarniała nowe niebotyczne grzbiety gór lodowych i nieprzebyte ściany wałów śnieżnych.

Zorzyczka wiele gorzkich łez wylała, słuchając tych opowiadań, i w końcu zawołała:

— Skoro piękny, jak słońce, a dzielny, jak piorun, rycerz-bohater Ognik znosi tak straszne męczarnie, to i ja wytrwać muszę w oblężeniu okrutnego Pędrala! Dalejże, dobre moje orły! bierzcie się do dzieła!

Wnet potem krew wiecznego czuwania zbudziła ze snu Bielona, który, nauczony ciężkiem doświadczeniem, a kierowany radami orłów, potajemnie dotarł do brzegu morza, wsiadł tam na okręt i popłynął do kraju, gdzie są największe na świecie góry. Górą ponad jego okrętem leciały cztery orły i prowadziły go najkrótszą drogą.

Ale oto karzeł Kęsuś z gwiazd wyczytał, że król Bielon morzem płynie, aby wyzwolić rycerza-bohatera Ognika z pod władzy czarownicy Kłótwy. Nikczemny ten czarnoksiężnik natychmiast rzucił takie zaklęcie na wodę i powietrze, że przez siedem tygodni morze nieustannie musiało szaleć, straszliwe wichry dęły, a pioruny dniem i nocą biły.

Zaraz pierwszego dnia okręt, miotany burzą, rozbił się o podwodne skały, a Bielona wyrzuciły fale na jakąś bezludną wyspę. Biedny rozbitek, strapiony nie tyle własnym losem, ile niedolą tej, której chciał oddać usługi, załamał teraz ręce i zawołał:

— O, nieszczęśliwa Zorzyczko! wszystko się sprzysięga na to, aby cię długo prześladował okrutny Pędral!

Zaledwie to wyrzekł, gdy nagle w zatoce morskiej nadzwyczajnie zaszumiała i zapieniła się woda, a wśród wzburzonych fal dał się słyszeć głos taki:

— Kto tutaj wymówił imię królewny Zorzyczki, którą znają wszystkie morza i uwielbiają wszystkie istoty morskie? Ktokolwiek jesteś, powiedz, jaką przysługę można oddać w tej chwili prześlicznej królewnie Zorzyczce!

— Jestem jej posłem—odrzekł zdziwiony Bielon—i w jej obronie muszę jak najprędzej dostać się do kraju, gdzie są największe na świecie góry; a tu burza szalona okręt mój rozbiła, przeto dalej płynąć nie mogę, choć wszystko nagli.

— Skoro zachodzi taka potrzeba, to pędem wichru, lotem błyskawicy możesz się dostać do kraju, gdzie są najwyższe na świecie góry.

— A czyż to jest podobieństwo, abym się puszczał na morze w taką burzę?

— W burzy się urodziłem i w burzy życie pędzę, a więc się burzy nie lękam! Możesz mi śmiało życie swoje powierzyć i nie bać się niczego.

Z temi słowy na powierzchni wody ukazał się olbrzymi grzbiet wieloryba, na którego Bielon wsiadł, jak na konia, i z nieopisaną szybkością puścił się w dalszą podróż. Sroga burza wrzała,—zdawało się, że cały świat zaleje, zniszczy, a Bielon na wielorybie płynął wygodniej i bezpieczniej, niż na okręcie.

Trzeciego dnia rano wieloryb dotarł do brzegów owego kraju, gdzie są najwyższe na świecie góry, wysadził na ląd Bielona i rzekł:

— Jeśli mię znowu kiedy będziesz potrzebował na usługi Zorzyczki, wymów tylko jej imię, a niebawem przybędę.

Zdumiał się nadzwyczajnie Bielon, gdy tutaj zastał towarzyszów swoich, cztery orły. Nie przyleciały one na własnych skrzydłach, ale je przyniosła wichrem burza.

Wszystko się już teraz znalazło: i olbrzymia skała, i orlica siedząca w gnieździe na czapce, czyniącej człowieka niewidzialnym. Rozum doradził Bielonowi ukryć się w jaskini i wyczekiwać dobrej sposobności. Nie długo czekał, gdyż tego samego dnia wieczorem zjawił się pod skałą karzeł Kęsuś i, skoro wymówił słowo zaklęcia, orlica spuściła mu natychmiast ową czapkę. O świcie znowu przybył, znowu wyrzekł słowo zaklęcia, a orlica zleciała z gniazda i czapkę od niego odebrała.

Bielon naśladował to wszystko, co karzeł Kęsuś robił, i posiadł czapkę, czyniącą człowieka niewidzialnym. Z tym tak drogim skarbem uszedł Bielon natychmiast w góry, gdzie według umówionego hasła przyzwał do siebie cztery orły, które teraz tylko głos jego słyszały, a wcale go widzieć nie mogły: cudowna czapka, zabrana karłowi, czyniła Bielona niewidzialnym.

Rozum i serce radziły wyraźnie, że już nie należy tracić ani chwilki czasu i trzeba uciekać z kraju najwyższych na świecie gór, zanim karzeł Kęsuś spostrzeże utratę swej czapki i rozpocznie poszukiwania.

Król Bielon udał się więc co rychlej nad brzeg morza, wymówił tam imię Zorzyczki, i wnet pojawił się wieloryb, syn burzy, który go na grzbiecie swoim poniósł do krajów północnych, gdzie straszna czarownica Kłótwa więziła wśród lodów i śniegów rycerza-bohatera

Ognika. Orły leciały górą, ale nie mogły one na swych skrzydłach sprostać w szybkości pędowi wieloryba.

Na trzeci dzień o świtaniu już byli u kresu swojej podróży. Wieloryb znowu na ląd wysadził Bielona i tak mówił:

— Jeżeli ci jeszcze kiedy będę potrzebny, aby oddać usługę Zorzyczce, wymów tylko jej imię.

I szedł Bielon niewidzialny, a nad nim górą leciały cztery orły. Tak przybyli do lodowatej warowni straszliwej baby Kłótwy. Ujrzeli tutaj olbrzymie grzbiety gór lodowych, sięgających aż pod obłoki, i równie wysokie wały, usypane ze śniegu. Trzeba to było przebyć, aby się dostać do czarownicy.

Orły wzniosły się w górę, obejrzały wszystko i dawały znać Bielonowi, jak co jest. On czasu nie tracił, z wielkim trudem wdrapał się na jedną lodową ścianę, a potem musiał jeszcze przebywać przez drugą, trzecią i dziesiątą. Stanął nareszcie na grzbiecie niebotycznego łańcucha gór lodu i już widział mieszkanie baby Kłótwy, leżące u dołu, jakby w niezmierzonej przepaści. Bielon widział tam pięknego, jak słońce, a dzielnego, jak piorun, rycerza-bohatera Ognika, który się nieustannie wspinał na ściany gór lodowych, a kiedy już dochodził do szczytu, wtedy czarownica Kłótwa brała do rąk miotłę, jednym zamachem sprawiała zawieję straszną i strącała na dół Ognika. Przez te czary powstawały nowe góry z lodu, nowe wały ze śniegu. Wspaniale tam wyglądał pałac czarownicy, wybudowany ze szlifowanych kryształów lodu. Sto białych niedźwiedzi stało na straży przy bramie tego pałacu, a zgłodniałe wilki włóczyły się wewnątrz warowni, węsząc wszędzie i wyjąc nieustannie. Ile razy rycerz-bohater Ognik spadał na dół ze szczytu gór, Kłótwa przeraźliwym chichotem szyderstwa napełniała powietrze, a temu jej okropnemu śmiechowi wtórował ryk niedźwiedzi.

Bielon nie miał pojęcia, żeby coś podobnego mogło istnieć na świecie. Ponieważ w żaden sposób nie mógł zejść z lodowej ściany, dał więc znak orłom, aby go na dół zniosły. Niewidzialny, poszedł przedewszystkiem do rycerza-bohatera Ognika i powiedział mu o swych zamiarach.

— Nadludzkie dzieła bierzesz na siebie—odrzekł smutnie Ognik.— Chociaż bowiem jesteś niewidzialny, to pamiętaj, że gdy straszliwa baba Kłótwa plunie w złości, wtedy wszystko, co się dokoła niej na pół mili znajduje, staje się od tej śliny wodą, z której potem Mróz, rodzony brat czarownicy, wyrabia bryły lodu.

Przyleciały do okna orły,—zapytują, czego jej potrzeba.

Strapiony tą wiadomością, Bielon opuścił głowę na piersi i głęboko się zadumał, a Ognik tak dalej mówił:

— Dzielny rycerzu! nie dlatego mówię o tych trudnościach, aby cię zrażać i od wykonania wielkiego dzieła powstrzymać. Toć ja sam niegdyś rzucałem się na niepodobieństwa: chciałem zdobyć Słońce i przeto jestem nędzarzem, gdyż nie wiedziałem, jak to zrobić.

— Rycerzu-bohaterze Ogniku! pięknie mówisz, aż miło słuchać; rady twoje zarówno przemawiają do mego serca, jak i do rozumu. Mów więc, co czynić wypada.

— Jako niewidzialny, obejrzyj naprzód całą tę warownię i, jeśli ci się uda, zabierz Mrozowi, bratu Kłótwy, miech, którym on, dmuchając, wyrabia lód i śniegi. Używając tego miecha, będziesz mógł łatwo zamrozić Kłótwę aż po same nogi. Jeżeliby i wtedy była jeszcze szkodliwa, ja ją swym mieczem przetnę tak, że tylko dwie nogi z niej zostaną. Potem łatwo już będzie posiąść nie tylko miotłę, ale i całą tę warownię. Skoro tylko miotła będzie już w twoich rękach, reszta zrobi się sama przez się; zaraz zjawią się tutaj promienie słońca, ogłoszą panowanie wiosny, zniknie cała ta twierdza lodowa i nastąpi wyzwolenie ofiar z pod władzy potwora Kłótwy. Wiedz bowiem, rycerzu, że te niedźwiedzie i wilki, których tutaj tyle widzisz, są to ludzie, pozamieniani w zwierzęta przez czarownicę.

Nauczony przez Ognika, Bielon puścił się na przegląd lodowej warowni i, gdy tam niewidzialny wszystko zwiedzał, spostrzegł naraz okropnego olbrzyma. Był to nadzwyczajnie wysoki i szczupły starzec z długimi siwymi włosami i takąż brodą, sięgającą do pasa. Oczy iskrzyły mu się tak, jak gwiazdy w noc pogodną a mroźną, z ust zaś wychodziły kłęby pary, z której szron osiadał na wąsach, włosach i brodzie starca. Stał ponury nad wielkiem jeziorem czystej wody, na którą gdy miechem swoim dmuchnął, powstawała zaraz piętrowa fala, marzła i zamieniała się na górę lodową. Bielon od razu się domyślił, że to jest Mróz, brat Kłótwy, i dopóty go pilnował, aż olbrzym, zmęczony zamienianiem wody na lód, położył swój miech na boku, a sam usiadł na bryle lodu i zaczął drzemać.

Zabrawszy miech Mroza, Bielon co prędzej zwrócił kroki w tę stronę, gdzie się znajdował lodowy pałac czarownicy. Właśnie w tej chwili Ognik, wspinając się po lodowej ścianie, spadł był na dół z ogromnym łoskotem, a Kłótwa nadzwyczajnie się z tego cieszyła, chichotała na całe gardło i wcale nawet nie poczuła obecności człowieka w pobliżu. Nie było czasu do stracenia. Niewidzialny Bielon

podszedł do niej, dmuchnął miechem prosto w usta czarownicy, rozwarte od śmiechu, i od razu zamroził jej głowę tak, że już plunąć nie mogła. Dmuchnął powtórnie i zamroził jej szyję. Teraz poczęła biegać, jak wściekła, wywijała straszliwie rękoma, a wierzgała nogami i zrobiła zamieć śnieżną. Ale Bielon dopadł do niej, znowu dmuchnął i zamroził ją po same nogi. Ledwie tego dokonał, gdy nadbiegł dzielny, jak piorun, rycerz-bohater Ognik, ciął mieczem, i z Kłótwy zostały tylko dwie żywe nogi, które bardzo niespokojnie rzucały się, podskakując, po śniegu.

W dobre pół godziny potem wpadły tutaj promienie słoneczne i cała ta warownia lodowa zaczęła się walić z ogromnym łoskotem; huk był taki, jakby tysiące dział grzmiały. Niedźwiedzie, wilki stawały się ludźmi; opowiadały, skąd pochodzą, czem były na świecie dawniej. Byli to po największej części królowie, książęta, różni bohaterowie, których potworna Kłótwa pozamieniała w dzikie zwierzęta. Teraz składali oni hołdy Bielonowi i Ognikowi za swoje wybawienie, wołając:

— Dzielni rycerze-bohaterowie! rozkazujcie nam, co jeszcze zrobić należy.

— Nie koniec na tem — rzecze Bielon;—mamy bardzo dużo do roboty. Ale ja już zrobiłem swoje i teraz oddaję dowództwo w ręce najdzielniejszego na świecie rycerza-bohatera Ognika.

Ognik uścisnął ze wzruszeniem rękę króla Bielona i tak mówił:

— Szlachetny Bielonie! przyjmuję dowództwo nad tymi rycerzami nie dlatego, żebym był najdzielniejszy, gdyż ty jesteś takim, ale po tylu trudach czas, abyś nieco wytchnął i głowę miał spokojniejszą. Teraz na mnie kolej pokazać, co umiem!

— Niech żyje szlachetny Bielon! Niech żyje dzielny Ognik! — wołali rycerze na wszystkie strony.

Kiedy Mróz, brat Kłótwy, okrzyki te posłyszał, wziął nogi za pas, i widziano go z daleka, jak uchodził jeszcze dalej na północ.

Przed tem wszystkiem cztery orły przodem już poleciały do Zorzyczki z wieścią, że rycerz-bohater Ognik i król Bielon wkrótce przybędą, aby ją wyswobodzić od straszliwego Pędrala.

Teraz całe wojsko rycerzy, na czele których stał Ognik, przybyło nad brzeg morza. Bielon wymówił imię Zorzyczki i wnet fale morskie zaszumiały, zapieniły się, a z ich głębin wypłynął wieloryb, syn burzy, który zapytał, co za usługi potrzeba oddać Zorzyczce, znanej

przez wszystkie morza, uwielbianej przez wszystkie morskie stworzenia.

Na to mu Bielon odpowiedział:

— Wojsko rycerzy, jakiego świat nigdy jeszcze nie widział, pędem wichru, lotem błyskawicy musi się przeprawić na wyspę, gdzie panuje Zorzyczka.

Usłyszawszy te słowa, wieloryb zniknął i wkrótce potem przybył z gromadą innych wielorybów, które poddały swe grzbiety rycerzom, będącym pod wodzą Ognika. Rozpoczęła się wyprawa tak sławna, że podobnej świat nigdy nie widział ani przedtem, ani potem.

Jednakże karzeł Kęsuś nie zasypiał sprawy. Wyczytał on był z gwiazd, że czarownica Kłótwa utraciła nie tylko czarodziejską miotłę, ale i życie,—że rodzony brat jej, Mróz, pozbawiony swego miecha, uszedł na daleką północ, pod sam biegun ziemi, a rycerz-bohater Ognik morzem płynie, ażeby oswobodzić Zorzyczkę od Pędrala.

Nikczemny karzeł natychmiast się zmienił w mgłę gęstą, która zawisła ponad wodami oceanu i sprawiła tam takie ciemności, że wojsko wielorybów nie wiedziało, dokąd płynąć. Przez cały dzień i całą noc błąkali się rycerze po ogromnych morzach, a karzeł ich nieustannie otumaniał, ukazując we mgle złudne widziadła to miast, to krajów i wysp rozmaitych. Ostatnia rozpacz ogarnęła serca wszystkich.

Zniecierpliwiony Ognik wpadł nareszcie na myśl szczęśliwą i przemówił w te słowa:

— Królu Bielonie! wydobądź miech, zdobyty od olbrzyma Mroza, i zrób z mgłą to samo, co Mróz robił z wodą.

Bielon natychmiast począł miechem na mgłę dmuchać i w jednej chwili mgła zamieniła się w lód, który gęstym gradem spadł w morze. Słońce błysnęło, a rycerze, płynący na wielorybach, wydali okrzyk radości.

Dużo teraz czasu potrzebował karzeł Kęsuś, rozdzielony na drobne kulki lodu, ażeby się w morzu odnaleźć i pozbierać. Zanim to uczynił, wojsko rycerzy tymczasem szczęśliwie przybyło do wyspy.

Jakże mocno biły ich serca, gdy z daleka w promieniach słońca ujrzeli dyamentową wieżę zamku, błyszczącą piękniej, aniżeli gwiazdy!

Nie wysiedli jeszcze na ląd, kiedy posłyszeli za sobą jakieś głośne wołanie. Wszyscy zwrócili oczy w tę stronę, skąd głos pochodził, i ujrzeli płynący ku nim okręt, biały, jak łabędź, z rozdętymi żaglami,

a na okręcie owym rysowała się wyraźnie postać rycerza w pancerzu, z mieczem u boku i na koniu.

— Co widzę! ukochany brat mój, Bujan!—zawołał Ognik.

I wnet potem obaj bracia rzucili się wzajemnie w objęcia jeden drugiemu.

— Śpieszyłem się nadzwyczajnie — rzekł Bujan, — abyście beze mnie nie wszczynali walki z Pędralem, gdyż straszliwy czarnoksiężnik rzuciłby na was urok snu nieprzespanego. Tylko mnie jednego zaklęcie to nigdy nie dosięgnie, ponieważ w żyłach moich płynie krew wiecznego czuwania. Skoro teraz jesteśmy już razem, ja będę dla was tarczą przeciw Pędralowi.

— O, nie, bracie! — rzecze z zapałem rycerz-bohater Ognik. — Toż mnie jednemu przystoi w oczach prześlicznej Zorzyczki zmierzyć się mieczem z okrutnym mocarzem Pędralem.

— Pod jednym warunkiem zgodzę się na to — odpowiedział Bujan. — Udzielę ci oto krwi wiecznego czuwania, aby cię uczynić wolnym od zaklęcia na sen nieprzespany.

To rzekłszy, Bujan kroplę krwi własnej przelał w brata.

Z wielkim okrzykiem szło teraz wojsko rycerzy poprzez wyspę na zamek królewny Zorzyczki. Skoro tylko Ognik spostrzegł Pędrala, natychmiast rzucił się na niego z dobytym mieczem, wołając:

— Nędzniku! pokaż, czy umiesz walczyć po rycersku, w otwartem polu, gdyż dotąd zdradą tylko zawsze wojowałeś!

Krótko trwała walka. Zwarli się, i zaraz w pierwszem natarciu Ognik ciął Pędrala mieczem tak potężnie, że go od góry do dołu przeciął na dwie równe części. Nie ludzka krew, lecz krew gadu popłynęła z czarnoksiężnika Pędrala, którego całe wojsko stanęło natychmiast po stronie Zorzyczki.

Uprzedzona już przez orłów, królewna Zorzyczka zbiegła teraz na zgiełk walki z dyamentowej wieży i wobec wszystkich oddała swą rękę rycerzowi-bohaterowi Ognikowi, pięknemu, jak słońce, a dzielnemu, jak piorun.

Wspaniałe to było wesele! Nie tylko ludzie pląsali na niem, ale także orły, jelenie, dzikie kozy, pszczoły, a morze zaroiło się od uciechy rozmaitych stworzeń morskich.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna Biblioteka Główna w Kielcach

...wywijała straszliwie rękoma, a wierzgała nogami i waliła zamieć śnieżną.

SPIS RZECZY.

	Str.
Król Huk-Puk	1
Byś i Dyś	13
Syn boginki	29
Łabędzie	49
Dzieci, Zuchelek i Wilczysko	61
Jaskier, Kos, Cierniak i Tęcza	75
Jasiek Ćwieczek	97
„Pan z dużą głową"	119
Królewna Zorzyczka	135

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
101271

Biblioteka WSP Kielce
0161122